



Opowieść Sprawiedliwej
Wstrząsająca relacja Polki,
która ratowała Żydów

Dorwać Rommla
Sensacyjne kulisy akcji komandosów
przeciwko marszałkowi III Rzeszy

Powstanie sejneńskie
Setna rocznica zapomnianego
zwycięstwa Polaków

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

NR 10(80)/2019 PAŹDZIERNIK 2019

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 256 031
9 772299 951509
10>



Skandale – romanse – wojny
TAJEMNICE
DYNASTII PIASTÓW



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójcisz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska

Okladka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Karol Gac (zastępca), Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedają egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, maj 1930 r.

Akrobata Kurt Kunau na pokazach zorganizowanych przez stołeczny oddział LOPP



Od redaktora /  Piotr Zychowicz

Historia polskiego sukcesu

Ten spór toczy się od stuleci. Czy historia jest niczym rzeka, która nieuchronnie płynie z gór ku morzu? I żadna, nawet najbardziej wybitna, jednostka ludzka nie jest w stanie zawrócić jej biegu? Historia rządzi się bowiem swoimi prawami, jest procesem, na który pojedynczy człowiek nie może mieć żadnego wpływu. Innymi słowy – wszystko jest z góry przesądzone.

Zwolennicy odmiennej teorii uważają, że jest dokładnie przeciwnie. Że nic nie jest z góry przesądzone. Historia jest niczym plastyczne żelazo, które wykuwają wielcy wodzowie, królowie i przywódcy. Wybitne jednostki mogą zmienić bieg historii, nagiąć ją do swojej woli. Czasami od jednej decyzji politycznej, od jednej bitwy, od jednego traktatu zależy wszystko.

Nie ukrywam, że należę do tej drugiej grupy. A dowodów na to, że racja jest po naszej stronie, mogę przytoczyć setki. Dzisiaj tylko jeden – dynastia Piastów. Od czego bowiem zaczęła się ta historia? Od jednego księcia i jego drużyny. Ambitnego władcy i garści nieustraszonych zbrojnych

mężów, którzy rzucili wyzwanie przeznaczeniu.

Władca plemienia Polan książę Mieszko I – bo o nim mowa – podbił lub przyłączył do swojego państwa kolosalne terytoria. A jego dzieło kontynuowali jego potomkowie. Zdobyli koronę królewską i kolejne prowincje, tworząc państwo na tyle potężne, że musiały się z nim liczyć ówczesne potęgi.

Oczywiście państwo piastowskie miało również swoje kryzysy – na czele z koszmarem rozbicia dzielnicowego – ale na szczęście udało się je przezwyciężyć. Piastowie rządzili przez cztery stulecia. Od połowy lat dziewiętnastych do 1370 r., gdy umarł Kazimierz Wielki. Władcy z tej dynastii zbudowali solidny fundament, na którym wesprzeć mogło się przyszłe imperium. Hegemon Europy Wschodniej – Rzeczpospolita Obojga Narodów.

Historia Piastów jest więc historią polskiego sukcesu. I dowodem na to, że muza historii Klio sprzyja odważnym. Wizjonerom, którzy nie boją się realizować nawet – wydawałoby się – najbardziej szalonych marzeń.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

/ TEMAT NUMERU

.6 SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

Zagadka
piastowskich
korzeni.10 TOMASZ STAŃCZYK
Mroczne sekrety Piastów.16 SŁAWOMIR KOPER
Seks na dworze króla.20 PIOTR SEMKA
Pan na Pszczynie

/ CZASY I LUDZIE

.26 GRZEGORZ JANISZEWSKI

Dorwać
Rommla!

.32 TIBOR PÁKH

W łagrze Stalina i katowni
Kádára.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Ciężki Kondor nad Chile.40 MACIEJ ROSALAK
Statki PRL w pułapce
Tajwanu.44 MAREK GAŁĘZOWSKI
Szef sztylników.48 ANNA HERBICH
Tragedia Sprawiedliwej.52 JAKUB OSTROMĘCKI
Kleopatry w Hollywood.56 MARCIN BARTNICKI
Powstanie
sejneńskie.60 PIOTR ZYCHOWICZ
Samotny wojownik.64 MIKOŁAJ IWANOW
Kamikadze Stalina.68 MARIAN ZACHARSKI
Zimna wojna mjr. Chojnackiego.72 PIOTR KOSMAŁA
Ostatni król Polski

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Pocałunki
Jerzego
Zawieyskiego

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Napinanie
struny.85 PIOTR SEMKA
U cesarza w Holandii.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Nadchodzą pisma Ignacego
Matuszewskiego

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK

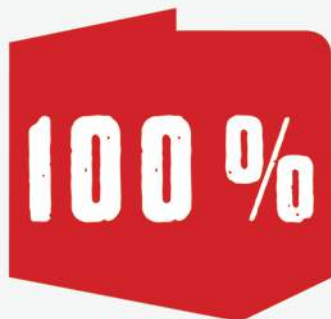
W mieście
Ostrej Bramy/ BATALIE
I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK

Geniusz
Jana Karola
Chodkiewicza

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKIDecyzja
Klebeerga



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



Wywiad / Ze Sławomirem Leśniewskim, autorem książki „Drapieżny ród Piastów”



rozmawia Piotr Włoczyk

Zagadka piastowskich korzeni

PIOTR WŁOCZYK: Mieszko czy Dago? Jak się nazywał pierwszy historyczny władca Polski?

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI: Wszyscy Polacy słyszeli oczywiście o Mieszku I, ale myślę, że bardzo niewielu wie, że w grę wchodzi jeszcze jedno imię tego władcy. Gall Anonim w swojej „Kronice...” napomknął bowiem, że „Książę Mieszko zwany zrazu był imieniem innym”. Pierwszy polski kronikarz nie rozwinął jednak tego wątku, pozostawiając nas z domysłami. Jakie to mogło być imię? Ciekawe światło rzuca na to dokument, który Mieszko nakazał sporządzić w 991 r., tuż przed swoją śmiercią. Od pierwszych słów znany jest on pod nazwą „Dagome iudex”. Zgodnie z literą owego niezwykłego dokumentu

władca państwa Polan czynił z niego darowiznę na rzecz papieżstwa. Mieszko występuje tu jako Dago lub Dagom, co fonetycznie kojarzy się z zamorskim, by nie powiedzieć wprost – skandynawskim pochodzeniem. Nigdy wcześniej ani później podobne imię nie wystąpiło w naszej historii... Podobnie zresztą jak imię Mieszkowego brata, Czcibora.

Historycy, którzy odrzucają tezę o wikińskich korzeniach Mieszka I, wskazują jednak, że Dago może być po prostu imieniem, które Mieszko przyjął na chrzcie. A może po prostu skryba, który spisywał ten dokument, popełnił błąd?

Nie da się wkluczyć również tego. Jednak kwestia imienia to tylko jeden

z wielu argumentów pojawiających się w trwających już od dziesięcioleci dyskusjach historyków w sprawie rodowodu pierwszego władcy Polski. Nie ukrywam, że wersja normańska brzmi atrakcyjnie i przemawia do mnie. Zbyt dużo poszlak – w tym momencie odzywa się we mnie prawnik – wskazuje bowiem, że wikingowie mogli odegrać znaczącą rolę jeśli nie w powstaniu, to w rozwoju naszego państwa. Skoro penetrowali i podbijali terytoria na terenie niemal całej Europy – by wymienić chociażby północ Francji, południowe Włochy, rozległe obszary dzisiejszej Rosji, na czele z Rusią Kijowską, gdzie Wareg Ruryk zapoczątkował dynastię, która przetrwała sześć wieków

Koronacja Bolesława Chrobrego, obraz Jana Matejki. Obok: denar Chrobrego

ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE, ARCHIWUM

ne groby, nie samych tylko wikingów, lecz także kobiet pochowanych w pełnym uzbrojeniu i z drogą biżuterią. Nie wyglądali na najeźdźców zabitych w starciu, raczej na elitę państwa Polan. Może to wyjaśniać, dlaczego w późniejszych herbach szlacheckich pojawiały się znaki runiczne... Wypada również wspomnieć skandynawskie sagi, szczególnie tę, która wspomina o jakimś Piotrze Duńczyku, który na początku X w. wraz ze zbrojną gromadą pożegłował w górę Wisły i dokonał podboju. Być może później dotarł do kraju Polan i to on jest dziadem lub może nawet ojcem naszego Mieszka?

Wikingowie wstawili się jako wspaniali wojownicy. Czy wikińskie pochówki na ziemiach polskich nie są po prostu dowodem na to, że pierwsi Piastowie korzystali z usług świetnie opłacanych najemników?

Arabski podróżnik i wysłannik na dwór cesarza Ottona I – Ibrahim Ibn Jakub – napisał, że Mieszko, nazwany przez niego „królem Północy”, miał do dyspozycji „trzy tysiące pancernych, podzielonych na oddziały, jakich setka znaczy tyle co dziesięć setek innych wojów. Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego potrzebują”.

Można założyć, że było wśród nich trochę Sasów, Rusinów, Waregów i samych Polan, ale wszystko wskazuje na to, że większość stanowili wojownicy ze Skandynawii – Normanowie. Myślę, że Mieszko nie byłby w stanie pozwolić sobie na najem tak licznej, doskonale uzbrojonej i wyćwiczonej drużyny. Może doraźnie, na jakąś konkretną kampanię, ale nie na stałe, a taki przecież był charakter służby owych drużynników. To byłaby zbyt droga inwestycja, przekraczająca zapewne finansowe możliwości księcia. Moim zdaniem w grę musiały tu wchodzić inne kwestie – wspólne pochodzenie. Prawdopodobnie znaczna część owych wojów przybyła zza morza. Warto zwrócić uwagę na okoliczność, o czym pisał słynny niemiecki kronikarz Thietmar, że Mieszko i Chrobry swobodnie rozmawiali ze swoimi cudzoziemskimi wojami w ich własnym języku, który dla



Polan był niezrozumiały. Czy to wszystko nie składa się w logiczną całość?

Czy wytłumaczeniem nie może tu być rzecz prozaiczna – znajomość języków obcych?

Nie wydaje mi się.

Gdyby tak było w rzeczywistości, mielibyśmy do czynienia z nie lada ciekawostką – kroniki wspominałyby o władcach-poliglotach. Wygląda raczej na to, że dla otoczenia obu władców było zupełnie naturalne, iż Mieszko I i Bolesław Chrobry porozumiewali się świetnie z normańskimi wojownikami tworzącymi ich drużynę.

Mamy jednak inne tropy wskazujące, że Skandynawowie nie byli tylko najemnikami i mogli zdobyć władzę w państwie Polan. Stworzony przez nich organizm państwowy rozwijał się przez ok. dwa-trzy stulecia, zanim doszło do historycznej prezentacji Mieszka. Mogło się tak dzieć dzięki faktowi, że „otulały” go inne plemiona słowiańskie, dając ochronę chociażby przed Niemcami. Ale także odcinając od świata zewnętrznego. Gdyby Mieszko I był niemal nieznanym w Skandynawii książęciem niewielkiego plemiennego państewka, to należałoby postawić pytanie, dlaczego dysponujący militarną potęgą i politycznym znaczeniem królowie skandynawscy tak ochoczo udzielali mu pomocy militarnej i czemu żenili swoich synów z jego córkami? Więcej, jeden z nich, duński król Blåtand, oddał mu za żonę swoją córkę, zaś urodzone z tego związku dziewczynki otrzymały czysto skandynawskie imiona (Geira, Astrýda i Sygryda, zwana także Storráða, a w Polsce Świętosławą)?

Może po prostu chciał sprawić żonie przyjemność?

Wtedy kobiety nie miały zbyt dużo do powiedzenia w tak ważnych sprawach jak imię dziecka władcy. Gdyby Mieszko był Słowianinem, to dlaczego przynajmniej jednej córki nie nazwał imieniem ze swojego kręgu kulturowego?

Najciekawiej w tym świetle przedstawia się życiorys Świętosławy. Trafiła ona na północ i została żoną Eryka Zwycięskiego, a następnie Swena Widłobrodego – królów kolejno Danii i Szwecji.

– to dlaczego mieliby ominąć akurat ziemie leżące między Wisłą a Odrą, tym bardziej że znajdowały się one przecież rzut kamieniem od Skandynawii?

Które poszlaki uważa pan w tym kontekście za najmocniejsze?

Zacznijmy od archeologii. W czasie wykopalisk prowadzonych m.in. w miejscowościach Truso pod Elblągiem, Kałdus pod Chełmnem, w Lutomirsku pod Łodzią, w Końskich i w wielu innych miejscach obok ludzkich szczątków wykopano wiele normańskiej broni i ozdób. Ostrów Lednicki pełny jest pozostałości militariów rodem ze Skandynawii. W jednym ze stanowisk ujawniono 42 kamien-

■ Świętosława była zwana „matką królów”, zaś najsylniejszy z jej synów, Kanut Wielki, został władcą Anglii, Danii i Norwegii.

Jak to się stało, że córką władcy państwa otoczonego przez puszcze, nieznanego księcia słowiańskiego, zainteresowali się potężni władcy Skandynawii?

Historycy podkreślają, że Mieszko miał świetny zmysł polityczny. Może faktycznie był tak utalentowanym dyplomata, że potrafił fantastycznie wydać córkę za mąż?

Można tak to próbować tłumaczyć, ale jest to dla mnie mało wiarygodna wersja. Jestem bardziej skłonny uznać, że Mieszko był w Skandynawii świetnie znany, ponieważ łączyły go z tamtym regionem silne więzy krwi.

We wspomnianej przez pana „Kronice polskiej” Galla Anonima pojawiają się imiona trzech poprzedników Mieszka I: Siemomysł, Lestek oraz Siemowit. Paweł Jasienica przekonywał w „Polsce Piastów”, że to wiarygodny przekaz. Jego zdaniem na dworze Bolesława Krzywoustego musiano pamiętać o korzeniach rodu. To by z kolei świadczyło o słowiańskim pochodzeniu Mieszka I...

Paweł Jasienica jest moim mistrzem, jeżeli chodzi o historię. Rzadko który historyk tak fascynująco potrafi opowiadać o naszych dziejach. Jednak w tej jednej sprawie nie mogę się z nim zgodzić, moim zdaniem więcej argumentów przemawia jednak za normańskim pochodzeniem Mieszka I. Chociaż z drugiej strony nie mogę również z całą pewnością odrzucić tezy o w pełni słowiańskich korzeniach tego władcy. Ze względu na szczupłość źródeł siłą rzeczy skazani jesteśmy w znacznej mierze na spekulacje. Czy jednak rzeczywiście możemy poważnie traktować krótki fragment z kroniki Galla Anonima? Gdyby opowieści o poprzednikach Mieszka I były faktycznie tak żywe na dworze Bolesława Krzywoustego, to myślę, że przeczytalibyśmy w zapiskach Anonima dużo więcej na ten temat. Zdawkowy tekst to po prostu podejrzenie mało...

Wróćmy jeszcze na chwilę do wykopalisk. Archeolog Zdzisław Skrok w książce „Czy wikingowie stworzyli Polskę?” przekonuje, że grody



Piast, legendarny założyciel dynastii
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

budowane w Wielkopolsce na początku drugiej połowy X w. były wzorowane na warowniach skandynawskich. Bierz pan ten argument na poważnie pod uwagę?

To bardzo dyskusyjna teza. Większość badaczy uważa bowiem, że grody były budowane cały czas w jednakowy sposób. To zresztą jeden z koronnych argumentów Pawła Jasienicy, podawanych jako uzasadnienie tezy o w pełni słowiańskich korzeniach Piastów. Wydaje się, że sam sposób budowy grodów nie musi jeszcze o niczym świadczyć. Nawiasem mówiąc, te warownie były wówczas szczytem maestrii inżynierskiej. Niektóre z nich, jak np. gród w Cedyni, miały u podnóża do 25 metrów szerokości. Jednak były to typowo słowiańskie konstrukcje i ta sprawa niewiele wnosi do argumentacji o możliwym skandynawskim pochodzeniu Mieszka I.

Nie ma pan wrażenia, że poza wszystkim to jednak „teza wikińska” jest trochę mało... patriotyczna?

(Śmiech) Wchodzimy teraz na grunt niemalże polityczny. Gdy w pierwszej połowie XX w. dwóch niemieckich historyków wskazywało, że ślad normański jest rzeczywiście mocno obecny w historii Polan, to jednym głosem odezwali się polscy historycy. Zaprzeczanie tej teorii było wtedy, a szczególnie w okresie powojennym, uznawane za przejaw patriotyzmu. Ja nie uważam, żeby pogląd o ewentualnie normańskich korzeniach



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI
„DRAPIEŻNY RÓD PIASTÓW”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Mieszka I mógł być „antypatriotyczny”. A może początki naszego państwa byłyby w ten sposób ciekawsze...

„Istotnym argumentem świadczącym o skandynawskich korzeniach naszej pierwszej dynastii może być niezwykle gwałtowność – często wręcz okrucieństwo i bestialstwo – jej władców” – pisze pan w książce. To by

oznaczało, że pierwsi Piastowie byli bardziej okrutni od sąsiednich rodów panujących. Chyba nie taki obraz dynastii piastowskiej wynieśliśmy ze szkół.

Nawet na tle tamtej epoki Piastowie zdecydowanie wyróżniali się zamiłowaniem do brutalnego sprawowania władzy. Bliżej im w tym temacie do Skandynawów niż do sąsiednich plemion słowiańskich. A im dalej w wiek XI, XII, tym gorzej. Weźmy choćby Bolesława Chrobrego, który z upodobaniem okaleczał przeciwników politycznych i robił rzeczy wprost niewyobrażalne, wprowadzając nową religię w Polsce. Wybijanie zębów za nieprzestrzeganie postów to jeszcze nic. Rządziej mówi się o przybijaniu za mosznę do mostów mężczyzn oskarżonych o cudzołóstwo. Przypomnijmy, że kary takie stosował władca, który sam żył wyjątkowo rozsądnie. Podobnym okrutnikiem, nawet jak na tamte czasy, był chociażby Bolesław Krzywousty, który dopuszczał się czynów bestialskich. Zabił w końcu własnego brata, Zbigniewa.

Umówmy się jednak, że zabójstwo własnego brata nie było chyba niczym nadzwyczajnym...

Tak, mordowanie rodzeństwa i innych najbliższych krewnych zdarzało się często wśród panujących, którzy szli do władzy „po trupach”. Dlatego też Mieszko I jest na tym tle tak wyjątkowym władcą. Jednak Krzywousty zabił swojego brata w wyniku zdrady. Zagwarantował mu bezpieczeństwo i z premedytacją złamał swoje słowo, naruszając pewnego rodzaju tabu. Ten odrażający czyn spotkał się zresztą z wielkim protestem poddanych, a książę zapłacił zań groźbą ekskomunikacji i być może królewską koroną.

Wspomniał pan, że pierwszy piastowski władca wydaje się na tym tle wyjątkowy. Czyżby Mieszko I Humanitarny?

(Śmiech) Na to wygląda. Mieszko I był jednym z niewielu piastowskich władców, którzy nie splamili się żadnym zabójstwem politycznym, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Być może nie był do niego zmuszony... Jeżeli dodać do tego jego niewątpliwego geniusza polityczny i militarny oraz zmysł organizacyjny, to mamy do czynienia z władcą wyjątkowym niemal pod każdym względem.

Tutaj chyba nie ma większych kontrowersji – kimkolwiek by Mieszko I był z pochodzenia, z pewnością miał niezwykle szerokie horyzonty.

Na tle innych Piastów był genialnym politykiem. Wyłonił potężne państwo właściwie z niebytu, wydobył je z mroku historii. I do tego dał mu potężny fundament poprzez włączenie go do cywilizacji chrześcijańskiej. To była genialna myśl.

Chrzest nie był czymś zupełnie naturalnym w tamtych okolicznościach geopolitycznych?

Nie. Tak możemy to oceniać z dzisiejszej perspektywy, kiedy już znamy historię naszego kontynentu. Mieszko, a nawet jego następcy, zapewne jeszcze całkiem długo mogli trwać przy pogaństwie, otoczeni słowiańskimi plemionami zamieszkującymi tereny nadodrzańskie, które aż do XII w. opierały się Niemcom. Chrzest Mieszka I nie był więc czymś tak oczywistym, jak nam się dziś wydaje.

Sama decyzja o chrzcie to jedna sprawa. Inną kwestią był sposób, w jaki Mieszko to przeprowadził...

Chrzest z Rzymu przy czeskim pośrednictwie był genialnym posunięciem. Dzięki temu Mieszko nie dopuścił, by jego kraj znalazł się w zależności diecezjalnej od Niemców. Za jednym zamachem odebrał im propagandowy oręż do najazdów na pogańskich dotychczas Polan, sam zaś stał się pomazańcem Bożym. Majstersztyk pod każdym względem.

W czasie jego rządów widać też chyba coś, czego nie sposób przecenić w polityce – mnóstwo szczęścia.

Zgadza się, Mieszko I miał bardzo dużo szczęścia. To jest zresztą konieczne nie tylko w polityce. Z jego geniuszem szła w parze wyjątkowa koniunktura, która pozwoliła księciu ugruntuować państwo na mapie Europy. Trwała ona aż do końca rządów Chrobrego i załamała się gwałtownie za panowania Mieszka II.



Polska za Bolesława Chrobrego. FOT. ARCHIWUM

Rafał A. Ziemkiewicz porównał kiedyś na tych łamach Bolesława Chrobrego do Józefa Piłsudskiego, a Mieszka II do marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. W obu przypadkach przywódcy zapamiętani przez historię jako wielcy umierają na krótko przed wielką katastrofą. Tymczasem to na ich następców spada odium za klęskę państwa. Ziemkiewicz twierdzi, że ta historyczna wielkość i mierność były po prostu kwestią szczęścia jednych i pecha drugich.

Zgadzam się z Rafałem A. Ziemkiewiczem, że Chrobry umarł w na tyle odpowiednim momencie, aby dobrze zapamiętała go historia. Prawdopodobnie gdyby żył parę lat dłużej, to na niego spadłaby katastrofa, do której nieuchronnie prowadziły rządy nieumiłosierdnie drenujące społeczeństwo utrzymujące ciężar kosztownych wypraw wojennych. Nienawiść ze strony wielokrotnie upokarzanych Niemców, nienawiść ze strony Rusinów za Kijów i ze strony Czechów chociażby za podbój z 1003 r., reakcja pogańska... To wszystko spadło na Polskę już po śmierci Chrobrego i dlatego historia zapamiętała go niemal wyłącznie jako władcę, który doprowadził Polskę do wielkości. Wydaje się, że Mieszko II byłby wielkim władcą, gdyby nie fatalny balast rządów ojca, który skonfliktował się ze wszystkimi dookoła. Historycy wyrządzili mu wielką krzywdę nazywając go gnuśnym nieudacznikiem.

Tego szczęścia bardzo brakowało też Kazimierzowi Wielkiemu, na którym skończyły się rządy dynastii piastowskiej. Myślę oczywiście o jego pogoni za męskim potomkiem...

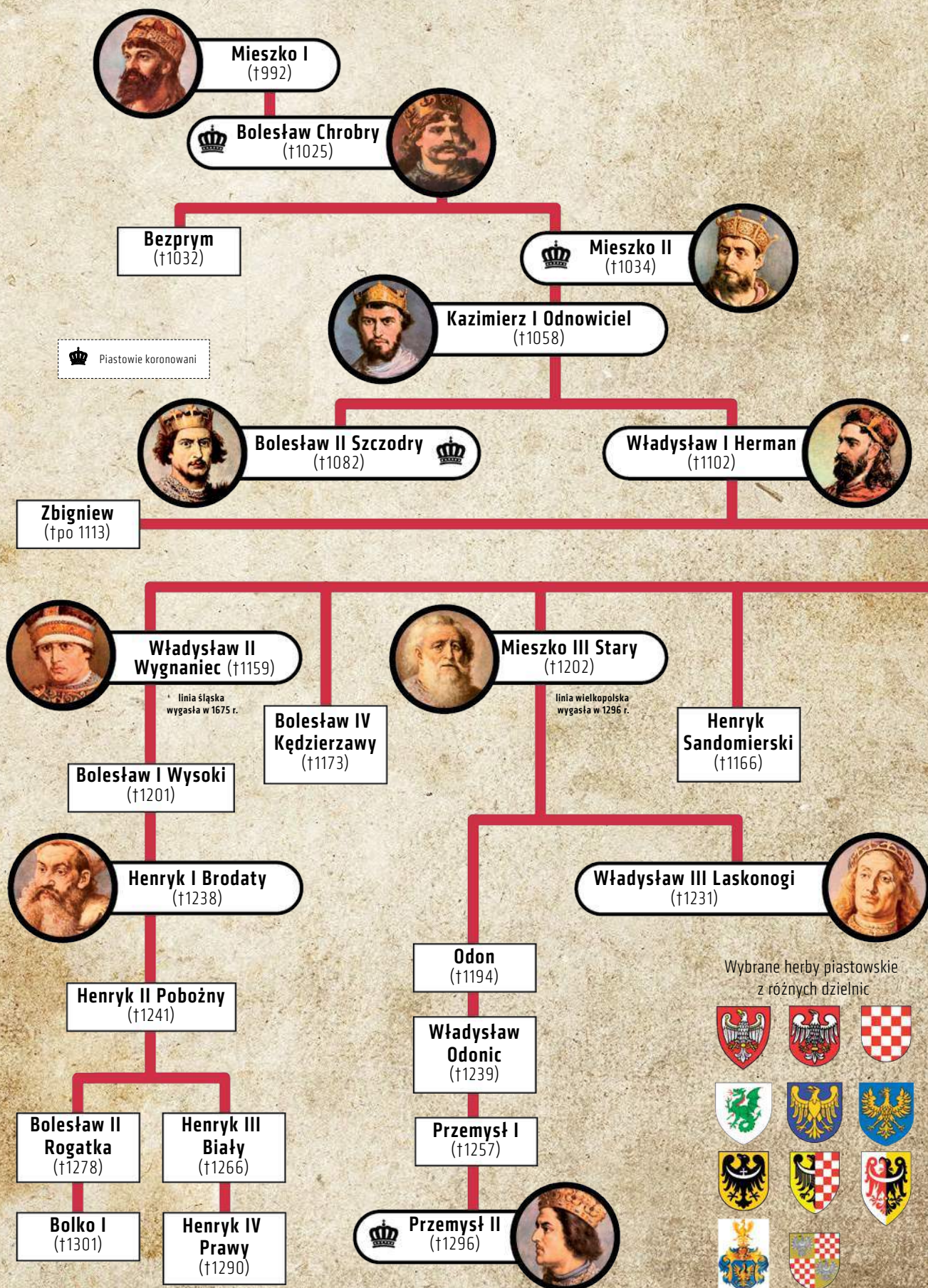
Rzeczywiście, przez lata bezskutecznie gonił jak szalony za męskim potomkiem. On – największy po Augustcie II Mocnym kobieciarz wśród polskich władców. Posunął się nawet do podwójnej bigamii, aby osiągnąć ten cel. Wszystkie na próżno... Żony rodziły mu wyłącznie córki. Kazimierz był rozpustnikiem, ale także, podobnie jak przodkowie, miał okrucieństwo w genach. Za krytykę kazał spalić w Wiśle wikarego kościoła krakowskiego Marcina Baryczkę, a wojewoda poznański Maciej Borkowicz zapłacił straszliwą śmiercią prawdopodobnie za dorobienie królowi rogów. Według Długosza fakt, że to na Kazimierzem skończyła się dynastia, stanowił karę za jego wszystkie grzechy. Ale Polska miała i tak dużo szczęścia, gdyż po Piastach nastali obdarzeni wieloma talentami Jagiellonowie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Sławomir Leśniewski

(ur. 1959) jest prawnikiem, popularyzatorem historii, autorem wielu książek na temat dziejów Polski.



DYNASTIA PIASTÓW



Bolesław III Krzywousty
(†1138)



Kazimierz II Sprawiedliwy
(†1194)

linia małopolska
wygaśla w 1279 r.



Leszek Biały
(†1227)

**Konrad
Mazowiecki**
(†1247)



Bolesław Wstydlivy
(†1279)

Siemowit I
(†1262)

linia mazowiecka
wygaśla w 1526 r.

Kazimierz I
(†1267)

linia kujawska
wygaśla w 1388 r.

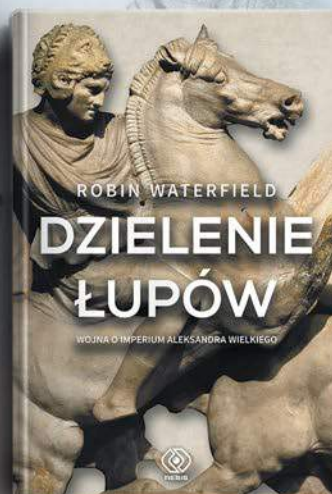


Leszek Czarny
(†1288)

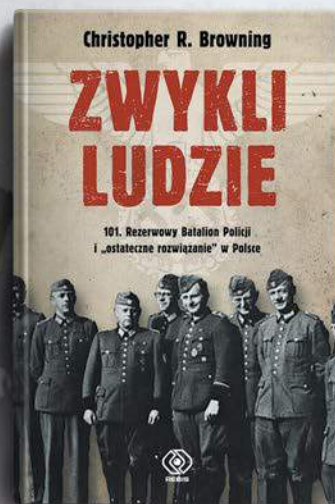
Władysław II Łokietek (†1333)



Kazimierz III Wielki
(†1370)



**Burzliwe początki
epoki hellenistycznej!**



**Co sprawiło, że przeciętni
policjanci z Hamburga
przeistoczyli się w bestie?**

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

XI–XVII w. / Książęta i królowie

Zamek Piastów
świdnickich
w Bolkowiu FOT. WIKIPEDIA

Mroczne sekrety Piastów



Tomasz Stańczyk

**Ambitni i wielcy,
podstępni, szaleni,
kłótniwi, bratobójczy.
Tacy byli ludzie
pierwszej polskiej
dynastii**

Zwykłe to pierwotni obejmowali schedę, a w każdym razie jej większość, stawali się też seniorami. Losy dwóch pierwotnych: Bezpryma – syna Bolesława Chrobrego oraz Zbigniewa – syna Władysława Hermana, ułożyły się tragicznie. Zostali pozbawieni przysługującego im pierwszeństwa na rzecz przyrodnych braci z późniejszych małżeństw. Obaj jednak stanęli do walki. Bezprym, z pomocą cesarza niemieckiego i księcia kijowskiego, pokonał Mieszka II, który uciekł z kraju, oraz okrutnie prześladował zwolenników obalonego króla.

Został zamordowany, prawdopodobnie nie bez udziału braci przyrodnych: Ottona i właśnie Mieszka.

Zbigniew początkowo sprzymierzył się z Krzywoustym przeciwko ojcu, ale po jego śmierci bracia zaczęli rywalizować. Doszło do zbrojnej konfrontacji, zakończonej przyznaniem Zbigniewowi Mazowsza. Dla Zbigniewa było to za mało, dla Krzywoustego chyba za dużo. Zbigniew znów zaczął szukać pomocy za granicą. Krzywousty zaprosił go na spotkanie. Zbigniew, chociaż był lennikiem brata, kazał nieść przed sobą miecz jako oznakę suwerenności. Krzywousty nie zamierzał tego tolerować. Kazał Zbigniewa oślepić. Był to koniec rozgrywki między przyrodniemi braćmi.

Gra o tron: Siemowit IV

Mazowiecki Piast – Siemowit IV – myślał o zdobyciu tronu po śmierci Ludwika Węgierskiego. Wprawdzie następstwo po nim miała objąć, jako król, jego córka Jadwiga, ale Siemowit planował, że się z nią ożeni i w ten sposób zasiądzie na tronie.

Politycznym przygotowaniem miało być obwołanie Siemowita królem przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Bodzotę, a także... porwanie Jadwigi z Krakowa. Tajemnicy nie utrzymano w sekrecie i Jadwiga została wywieziona dla bezpieczeństwa na Węgry. Siemowit IV został pokonany w walce i pojednał się z parą panującą: Jadwigą i Jagiełłą. Złożył im hołd lenny i dostał w rewanżu od Jagiełły ziemię bełską. Pod Grunwald wysłał swoich rycerzy. Był ostatnim w pełni niezależnym władcą Mazowsza.

Książę rogaty i cudaczny

Jednej z najbardziej drastycznych zbrodni, popełnianych przez Piastów, dopuścił się książę Bolesław II Rogatka, zwany Łysym, żyjący w XIII w. W Środzie Śląskiej jego rycerze zamknęli w kościele i spalili prawdopodobnie nawet kilkuset mieszkańców. Polityczną zbrodnią było zaś uszczuplenie dziedzictwa piastowskiego – sprzedaż arcybiskupowi magdeburskiemu i margrabiemu brandenburskiemu części ziemi lubuskiej w zamian

za pomoc w walce z braćmi. Rogatka porwał i uwięził bratanka – Henryka IV Wrocławskiego – wymuszając na nim oddanie mu części księstwa, a także księcia Henryka IV Prawego, w podobnym celu. Rogatka sam jednak został porwany przez swojego brata – Konrada.

Z całego wielkiego dziedzictwa ojca – Henryka Pobożnego – pozostało mu ostatecznie tylko księstwo legnickie. Przejściowo otaczał się rycerstwem niemieckim. W ich języku mówił jednak słabo, czym narażał się na drwiny. Na dworze trzymał polskiego chłopca Kwiatka, który go rozbawiał facecjami. Gdy Niemcy rozpanoszyli się po jego księstwie, książę włóczył się po Śląsku w towarzystwie garncarza lub lirnika. Klecił podobno wiersze. Zwany był też Cudacznym. Na dobro Rogatki można zapisać, że zapoczątkował turnieje rycerskie na ziemiach polskich.

Książę mały i wielki

W połowie XIV w. Królestwo Polskie przegrało rywalizację o Śląsk z Królestwem Czech. Kazimierz Wielki nie mógł wygrać wojny na dwóch frontach. Ważniejsza, decydująca dla losów Polski była rozgrywka z zakonem krzyżackim. Książęta śląscy po kolei uznawali zwierzchnictwo Czech. Jedynie księstwo świdnicko-jaworskie obroniło wówczas niepodległość. Bolko II Świdnicki, wnuk Władysława Łokietka, świetny polityk, wódz i gospodarz swego księstwa, był sojusznikiem Królestwa Polskiego. W 1331 r. opóźnił pochód wojsk czeskich idących na pomoc Krzyżakom. Możliwe, że właśnie dzięki temu zapobiegł tragicznej w skutkach porażce swojego dziadka, króla Władysława Łokietka. Bolko II był także sojusznikiem jego syna – Kazimierza Wielkiego. Polski monarcha nadał Świdnicy prawo handlu ze zdobytą przez siebie Rusią. Takiego przywileju nie posiadał bogatszy Wrocław, będący już pod zwierzchnictwem Czech.

Gdy ostatni Piast na polskim tronie poczuł się zmuszony do rezygnacji z praw do Śląska i ambicji włączenia go do Królestwa Polskiego, Bolko II zawarł układ z królem Czech Karolem IV. Bratanica Bolka wyszła za mąż za Karola IV i jej potomkowie mieli odzie-

dziczyć księstwo świdnicko-jaworskie, gdyby Bolko II nie miał syna. Niestety, nie doczekał się go. Zmarł w 1368 r., ale księstwo pozostawało jeszcze niezależne do śmierci jego żony w latach 90. XIV w.

Krzyżowcy

Jedynym Piastem, który z całą pewnością wziął udział w krucjacie do Ziemi Świętej (w połowie XII w.), był książę Henryk Sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego.

Rycerskiemu zakonowi joannitów, których poznał podczas krucjaty, podarował Zagość, gdzie joannici zbudowali kościół. Henryk Sandomierski poległ w wyprawie krzyżowej, w 1165 r., walcząc z Prusami.

Najprawdopodobniej uczestnikiem krucjat był też książę śląski Bolesław Wysoki. Miał bez wątpienia temperament wojownika, był zwycięskim uczestnikiem turniejów rycerskich. Przyjmuje się, że wyruszył do Ziemi Świętej w orszaku cesarza Konrada III, w końcu lat 40. XII w. W piątej krucjacie wziął udział piastowski książę – Kazimierz Opolski lub Władysław Odonic.

Od udziału w wyprawie krzyżowej wymówił się Leszek Biały. Miał przekonywać papieża, że na Bliskim Wschodzie nie ma piwa, bez którego nie mógłby się obejść. Jednak papieża naprawdę przekonało co innego. Leszek Biały obiecał, że zamiast wyprawy krzyżowej do Ziemi Świętej podejmie akcję chrystianizacji Prus. Co ciekawe, nie zamierzał ich podbić ani przymusowo chrzcić. Sądził, że kontakty handlowe z Prusami, które chciał ustanowić, doprowadzą do poznania przez nie religii chrześcijańskiej i przyjęcia jej.

Piastowie po stronie Krzyżaków

Na obrazie Matejki „Bitwa pod Grunwaldem” uwieczniony jest Kon-

rad VII Oleśnicki, Piast, który walczył po stronie Krzyżaków. Z wziętym do niewoli Konradem król Jagiełło obszedł się łagodnie. Cztery lata później książę oleśnicki walczył już po stronie polskiego króla. Jednak jego brat, Konrad VIII Młody, który też wziął udział w bitwie grunwaldzkiej, wstąpił kilka lat później do zakonu krzyżackiego.

W 1454 r., podczas wojny polsko-krzyżackiej, w bitwie pod Chojnicami zginął walczący przeciw Polakom po stronie Krzyżaków Rudolf, książę żagański, dowódca oddziałów najemnych. W bitwie tej wziął także udział jego brat – Baltazar. Chciał się zemścić za śmierć Rudolfa i przez pewien czas służył w armii krzyżackiej.

Piastowie polegli

Pierwszym z Piastów, który zginął w walce, był nieznany z imienia brat Mieszka I, który poległ podczas przegranej bitwy z Wietami. Nie udało się próba wyprowadzenia księcia Henryka Pobożnego z pola bitwy pod Legnicą, gdy było jasne, że rycerstwo śląskie i zachodnie poniesie klęskę. Pobożny poległ lub został zamordowany jako jeńiec. W 1262 r. Litwini zdobyli gród Jazdów (na terenie późniejszej Warszawy), a pojmanego

księcia Siemowita I zamordowali. Niemal 30 lat później, w bitwie nad Bzurą, poległ książę Kazimierz II, brat Władysława Łokietka. W walce z husytami poległ w 1428 r. na Śląsku Jan, ostatni książę ziebicki, porzucony przez własne rycerstwo. W bratobójczych walkach między Piastami zginęli Bolesław, syn Mieszka III, i Przemek Ścinawski.

Trucizna, sztylet, porwania

Nic wprawdzie nie wiadomo o politycznych ambicjach Mieszka, syna wygnanego króla Bolesława Szczodrego, ale został on otruty. Może na wszelki



Wizerunek Bolka II Małego, ostatniego niezależnego Piasta śląskiego, z nagrobka w Krzeszowie

FOT. WIKIPEDIA



Wizerunki Piastów śląskich z zamku w Brzegu

FOT. A. OTREBSKI/WIKIPEDIA

■ wypadek, jeśli chciałby się mścić za ojca albo gdyby zaczęła się wokół niego skupiać opozycja przeciw rządom Władysława Hermana, jego stryja. Nie należy raczej podejrzewać, że Władysław Herman kazał otruci bratanka – był człowiekiem bezwolnym i biernym. Mogła to być decyzja wszechwładnego palatyna Sieciecha. Być może otruty został Kazimierz Sprawiedliwy, który zmarł wkrótce po wypiciu kubka wina. Podejrzewano, że Henryk IV Prawy zmarł w wyniku długotrwałego podtruwania. Bojarzy ruscy otruli swojego Jerzego II (Bolesława Jerzego), księcia halicko-włodzimierskiego, pochodzącego z mazowieckiej linii Piastów. Plotka głosiła, że dwaj ostatni książęta mazowieccy: Janusz i Stanisław, zostali otruci. Komisja powołana przez króla Zygmunta Augusta nie potwierdziła tych podejrzeń.

Leszek Biały padł ofiarą ambicji Świętopełka, który z ramienia tego Piasta rządził Pomorzem, lecz marzyła mu się władza samodzielna. Dlatego w 1227 r. nasał morderców na przebywającego w Gąsawie Leszka Białego, któremu towarzyszył Henryk Brodaty. Książęta zostali zaskoczeni w łaźni. Brodaty odniósł ciężką ranę. Biały rzucił się do ucieczki, został jednak schwytany i zamordowany.

W 1296 r. rywalizacja o Pomorze stała się powodem śmierci króla Przemysła II. Niezadowoleni z jego władztwa nad tą dzielnicą Brandenburczycy postanowili go porwać i zmusić do zrzeczenia się jej. Sprawy przybrały jednak nieoczekiwany i tragiczny obrót. Króla i jego rycerzy zaskoczono we śnie. Stawili jednak opór. Prawdopodobnie Przemysł został poważnie ranny, a gdy porwawce próbowali go wsadzić na konia, osunął się bezwładnie na ziemię. Wtedy go dobili.

W celu wymuszenia zrzeczenia się władztwa także Henryk Głogowski

porwał brata stryjecznego Henryka V Grubego, któremu mieszczanie wrocławscy przekazali księstwo wrocławskie, ignorując testament Henryka Prawego. Grubego umieszczono w ciasnej żelaznej klatce. Był trzymany tak długo, aż zrzekł się terenów księstwa wrocławskiego i uznał zwierzchność Głogowczyka. Pobyt w klatce skrócił Grubemu życie. Zmarł dwa lata po uwolnieniu.

Rywalizacja synów Jana I księcia żagańskiego: Baltazara i Jana, zakończyła się śmiercią tego pierwszego. Baltazarowi udało się opanować Żagań, jednak cztery lata później brat napadł na miasto, uwięził Baltazara, który zmarł w lochu, być może śmiercią głodową.

Henryk wypiera Bolesława

Wraz z przyjęciem w pierwszej połowie XIV w. zwierzchnictwa królów Czech – niemieckich Luksemburgów – zaczęła się germanizacja Piastów Śląskich. Ostatnim z linii głogowskiej i żagańskiej, który nosił słowiańskie imię, był Przemko, urodzony w pierwszych latach XIV w. Po Bolesławie IV oraz Bolku III, urodzonych w połowie tamtego stulecia, nie pojawiają się już imiona polskie w linii wrocławsko-legnickiej oraz świdnicko-jaworskiej. W 1400 r. ostatnie polskie imię – Bolesław – zostało nadane w linii książąt opolskich. Najdłużej przywiązani byli do tradycji i języka polskiego książęta cieszyńsko-oświęcimscy. Ostatnim księciem z polskim imieniem był książę cieszyński Bolesław, urodzony w 1489 r.

Henryk XI Legnicki był najbliższy polskiej świadomości narodowej – jak stwierdzają historycy. Bywał często

w Polsce, przyjmowany przez Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Znalazł zresztą w Polsce azyl polityczny, a zmarł w Krakowie. Książę Chrystian, dzięki pobytowi w Polsce, gdzie się uczył, poznał język polski. Chciał synowi nadać imię Piast, ale duchowni protestanccy wskazali, że to imię pogańskie. Niedoszły Piast stał się więc Jerzym Wilhelmem. Był ostatnim księciem z rodu Piastów. Zmarł w 1675 r.

Piastowie nieślubni

Kroniki przekazują informacje jedynie o bardzo nielicznych dzieciach nieślubnych, choć znając temperament niektórych Piastów, musiało być ich wiele. Konrad III Rudy miał kilkoro nieślubnych dzieci, przypisywane mu jest ojcostwo Hieronima Łoskiego. Kazimierz Wielki wymienił nieślubnych synów: Jana i Niemierzę, w swoim testamencie. Historycy wątpią, by ich matką była Cudka lub Estera. Adam Waclaw, książę cieszyński, miał nieślubnego syna, Waclawa Gotfryda, który został w 1640 r. obdarowany przez cesarza Ferdynanda III tytułem barona Hohenstein.

Piastowie wyklęci

Arcybiskup gnieźnieński Henryk Kietlicz popierał domagającego się części dziedzictwa Władysława Odonica przeciw Władysławowi Łaskonogiemu. Rzucił na niego klątwę, ale była mało skuteczna, bo kościelny dostojnik musiał ratować się ucieczką na Śląsk razem ze swoim protegowanym. Ostry konflikt istniał między Bolesławem Rogatką a biskupem wrocławskim Tomaszem I, popierającym przeciw księciu jego braci. Rogatka porwał nawet biskupa i uwięził go. Na Henryka Probusa, z powodu konfliktu ekonomicznego, rzucił klątwę biskup wrocławski Tomasz II. Książę obległ go w Raciborzu i zmusił do zawarcia ugody. Inne tło miała klątwa rzucona na Konrada Mazowieckiego po tym, jak rozkazał powiesić płockiego duchownego Jana Czaję. Pokuta uwolniła go od ciężaru ekskomuniki. Kazimierz Wielki również został obłożony klątwą, rzuconą przez biskupa krakowskiego Bodzantę za zlecenie utopienia ks. Marcina Baryczki. Nie jest wcale pewne, czy Baryczka

zginął dlatego, że miał przekazać królowi na pamięnienie biskupa w sprawie niemoralnego trybu życia prowadzonego przez monarchę, choć ta wersja jest najpopularniejsza. Kazimierz Wielki postarał się w kurii papieskiej o zdjęcie klątwy. Aktem pokuty było wybudowanie kilku kościołów.

Piastowie w infule

Bolesław Rogatka skierował brata Władysława na ścieżkę kariery kościelnej (podobnie jak drugiego brata – Konrada), żeby zachować w swoim ręku jak największą część księstwa po ojcu. Szczytem kariery Władysława było biskupstwo w Salzburgu. Wybrano go też na biskupa wrocławskiego, ale by objąć tę godność, musiałby zrezygnować z Salzburga. Dlatego zarządzał diecezją wrocławską jako administrator. Połączył infulę z mieczem, gdyż po śmierci brata stał się księciem wrocławskim. Przyczynił się do kanonizacji swojej babki, Jadwigi Śląskiej.

Wysoką godność – arcybiskupa ostrzyhomskiego (a była to najstarsza diecezja na Węgrzech) – osiągnął Bolesław Toszecki, niewątpliwie za sprawą siostry, która była żoną Karola Roberta, króla Węgier. Arcybiskup Piast załatwił swemu bratu Mieszkowi stanowisko biskupa nitrańskiego, zresztą wbrew kapitule.

Oprócz Władysława biskupami wrocławskimi byli: Jarosław, książę opolski,

oraz Wacław II Legnicki. Ten ostatni, gdy zmarli jego bracia, połączył godność biskupią ze stanowiskiem księcia legnickiego. Kolejnym biskupem wrocławskim, i to w czasie niszczącej Śląsk walki z husytami, został także Piast – Konrad IV Starszy, książę z Oleśnicy.

Biskupem elektem płockim został Henryk, syn księcia mazowieckiego Siemowita III, który kazał udusić jego matkę z powodu podejrzeń o zdradę małżeńską. Henryk na prośbę Jagiełły podjął się misji pogodzenia go z wielkim księciem Witoldem. Na dworze Witolda poznał jego siostrę Ryngałę i, mimo że był duchownym, ożenił się z nią. Małżeństwo nie trwało jednak długo. Plotkowano, że Ryngała otruliła męża.

Nad karierą kościelną Aleksandra, syna Siemowita IV, czuwał wuj – Władysław Jagiełło. Książę z Mazowsza został biskupem trydenckim, a zarazem świeckim władcą księstwa biskupiego. W tej drugiej roli prowadził wojnę z Wenecją. Podczas schizmy opowiedział się po stronie soboru i antypapieża Feliksa V, który mianował go kardynałem. Aleksander miał podobno zamiar odwiedzenia króla Władysława III od wojny z Turcją. Misji tej nie zrealizował. Zachorował i zmarł pół roku przed bitwą pod Warną.

Na ołtarzach

Dwóch Piastów otrzymało przydomek Pobożny, ale dopiero od kilku lat

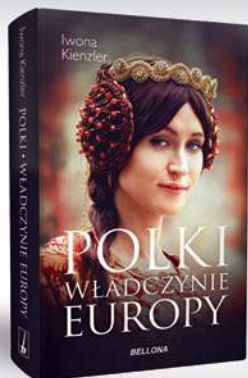
mówi się o przygotowaniach do procesu beatyfikacyjnego Henryka Pobożnego. Książę może być uznany za męczennika za wiarę, poległ bowiem w bitwie z Tatarami. W kolejce do ołtarza czeka też Eufemia, córka Przemysła, księcia raciborskiego, żyjąca w XIV w. Wstąpiła do dominikanek i była przeoryszą klasztoru. Kilka lat temu wydano pozytywną decyzję w sprawie rozpoczęcia jej procesu beatyfikacyjnego. Od dawna natomiast na ołtarzach znajduje się Salomea, córka Leszka Białego i żona księcia węgierskiego Kolomana. Wymogła na nim, by uszanował jej dziewictwo. Po śmierci męża powróciła do Polski i została klaryską. W XVII w. papież ogłosił ją błogosławioną.

Brat Salomei, Bolesław Wstydlivy, ożenił się z Kingą, córką króla węgierskiego, Beli IV. Podobnie jak Salomea Kinga pozostała dziewicą. Po śmierci męża ufundowała klasztor klarysek w Starym Sączu i została zakonnicą. Ogłoszona została błogosławioną w XVII w., a w 1999 r. Jan Paweł kanonizował Kingę. Siostra Kingi – Jolenta (Helena) – była żoną Henryka Pobożnego. Po jego śmierci wstąpiła do klarysek. Została beatyfikowana w 1827 r.

Śluby czystości złożyli także Jadwiga, pochodząca z bawarskiego rodu, i jej mąż Henryk Brodaty. Jednak przedtem Jadwiga urodziła kilkoro dzieci. Ufundowała klasztor Cysterek w Trzebnicy, została zakonnicą po śmierci męża. Znana była z dobroczynności. Została kanonizowana w 1267 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



NOWOŚCI
WYDAWNICTWA
BELLONA

X-XIV w. / Gwałt, bigamia, żonobójstwo

Święty Stanisław, biskup, napomina Bolesława II Szczodrego za jego związek z nałożnicą. Obraz Jana Matejki

FOT. DESA UNICUM

Seks na dworze króla



Sławomir Koper

W średniowieczu przejawy głębokiej religijności sąsiadowały z rozpustą i ze zbrodnią. Celowali w tym szczególnie przedstawiciele rodów panujących, a dynastia Piastów nie była wyjątkiem

klasztor został przy okazji splądrowany, a mniszki zgwałcone. Na pograniczu nie brakowało bowiem różnego rodzaju mętów i osób wyjętych spod prawa, którzy nie zwracali uwagi na świętokradstwo. Podejrzanie „porwania” Ody wydaje się zresztą potwierdzać fakt, że niemieckie władze kościelne, z biskupem Hilwardem na czele, długo wzbraniały się przed uznaniem jej ślubu z Mieszkiem.

Małżeństwo zawarto ok. roku 980 (duchowni w państwie Polan nie mieli większych obiekcji), a z czasem zwyciężył pragmatyzm polityczny. Uznano, że ślub księcia z Odą przyczyni się do krzewienia chrześcijaństwa nad Wartą i Wisłą, poza

tym Mieszko zwolnił bliżej nieokreśloną liczbę jeńców niemieckich. Oda zresztą po wielu latach powróciła do życia zakonnego, gdy przegrała wojnę o schedę po zmarłym mężu. Dokonała żywota w klasztorze w Kwedlinburgu w 1023 r.

Gwałciciel Chrobry

Jeszcze większe problemy obyczajowe stwarzał syn i następca Mieszka, Bolesław. Pierwsze małżeństwo zawarł ok. 985 r., wybranką była córka margrabiego Miśni, Rykdaga. Gdy jednak po roku teść zmarł, Chrobry uznał, że żona nie

Już Mieszko I był zamieszany w skandal obyczajowy o zasięgu wykraczającym poza granice jego księstwa. Po śmierci pierwszej żony, Dobrawy, postanowił ożenić się po raz drugi, a jego wybór padł na Ode, córkę margrabiego Marchii Północnej, Dytryka. Małżeństwo miało zapewnić Mieszkowi korzyści polityczne, nie bez znaczenia było również to, że Oda była znacznie młodsza od księcia Polan. Problemem pozostawało jednak to, że od pewnego czasu była mniszką w klasztorze w Kalbe, gdzie trafiła zapewne z powodu braku odpowiedniego kandydata na męża.

Ślub z zakonnicą

Władze kościelne nie zamierzały zwolnić Ody ze ślubów zakonnych, a margrabianka nie chciała zrezygnować z zamążpójścia. Uciekła zatem ze zgrozmadzenia lub została „porwana przez nieznaną sprawców”. Jeżeli wydarzyło się to drugie, to można przypuszczać, że

jest mu do niczego potrzebna, i odprawił ją z dworu. Zaraz potem poślubił księżniczkę węgierską, którą także po roku porzucił.

Sprawy małżeńskie Bolesława rzucają ciekawe światło na obyczajowość tamtej epoki. Chrześcijański książę mógł kolejno porzucić dwie żony i nikt specjalnie nie protestował. Nic bowiem nie słysząc o procedurze unieważniania małżeństwa, być może zresztą związki te nie zostały zawarte według procedury kościelnej, tylko odbyły się zgodnie ze słowiańską tradycją. Były to przecież pierwsze lata chrześcijaństwa w Polsce, gdy stare obrzędy funkcjonowały obok chrześcijańskich i nikt się specjalnie tym nie przejmował. Chrobry znalazł wreszcie ukojenie w ramionach Emnildy, córki słowiańskiego księcia Dobromira. Był z nią aż do jej śmierci w 1017 r., urodziła mu ona pięcioro dzieci. A po jej śmierci zaczęły się problemy.

Bolesław zaczął się bowiem rozglądać za nową żoną. Tym razem jego wybór padł na księżniczkę kijowską, Przedstawę, a małżeństwo miało zapewnić Bolesławowi spokój na wschodnich granicach. Brat Przedstawy, książę Jarosław, odmówił jednak Chrobremu ręki siostry, co było wyjątkowym afrontem. W tej sytuacji po zwycięskim zakończeniu wojny z Niemcami władca Polan wyprawił się na wschód. Nad Bugiem pokonał armię Rusinów, a następnie zdobył Kijów. Jarosław zbiegł, natomiast Przedstawę wpadła w ręce Polaków.

Bolesław niezwłocznie uczynił ją swoją nałożnicą, a wycofując się po kilku miesiącach z Kijowa, zabrał ją ze sobą do Polski. Nie przeszkadzało mu w tym nawet to, że w tym czasie był już po raz czwarty żonaty (po zakończeniu wojny z Niemcami poślubił córkę jednego z tamtejszych możnowładców). Wydaje się, że przez pewien czas obie panie żyły obok siebie na polskim dworze.

Gwałcenie księżniczek krwi nie należało do powszechnych obyczajów w średniowieczu. Wprawdzie bez skrupułów wykorzystywano seksualnie niżej urodzone kobiety, ale wobec pań z rodów panujących zachowywano się z rycerską galanterią. Tymczasem Chrobry nie tylko zgwałcił Przedstawę, lecz także uczynił z niej swoją oficjalną nałożnicę. A co gorsza, Gall Anonim (mnich benedyktyński!) opisywał to z dumą, widząc w postępku Bolesława powód do chwały. I kom-

pletnie nie zwracał uwagi na to, że Ruś Kijowska była krajem chrześcijańskim, a Chrobry miał legalną żonę.

Inne zdanie na temat postępowania Chrobrego miała jednak polska hierarchia kościelna i na księcia spadała klątwa. Wprawdzie niektórzy badacze sugerują, że miało to związek z buntami zwolenników dawnych wierzeń, ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że przyczyną anatemy było skandaliczne zachowanie Bolesława wobec Przedstawy.

Wiarołomna Judyta

Przywykliśmy uważać, że to władcy zdradzali swoje żony, jednak w dziejach Piastów był pewien wyjątek. Prawnuk Chrobrego, Władysław Herman, po śmierci pierwszej żony, księżniczki czeskiej, ożenił się po raz kolejny, a jego wybranką została Judyta Maria, siostra cesarza Henryka IV. Była wdową po pretendencie do tronu Węgier i w posagu wniosła splendor cesarskiej dynastii oraz problemy obyczajowe. Judyta była bowiem osobą o dużym temperamencie seksualnym, poprzedniemu mężowi nie dochowywała wierności, a po jego śmierci prowadziła swobodny tryb życia na dworze brata. Nie chciała wstąpić

do klasztoru i zdesperowany cesarz nie wiedział, jak pozbyć się kłopotów. Z ulgą zatem powitał polskie poselstwo wybawiające go z opresji...

W ciągu trzech lat Judyta urodziła Hermanowi trzy córki, wprawiając polski dwór w osłupienie. Książę przez poprzednie 20 lat dochował się zaledwie dwóch synów, a do poczęcia Bolesława zwanego później Krzywoustym potrzebna była nawet pomoc św. Idziego (wysłano poselstwo z bogatymi darami do sanktuarium w Saint-Gilles w Prowansji). W chwili ślubu z Judytą Władysław Herman był już człowiekiem schorowanym, zbliżał się do 50. roku życia, a Judyta Maria przekroczyła czterdziestkę. W tych czasach był to wiek uważany za zaawansowany, zatem niespodziewana płodność księżęcej pary wzbudzała zdziwienie. Dlatego podejrzewano, że ojcem księżniczki był wszechwładny palatyn Sieciech, blisko związany z królową. Palatyn uchodził za atrakcyjnego mężczyznę, a córka i siostra cesarza mogła mu pomóc w zagarnięciu polskiego tronu.

Królowa i Sieciech sprawnie odgrywali przed Hermanem komedię lojalności. Książę udawał, że nic nie wie o ich romanse, a oni w zamian promowali małego Bolesława, co władca przyjmował ze wzruszeniem. W rzeczywistości kochankowie widzieli w Krzywoustym wyłącznie dziecko, które miało legitymizować ich rządy po śmierci Hermana. Oczywiście tylko do czasu, zapewne chłopiec nie dożyłby pełnoletności. Tym bardziej że jego starszego brata, Zbigniewa, urodzonego ze związku pozamałżeńskiego Hermana, wysłano już wcześniej do klasztoru.

Ostatecznie w sprawę wtrącili się polscy możnowładcy, wydobyli Zbigniewa z klasztoru i Polska pogrążyła się w wojnie domowej. Po stronie opozycji stanął także mały Bolesław i po kilku latach walk Sieciech został pokonany, oślepiiony i wygnany. Nieznane są dalsze losy jego kochanki, natomiast jej prawowity małżonek zakończył życie dwa lata później, w czerwcu 1102 r.

Książę impotent

Średniowiecze było epoką skrajności. Z jednej strony ideałem były asceza i wyrzekanie się doczesnych pokus, a z drugiej mamy przykłady niezwyklej swobody obyczajowej (nawet wśród dostojników



kościelnych). Zdarzały się jednak także przypadki całkowitej rezygnacji z pożycia seksualnego, w ten sposób na Bolesławie Wstydliwym zakończyła się historia Piastów Małopolskich, gdyż ksiązę żył z Kingą (późniejszą świętą) jak „brat z siostrą”.

Chcąc jednak zapewnić swojemu księstwu sukcesję, w 1265 r. wyznaczył na następcę bliskiego kuzyna, księcia sieradzkiego Leszka Czarnego. Jego żona, księżna Gryfina, była jednak osobą odległą od ideałów białego małżeństwa i nie zamierzała wzorować się na Kindze. W 1271 r. wywołała w Krakowie skandal, gdy ogłosiła publicznie, że jej mąż jest impotentem. W tej sytuacji nie zamierzała więcej chodzić w małżeńskim czepcu, tylko ponownie założyła dziewiczy wianek.

Podobnych słabości nie wybaczano w tej epoce, można było świadomie zrezygnować z życia erotycznego, jednak inną rzeczą była ofiara złożona dla wiary, a co innego ksiązę impotent. To bezpośrednio godziło w autorytet Leszka, który dla poddanych stawał się człowiekiem godnym pogardy.

Dlatego ksiązę podjął próby leczenia swoich problemów, które podobno zakończyły się sukcesem i wreszcie pozbawił żonę dziewictwa. Potomstwa się jednak nie doczekali, zatem niewykluczone, że były to tylko kontrolowane dworskie plotki, które miały ratować autorytet Leszka...

Bigamista do kwadratu

Ostatni Piast na polskim tronie, Kazimierz Wielki, był godnym następcą Chrobrego. Nie tylko w sprawach polityki, lecz także w życiu prywatnym. Nie ograniczał się do przelotnych romansów i preferował niemal islamskie obyczaje. Nie afiszował się jednak ze swoimi upodobaniami pod Wawelem, w zamian za to w różnych grodach państwa zorganizował sobie prywatne haremy. Jan Długosz ubolewał, że królewskich nałożnic były całe „tłumy jak jakieś siedlisko sromoty”, a władca „nic sobie nie robił ze zbawieńnych upomnień i rad biskupów i panów”.

Kazimierz był czterokrotnie żonaty, ale problem stanowiło to, że trzy z jego małżeństw trwały jednocześnie! W 1356 r. poznał w Pradze piękną



Od góry: Kinga, żona Bolesława Wstydliwego, i Gryfina, żona Leszka Czarnego
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

mieszczkę, Krystynę Rokiczanek, ale Czeszka najwyraźniej nie chciała mu ulec. Zatem sprowadził ją do Polski i poślubił, nie zwracając uwagi na to, że żyła jego legalna żona, Adelajda Heska. Związek pobłogosławił opat benedyktynów z Tyńca, który doskonale zdawał sobie sprawę z królewskiej bigamii. Jednak pamiętał los wikariusza katedry krakowskiej, Marcina Baryczki, którego król kazał utopić w Wiśle, gdy duchowny piętnował jego rozpustne życie. Tyniec leżał nad tą samą rzeką i opat nie odmówił.

To jednak nie wszystko. Kazimierz za wszelką cenę chciał doczekać się legalnego (?) syna. Dotychczas miał tylko córki, zatem po kilku latach zdecydował się poślubić księżniczkę krwi. Wybór padł na Jadwigę, córkę piastowskiego władcy Żagania, Henryka Żelaznego. W popełnieniu bigamii do kwadratu przydatny okazał się biskup poznański Jan Doliwa, który udzielił królowi ślubu. Hierarcha uznał najwyraźniej, że Warta może być równie niebezpieczna jak Wisła...

Inna sprawa, że władca usiłował wcześniej uprządkować swoje sprawy osobiste i przed ślubem z Jadwigą uzyskał ustne zapewnienie ze strony papieża, że poprzednie związki zostaną unieważnione. W takich sprawach ważny jest jednak pergamin, a nie słowne obietnice, i papież Urban V zażądał oddalenia Jadwi-

gi. Kazimierz to zignorował, młodziutka żona cieszyła się zresztą w Polsce dużą popularnością, a poddani króla widzieli w niej legalną małżonkę. Niestety, śląska księżniczka urodziła trzy córki i Kazimierz nie doczekał się sukcesora...

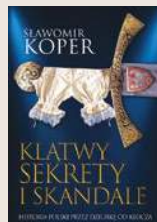
Żonobójcy

Kazimierz Wielki i tak wykazał się dużą dozą „cierpliwości”, nie uśmiercił bowiem Adelajdy Heskiej. Inaczej zachował się Przemysław II, gdy jego żona, Ludgarda Meklemburska, przez 10 lat nie dała mu potomka. Księżna zmarła nagle w grudniu 1283 r., a Długosz zarzucał księciu, że kazał bezpłodną żonę udusić. Śmierć Ludgardy nie przyniosła szczęścia Przemysławowi, jego dwa kolejne małżeństwa nie przyniosły sukcesora, doczekał się tylko narodzin córki.

Inny przypadek żonobójstwa wśród Piastów wydarzył się na dworze Ziemowita III z mazowieckiej linii dynastii. Książę nie miał łatwego charakteru, kronikarze zarzucali mu gwałtowne usposobienie i okrucieństwo. Dlatego doszło do tragedii. Po śmierci pierwszej żony poznał piękną księżniczkę z Ziębica na Śląsku. Zakochał się w dziewczynie i w 1357 r. ją poślubił, ale starzejący Piast okazał się zazdrosnym mężem, a Anna miała na mazowieckim dworze wielu wrogów. Doradcy księcia oskarżali ją o niewierność, a Ziemowit uwierzył w plotki.

Anna była w ciąży, ale to nie zapobiegło tragedii. Ziemowit kazał uwięzić żonę na zamku w Rawie i udusić zaraz po urodzeniu syna. Niemowlę zostało oddane na wychowanie rodzinie mieszkającej w pobliżu, ale nie przebywało tam długo. Zostało porwane przez pomorskich rycerzy wysłanych przez jego przyrodną siostrę i młody ksiązę spędził nad Bałtykiem kilkanaście lat. Na motywach zbrodni w Rawie Szekspir oparł swoją „Opowieść zimową”.

Wyrodney ojciec zobaczył syna znacznie później. Henryk był tak do niego podobny, że stary ksiązę zrozumiał swój błąd. Zadbał o karierę syna i dzięki jego poparciu został on biskupem płockim. Nie był mu jednak pisany los duchownego, zakochał się w księżniczce litewskiej Ryn-galle i dla niej zrezygnował ze stanowiska biskupa. Jednak nie zaznał szczęścia, wkrótce po ślubie zmarł, podobno otruty na polecenie własnej żony.



SŁAWOMIR KOPER
„KŁĄTWY SEKRETY
I SKANDALE”

FRONDA

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Na koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Zaprasza Mecenas



WARSZAWA TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA
9 GRUDNIA 2019 R.

Postać Jana Henryka Hochberga von Plessa nie-przypadkowo intrygowała jego współczesnych, a ponad trzy dekady temu stała się kanwą filmu „Magnat”. Pan na Książu i Pszczynie w latach międzywojnia był żywym pomnikiem epoki cesarzy, który musiał wcisnąć się w ład powersalski. Podobne problemy mieli utytułowani właściciele ziemscy w państwach bałtyckich, w Czechosłowacji czy Rumunii. Przyzwyczajeni do kosmopolitycznych mariaży i dzięki rodzinnym koneksjom czujący się „jak u siebie” w całej Europie po 1918 r. musieli wybierać lojalność wobec państw, których powstania nie byli w stanie przewidzieć jeszcze parę lat wcześniej.

Jan Henryk XV Hochberg dzięki swojej otwartości w latach 1922–1938 i patriotycznej postawie jednego z synów nie kojarzy się w polskiej tradycji źle. Bywa jednak dziś idealizowany, szczególnie w swej rodzinnej Pszczynie, która z jego rodu czyni swój historyczny symbol. Prawda o lojalności „magnata” wobec Polski jest o wiele bardziej pogmatwana.

Prastary ród

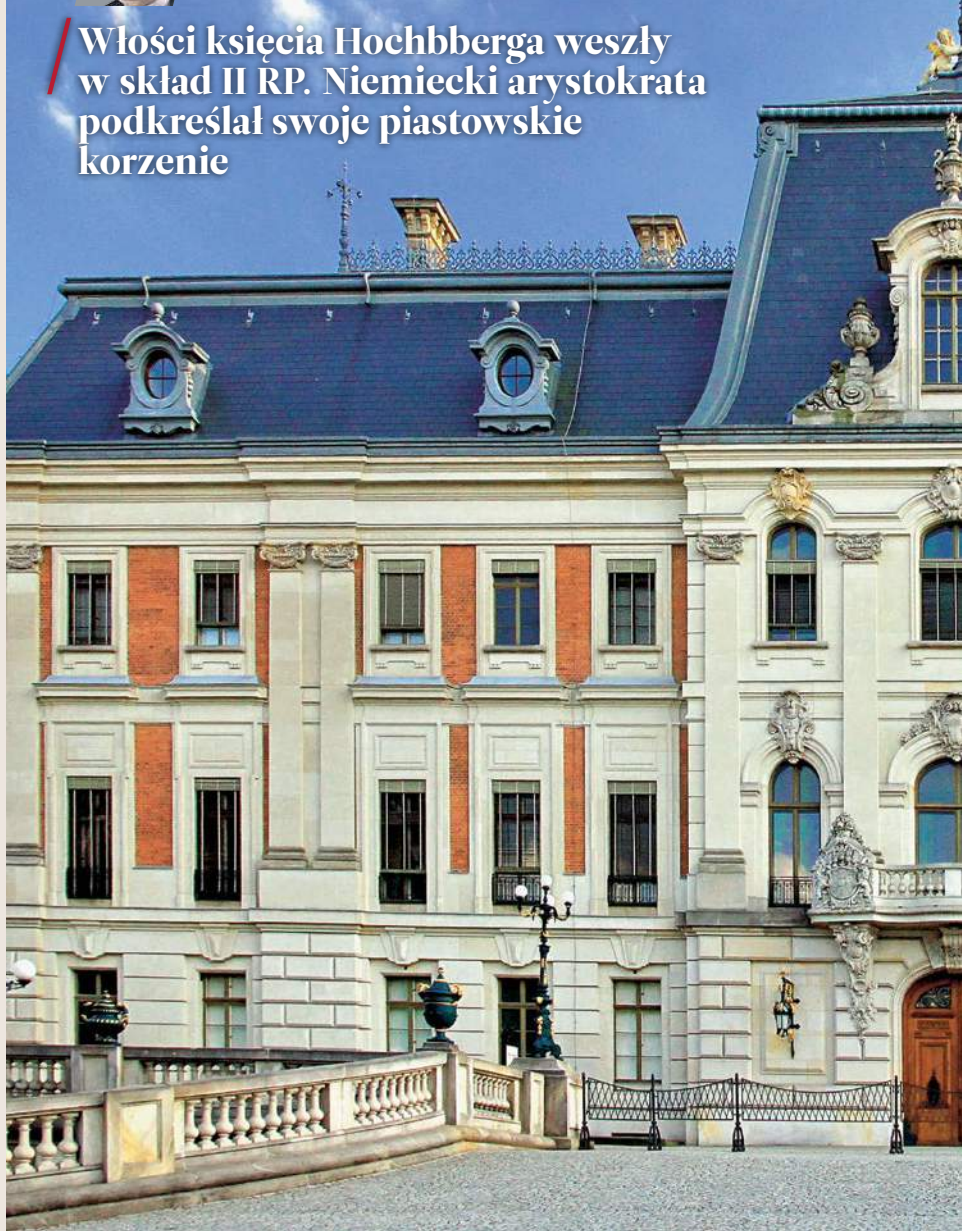
Ród Hochbergów przybył na Śląsk w XIII w. U tarło się w rodzinie, że wszyscy pierwotni następcy aktualnej głowy rodu obdarzani byli imieniem Hans Heinrich czy – jak to polszczyło – Jan Henryk z dodatkiem numeru w genealogicznej kolejności. Od średniowiecza do połowy XIX w. takich Hansów Heinrichów było 15. I ten właśnie numer przyznano urodzonemu w kwietniu 1860 r. w Pszczynie następcy dynastii. Ród miał wtedy dwa ośrodki: w Książu (po niemiecku Fürstenberg) i w Pszczynie (Pless).

Od XVI w. Hochbergowie wyznawali protestantyzm, więc młodego Hansa skierowano do, uznawanej za prestiżową, szkoły przy wrocławskim kościele św. Marii Magdaleny – miejscu pierwszych kazań luterańskich w metropolii nad Odrą. Młody wrocławski uczeń należał do rodziny znanej z bardzo rozległych dóbr. Ówczesne rody śląskie zaczynały wtedy inwestować w górnictwo i huty. Dla Hochbergów, którzy oprócz licznych majątków rolnych inwestowali w kopalnie, wzorem mógł być ród La-



Piotr Semka

Włości księcia Hochberga weszły w skład II RP. Niemiecki arystokrata podkreślał swoje piastowskie korzenie



XIII–XX w. / Arystokraci niemieccy,

Pan na

Zamek w Pszczynie

FOT. WIKIPEDIA



którzy nie kojarzą się Polakom źle

Pszczynie

risch-Mönnich, który na terenie nieodległego od Pszczyny Frysz tatu szybko zbudował imperium stalownicze.

Nic dziwnego, że młody Jan Henryk został wysłany na studia ekonomiczne do Berlina, Bonn, a potem Genewy. Wciąż jednak dbano o tradycyjne tytuły i honory szlacheckie. W 1883 r. młody arystokrata otrzymał od cesarza Niemiec Wilhelma I tytuł Fürst Fürstenberg. W państwie pruskim bez odbycia służby oficerskiej młody arystokrata się nie liczył. Tutaj nawiązywano znajomości, które profitowały potem długie lata. Książę odbył służbę w królewskim pułku huzarów, a potem w pułku huzarów gwardii cesarskiej.

Następnie sławę przyniosły mu egzotyczne polowania w Indiach i USA, z których do siedzib rodowych przybywały egzotyczne trofea. Rozpalały wyobraźnię myśliwych opowieści o polowaniach na tygrysy. Potem młody arystokrata zajął się służbą w niemieckiej dyplomacji. Jeśli dodać do tego znajomość z następcą tronu Wilhelmem, to można było mówić o skutecznym wejściu do najwyższego poziomu pruskiego beau monde'u.

Jedną z opowieści z tamtej epoki dotyczy ekscentrycznego pomysłu zgromadzenia w Książu pacjentów miejscowego szpitala psychiatrycznego, aby witali powóz z Wilhelmem. Szaleńcy mieli krzyczeć tak głośno, że konie poniosły powóz. Młody Kronprinz był ponoć zachwycony zapierającą dech w piersiach przygodą. Takie znajomości ułatwiły potem nominacje Jana Henryka na placówki dyplomatyczne w Brukseli i Paryżu. Państwo pruskie lubiło wysyłać do ambasad młodych arystokratów, gdyż ci dokładali często z własnej kieszeni do kosztów reprezentacyjnych, co odciążało skarb państwa Hohenzollernów.

Kwiatuszek Daisy

Londyn – kolejne miejsce jego służby dyplomatycznej – sprzyjał znalezieniu kandydatki na żonę. Wybranką okazała się Angielka – Mary Theresa Cornwallis-West (1876–1943), w polskiej tradycji znana lepiej jako księżna Daisy. Ród nie był za bogaty, ale potrafił wykazać się genealogią sięgającą króla Anglii Henryka III Plantageneta (1207–1271). Musiało to imponować synowi rodu, który przybył na Śląsk mniej więcej w tym samym czasie.



Jan Henryk XV Hochberg von Pless, ostatni pan na Pszczynie FOT. WIKIPEDIA

Dla wysoko postawionego, ale mimo wszystko nienależącego do rodziny panującej młodzieńca zainteresowanie dworu królewskiego jego ślubem z Daisy 8 grudnia 1891 r. było nobilitacją. Młodą parę przyjęła i pobłogosławiła królowa Wiktoria, a świadkiem był następca tronu, przyszły król Anglii Edward VII. Związek zawarto w ulubionym kościele angielskiej arystokracji – św. Marii Magdaleny – co było wówczas szczytem snobizmu.

Kolejne parę lat po małżeństwie i odejściu Jana Henryka z dyplomacji Prus to okres nieustannych podróży i rozrywek. Młoda para odwiedzała różne zakątki świata, a w chwilach powrotów do zamków w Książu i w Pszczynie urządzała bale i przyjęcia, na których zbierała się

elita pruskiej szlachty. Cesarz Wilhelm II chętnie odwiedzał rodowe gniazdo Hochbergów. Nie bez życzliwości dworu w 1902 r. Jan Henryk zostaje mianowany do pruskiej Izby Panów, co dodatkowo uzupełniono nominacją na wiceprezydenta Prowincji Śląsk.

Początkowo związek Daisy z Janem Henrykiem uznawano za udany. Z czasem jednak wchodzi on w fazę rutyny i nudy. Do księżnej dochodzą plotki o kolejnych romansach męża, a sama Daisy po latach uniesień zaczyna dostrzegać sztywność i brak polotu pruskiej szlachty. Jan Henryk musi się skupić na gospodarowaniu majątkiem, gdyż koszty życia na najwyższym poziomie znacznie przekraczają budżet. Podstawą dochodów są ogromne dobra ziemskie, obliczane na 49 tys. ha, oraz

sześć kopalni węgla kamiennego. Słynne dziś piwo Tyskie nawiązuje do tradycji browaru książęcego Hochbergów.

Od 1907 r. Jan Henryk dziedziczy tytuł księcia po zmarłym ojcu. Polacy z ruchu narodowego uważają Hochbergów za podporę prusactwa na Górnym Śląsku. Jego obrońcy wskazują, że po cichu utrzymywał powstawanie tu oddziałów Hakaty (czyli Ostdeutsche Markverein) z powodu obawy przed eskalacją sporów etnicznych na swych ziemiach. Nie oznacza to jednak, że magnat węglowy był bierny wobec wizji powrotu Śląska do Polski.

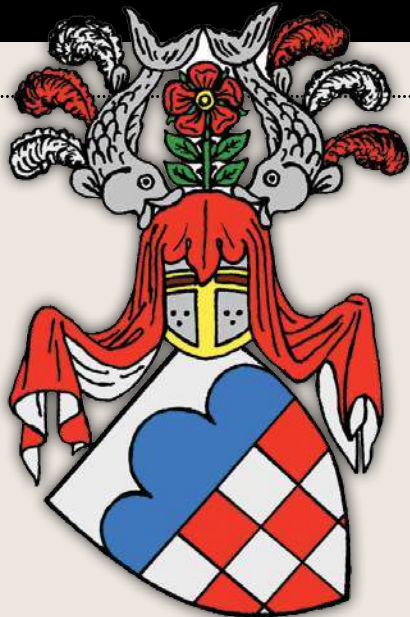
Gdy rozpoczyna się epoka powstań śląskich, Hochberg nakazuje najstarszemu synowi – Janowi Henrykowi XVI – stworzyć oddział Selbstschutz Oberschlesien z górników kopalni Wałbrzycha i przystąpić do walki z powstańcami. Jego oddział uczestniczy w walkach o Górę Świętej Anny. Potem Jan Henryk XV wspiera ruch ślązakowski, który rzuca hasło osobnego państwa śląskiego. Kierując się swoim rodowym interesem, postuluje, by w granicach takiego państwa znalazła się Pszczyna, ale i położony daleko na zachód Książ.

W orbicie Polski

Dzisiaj, gdy Jan Henryk XV bywa w Pszczynie idealizowany, część polskich badaczy przypomina, że w czasie powstań w piwnicach pałacu Hochbergów katowano polskich powstańców. Jednak po 1922 r. książę uznaje nowe realia i przyjmuje obywatelstwo Rzeczypospolitej. Nagle zaczyna podkreślać swe piastowskie korzenie i imię Bolko, które nosi urodzony w 1910 r. syn.

Stara się żyć dobrze z polską władzą. W pałacu w Pszczynie gości Józefa Piłsudskiego oraz prezydenta Ignacego Mościckiego. Te ukłony wobec nowego państwa budzą mściwe uwagi po niemieckiej stronie granicy. A w dawne uregulowane życie pruskiego arystokraty teraz wkracza chaos nowej epoki. Rozwodzi się z Daisy, która mieszka na zamku w Książu, i bierze za nową wybrankę Clothildę de Silva y Gonzales de Candamo. Skompromituje ona potem księcia uwidzieniem jego syna Bolka. Inny syn, Aleksander, zasłynie homoseksualnym romansem z lokalnym rzeźnikiem.

Gesty wobec władz polskich nie przeszkadzają księciu nadal finansować



Księżna Daisy, żona Jana Henryka XV Hochberga von Pless FOT. WIKIPEDIA

ślązakowskiego Związku Obrony Górnoszlązaków i działać w niemieckiej partii Deutsche Volksbund, która po 1933 r. ulega wpływom NSDAP. Naziści mu jednak nie ufają. Gdy Bolko wpada w ich ręce na terenie Niemiec, krótko po przesłuchaniu na gestapo umiera.

Do kłopotów księcia dochodzi po kryzysie 1929 r. upadek jego imperium biznesowego. Państwo polskie musi objąć jego firmy nadzorem. W 1937 r.

podpisuje umowę z wojewodą Grażyńskim na temat zrzeczenia się praw górniczych w resztkach jego majątku. Zrujnowany, ośmieszony przez romans żony z synem i obolały po śmierci Bolka umiera w Paryżu w hotelu Carlton 31 stycznia 1938 r.

Dzisiaj Jan Henryk miałyby w Polsce znacznie gorszą sławę, gdyby nie służba jego dwóch synów w czasie II wojny światowej przeciw III Rzeszy. Najstarszy

syn Jan Henryk XVI, choć zaczynał od służby w Selbstschutz w latach 1919–1921, od końca lat 30. mieszkał w Londynie i się anglicyzował. Po wybuchu II wojny w 1939 r. zgłosił się do RAF, ale po wykryciu jego niemieckich koneksji został internowany. Po trzech latach wskutek interwencji samego Churchilla przyjęto go znów do służby.

Jego młodszy brat Aleksander przedarł się po kampanii wrześniowej do Rumunii i wstąpił do polskiej armii na Bliskim Wschodzie pod nazwiskiem Aleksander Pszczyński. Zdążył nawet walczyć pod Monte Cassino, ale po wojnie zamieszkał na Majorce i powrócił do nazwiska Hochberg. Odrzucił polskie obywatelstwo, aby walczyć o resztki majątku rodzowego w Niemczech Zachodnich. Jego bratanek Bolko Hochberg von Pless mieszka w Monachium i ma firmę komputerową. Miasto Pszczyna, które lubi nawiązywać do tradycji Hochbergów, przyznało mu tytuł honorowego obywatela. To on jest dziś seniorem rodu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Nieznana prawda o największej nuklearnej katastrofie

O PÓŁNOCY W CZARNOBYLU

Adam Higginbotham

SON

PRZYCZYNY TRAGEDII W CZARNOBYLU SĄ ZDECYDOWANIE BARDZIEJ ZŁOŻONE.

PREMIERA 02.10.2019 R.

PRAWDA NIGDY NIE UJRZAŁA ŚWIATŁA DZIENNEGO - AŻ DO TERAZ.

KSIAZKA, KTÓRĄ CZYTA SIĘ NICZYM SCENARIUSZ FILMOWY... HIGGINBOTHAM DOSKONAŁE UCHWYCIŁ DRAMATYZM CAŁEJ SYTUACJI.

- THE WALL STREET JOURNAL

KSIAZKA DO KUPIENIA:

swiatksiazki.pl

księgarnie Świat Książki

PATRONAT MEDIALNY:

EKRANIE.PL
 Wiedza i Życie
 NAPIROMIENOWANIE.PL
 DO RZECZY
 HISTORIA
 CZARNOBYLCY
 licznik geigera

Już jesienią

Konferencja „Polska hekatomba i walka z polonofobią”



Organizowane tej jesieni pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” i miesięcznika „Historia Do Rzeczy” spotkanie wybitnych historyków, publicystów i prawników ma na celu uzgodnienie najlepszych sposobów walki o pamięć o polskich ofiarach II wojny światowej

Zdanych monitorującej Internet firmy SentiOne wynika, że w szczytowym okresie sporu Polski z Izraelem (1 stycznia–19 lutego 2018 r.) fraza „polskie obozy śmierci” pojawiła się w publikacjach medialnych w Internecie aż 4,6 tys. razy. To niezwykle krzywdzące Polaków określenie używane było zarówno przez niewielkie portale internetowe, jak i największe światowe redakcje. Skala zjawiska pokazuje, jak wiele trzeba jeszcze wysiłku, by skutecznie poinformować światową opinię publiczną o oczywistym dla Polaków fakcie: obywatele Rzeczypospolitej byli w czasie II wojny światowej ofiarami dwóch totalitaryzmów, a nie sprawcami masowych zbrodni.

Głównym celem konferencji „Polska hekatomba i walka z polonofobią” jest wypracowanie mechanizmów, które pomogą zmienić ten stan rzeczy.

Najbardziej pilnym zadaniem w tym kontekście jest stworzenie założeń kampanii informacyjnej, które pomogą skutecznie opowiedzieć odbiorcom na całym świecie o brutalnej prawdzie: Polacy byli masowo mordowani, zanim jeszcze wybuchła II wojna światowa.

Do pierwszej masowej zbrodni o charakterze ludobójstwa na narodzie polskim doszło bowiem już w 1937 r. w Związku Sowieckim. Józef Stalin podjął wówczas decyzję o wymordowaniu Polaków zamieszkujących zachodnie rubieże jego państwa. Jedynym kryterium była w tym kontekście narodowość. Hekatomba Polaków z ZSRS jest jednak wciąż tematem kompletnie obcym światowej opinii publicznej, a nawet zachodnim historykom.

W trakcie konferencji zostaną też gruntownie przeanalizowane dotychczasowe wysiłki strony polskiej mające na celu poinformowanie światowej opinii publicznej o masowych mordach popełnionych na Polakach przez obydwa totalitaryzmy w czasie II wojny światowej i bezpośrednio po niej:

Sowieckie

Operacja polska NKWD (1937–1938)
Deportacje na Syberię (1940–1941)
Katyń (1940)
Czerwiec 1941 r. i rzeź polskich więźniów
Zbrodnie UB i okupantów sowieckich w latach 1945–1953

Niemieckie

Intelligenzaktion (1939)
Piaśnica
Palmiry
Generalny Plan Wschodni
Ponary
Dzieci Zamojszczyzny
Auschwitz i inne niemieckie obozy koncentracyjne
Rzeź Woli i inne zbrodnie podczas powstania warszawskiego

Ponadto na konferencji poruszone zostaną też zbrodnie dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia i Galicji Wschodniej. Ekspertki przeanalizują również uwarunkowania prawne, które pozwalają Polakom na ochronę wizerunku Rzeczypospolitej i narodu polskiego.

Rozstrzelanie Polaków
w Bochni. Grudzień 1939 r.

FOT. NAC

Partnerzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Organizatorzy:



Listopad 1941 r.

/ Kulisy operacji „Flipper”

Dorwać

Feldmarszałek Erwin Rommel i gen. Italo Gariboldi dokonują przeglądu żołnierzy włoskich w Trypolisie

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Rommel!



Grzegorz Janiszewski

Po wylądowaniu w Libii uzbrojeni po zęby brytyjscy komandosi ruszyli po dowódcę Afrika Korps – Erwina Rommla. Ich zadaniem było uprowadzić go lub zabić

Rok 1941 nie był pomyślny dla aliantów. Prawie całe Bałkany znalazły się w rękach Niemców i ich sojuszników. Na froncie wschodnim świeżo upieczony koalicjant, którym był Związek Sowiecki, ciągle ponosił klęski. W kotłach, zamykanych przez pancerne zagony Wehrmachtu, przepadały setki tysięcy żołnierzy. Tylko w Afryce Włosi dostawali ciągi od Brytyjczyków. W końcu Niemcy po raz kolejny zdecydowali się wspomóc niezbyt bojowych sojuszników. Już w styczniu 1941 r. do wybrzeży Libii docierają pierwsze oddziały niemieckie, dowodzone przez Erwina Rommla. Wkrótce sformowany z nich zostanie Afrika Korps.

Natarcie prowadzone przez Rommla wiosną 1941 r. odrzuciło Brytyjczyków aż na granicę libijsko-egipską. Ciężkie walki ze zmiennym szczęściem toczyć się będą aż do listopada 1942 r., kiedy w Maroku i Algierii wylądują Anglicy oraz Amerykanie w ramach operacji „Torch”. Niewiele brakowało, żeby Afrika Korps rozbił Brytyjczyków i otworzył drogę do Egiptu i Kanału Sueskiego, Palestyny i ropośnych pól naftowych nad Zatoką Perską. Zasadniczo zmieniałoby to układ sił w wojnie. Sukcesy w Afryce Północnej w dużej mierze były zasługą generała, a od czerwca 1942 r. feldmarszałka Erwina Rommla.

Jedną z nielicznych formacji, która mogła się w tamtym czasie pochwalić sukcesami, byli brytyjscy komandosi. Ukochane dziecko Churchilla jak stalowa ręka wychodzili z morza i atakowali niczego niespodziewających się Niemców. Niestety, nie w basenie Morza

Śródziemnego. Po niemieckim desancie na Kretę komandosi wycofywali się jako tylna straż głównych sił, ponosząc straty dochodzące do 75 proc. Zabrakło dla nich statków transportowych, więc do Egiptu ewakuowali się na rybackich łodziach, z kocami powiązanymi sznurowadłami zamiast żagli. Użyci przeciwko Francuzom z Vichy jako regularne wojsko w czerwcu 1941 r. w walkach nad rzeką Litani w Libanie, również ponieśli ciężkie straty.

Na skutek niepowodzeń, strat w ludziach i trudności w ich uzupełnianiu operacje komandosów stanęły pod znakiem zapytania. Główne zgromadzenie ich jednostek w rejonie, nazywane od jego dowódcy – płk. Roberta Laycocka – Layforce, zostało w lipcu 1941 r. rozwiązane. Część komandosów odesłano do Wielkiej Brytanii, część wcielono do regularnych jednostek na Bliskim Wschodzie. Laycock zdołał przeforsować w War Office – z pomocą samego Churchilla –

kontynuację działań komandosów w ramach Middle East Commando. W jego skład wchodziło dawne szkockie No. 10 Commando, teraz noszące nazwę No. 3 Troop. Dowodził nim Geoffrey Keyes, syn adm. Rogera Keyesa – ówczesnego dowódcy Operacji Połączonych, odpowiadającego za działania komandosów.

Przez fale i deszcz

Jedną z pierwszych akcji zreorganizowanych przez komandosów była operacja „Flipper”. Na cel został wzięty sprawca niemieckich sukcesów w Afryce Północnej – „Lis Pustyni” Erwin Rommel. Komandosi mieli go złapać albo zlikwidować, paraliżując tym samym dowodzenie Afrika Korps. Z rozpoznania przeprowadzonego przez kpt. Johna Haseldena, który w przebraniu Araba penetrował zaplecze frontu, wynikało, że Rommel rezyduje w mieście Beda





Erwin Rommel z oficerami sztabu FOT. ARCHIWUM

Littoria, ok. 30 km w głąb cyrenejskiego wybrzeża.

Akcja miała poprzedzać operację „Crusader” – potężną brytyjską ofensywę mającą na celu odblokowanie oblężonego Tobruku. Jej początek wyznaczono na 18 listopada. Komandosowie wyruszyli nocą 10 listopada na pokładzie dwóch okrętów podwodnych HMS „Torbay” i HMS „Talisman”. Do libijskiego wybrzeża dopłynęli 14 listopada. Pięćdziesięciu trzech żołnierzy i sześciu oficerów podzielonych na cztery grupy oprócz uprowadzenia albo zabicia Rommela miało również zaatakować włoskie dowództwo w Cyrenie, ośrodek włoskiego wywiadu w Apolonii oraz zniszczyć przewodową łączność między bazami. Trudno sobie było wyobrazić niemieckiego generała, prowadzonego kilkadziesiąt kilometrów pod przymusem do wybrzeża, więc jego los wydawał się przesądzony.

Miejsce lądowania oznaczył Haselden, świecąc z brzegu latarką. Podczas

wylądunku panowała wyjątkowo trudna pogoda. Morze było wzburzone i padał deszcz. Na gumowych dinghy na ląd przedostało się tylko 33 komandosów. Lądowanie zamiast planowanej godziny przeciągnęło się do pięciu. Pozostali żołnierze mieli zostać wyokrętowani następnej nocy. Warunki jednak pogarszały się i ukryty w przybrzeżnej grocie Laycock w końcu zdecydował, że spróbują jedynie porwać Rommela i uszkodzić węzeł komunikacyjny na południe od Cyreny. Do tego pierwszego zadania wyznaczonych zostało 17 komandosów. Dowodził nimi ppłk Keyes. Drugą grupą dowodził por. Roy Cook. Sam Laycock został razem z trzema towarzyszami w ukryciu, czekając na powrót grup uderzeniowych.

Keyes i Cook ze swoimi ludźmi spotkali się z umówionymi przez Haseldena arabskimi przewodnikami, którzy poprowadzili ich przez skaliste zbocze górujące nad wybrzeżem. Przewodnicy zniknęli zaraz po dojściu na szczyt, a komandosowie

spędzili cały dzień w skalnej grocie, kryjąc się przed ulewnym deszczem. W nocy z 16 na 17 listopada rozmokniętymi od deszczu pasterskimi ścieżkami dotarli pod Beda Littoria. Przed nimi, w nocnych ciemnościach rozświetlanych światłem błyskawic, majaczył otoczony drutem kolczastym piętrowy budynek kwatery „Lisa Pustyni”. Przy pomocy arabskiego chłopaka, któremu obiecali sowitą nagrodę, zebrali informacje o rozplanowaniu budynków, podejściach i ochronie. Następną noc wyruszyli do akcji. Zanim dotarli do celu, natknęli się na patrol arabskiej służby pomocniczej. Nie było szans na jego cichą likwidację, a użycie broni palnej z pewnością zaalarmowałoby Niemców. Kapitan Campbell, który znał niemiecki, kazał się im wynosić, mając nadzieję, że Arabowie w ciemnościach nie rozpoznali brytyjskich mundurów.

W kwaterze „Lisa”

Keyes podzielił swoich ludzi. Pięciu miało zabezpieczać akcję z parku samochodowego i ogrodu okalających rezydencję, a siedmiu kryć ogniem okna budynku. Keyes z Campbellem, sierż. Jackiem Terryem i dwoma komandosami mieli zająć się Rommlem. Grupa bez przeszkód przeszła przez ogród i podeszła do budynku. Drzwi były zamknięte, a okiennice opuszczone. Campbell szarpnął za klamkę i po niemiecku zażądał otwarcia. Po chwili w drzwiach stanął potężny żołnierz w stalowym hełmie na głowie. Keyes rzucił się na niego i próbował go obezwładnić. Być może to, że był wątłej postury, sprawiło, że nie przychodziło mu to łatwo. Żołnierz zaczął krzyczeć, wzywając pomocy. Nie mogąc dosięgnąć schowanego między drzwiami do pokoju Niemca sztyletem, Campbell strzelił do niego z pistoletu. Po chwili po schodach zaczęli zbiegać zaalarmowani Niemcy. Terry seria z tommy guna przekonał ich do powrotu na górę.

Komandosowie zaczęli sprawdzać pokoje. W pierwszym nie było nikogo. W następnym tłoczyło się ok. 10 Niemców. Keyes wystrzelił do nich ze swojego colta 45 i szybko zamknął drzwi. Potem ponownie je otworzył, a Campbell wrzucił tam granat. Zanim wybuchł, niemiecki pocisk dosięgnął Keyesa, który zwałił się na podłogę. Na zewnątrz zaczęła się strzelanina. Campbell na jej odgłos wybiegł z rezydencji i dostał postrzał

■ w tydkę, prawdopodobnie od swoich. Sierżant Terry wrzucił resztę granatów do pomieszczeń i wrócił do ogrodu, taszcząc Keyesa, który postrzelony w pierś zaraz potem zmarł. Campbell nie chciał opóźniać odwrotu i kazał Terry'emu uciekać. Opór Niemców narastał. Komandosi nie byli w stanie wtargnąć ponownie do budynku. Lonty i detonatory zamokły w padającym ciągle deszczu i nie udało się nawet zniszczyć samochodów stojących w parku. Granatami uszkodzono jedynie generator, odcinając prąd. W końcu sierż. Terry zebrał pozostałych żołnierzy i wyruszył w kierunku wybrzeża.

Niezbyt dużym sukcesem zakończyła się też akcja por. Cooka i jego ludzi. Zamożne lonty nie pozwoliły wysadzić węzła telekomunikacyjnego. Udało się dokonać tylko niewielkich zniszczeń. Tropieni przez nieprzyjaciela komandosi schronili się w jaskini, ale okrażeni przez specjalny oddział karabinierów, którzy zagrozili użyciem miotaczy ognia, musieli się poddać.

40 dni na pustyni

Terry i jego grupa, tropieni przez Niemców i Włochów, uciekali całą noc i następny dzień. Do czekającego na wybrzeżu Laycocka dotarli pod wieczór. Z powodu wzburzonego morza nie mogli dostać się na oczekujący okręt podwodny. Po południu 20 listopada Włosi i Niemcy odcięli ich od morza. Wkrótce też wykryli ich kryjówkę. Laycock, spodziewając się przybycia znacznych sił wroga, dał rozkaz do ucieczki na własną rękę w dwu-, trzysobowych grupach. Komandosi zaczęli przedzierać się do zapasowego miejsca podjęcia przez HMS „Talisman”, rejonu osady Slonta, gdzie operowała swoimi terenowymi samochodami Long Range Desert Group, albo ukrywać się w górzystym terenie, czekając na sukcesy brytyjskiej ofensywy. Większość komandosów została wyłapana przez beduinów, kiedy Niemcy wyznaczyli nagrodę za ich złapanie. Laycock z Terryem dotarli do własnych pozycji na Boże Narodzenie, po 37 dniach ukrywania się w masywie Al-Dżabal. Po 40 dniach dotarł jeszcze bombardier John Brittlebank ze Special Boat Service, który podprowadzał komandosów w dinghy do brzegu.



Generał Robert Laycock FOT. WIKIPEDIA



Okręt podwodny HMS „Torbay” FOT. WIKIPEDIA

Podczas ataku Rommla nie było w kwaterze. Tej samej nocy do Kairu dotarła zaszyfrowana wiadomość z Londynu, że marszałek właśnie wraca po kilkutygodniowym pobycie w Rzymie, gdzie obchodził swoje 50. urodziny. Do Libii dotarł w dzień akcji komandosów. Kwaterę w Beda Littoria zajmował w tym czasie kwatermistrz Panzergruppe Afrika płk Schleusener. W akcji zginęło trzech niemieckich oficerów i jeden szeregowiec. Rommel, poinformowany o akcji, zdziwił się, że

Anglicy mogli go podejrzewać o dowodzenie z miejsca odległego o 400 km od linii walk. Jego prawdziwa kwatera znajdowała się znacznie bliżej Tobruku. Jednocześnie przyznał, że była to wspaniała i śmiała operacja. Marszałek kazał pochować Keyesa z wojskowymi honorami. Został on też pośmiertnie odznaczony Victoria Cross – pierwszym przyznany komandosowi. Terry – syn rzeźnika z Nottingham – musiał się zadowolić jedynie Distinguished Conduct Medal.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW DO NAGRODY
PRZEŚLIJ DO 30 WRZEŚNIA 2019 r.

NA ADRES REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY”
LUB E-MAIL: STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNERZY:



Świadek historii / Z Tiborem Pákhem, działaczem węgierskiej opozycji demokratycznej



rozmawia Piotr Włoczyk

W łagrze Stalina i katowni Kádára

/ – Sowiecka kula trafiła mnie podczas manifestacji pod parlamentem. To była masakra, która trwała półtorej godziny. Leżałem ranny wśród zabitych – mówi Tibor Pákh

PIOTR WŁOCZYK: Najpierw w 1945 r. Sowieci wywieźli pana na 3,5 roku do obozów pracy niewolniczej, potem własną krwią zapłacił pan za udział w powstaniu węgierskim w 1956 r., a następnie w komunistycznym więzieniu był pan torturowany przez wiele lat w potwornie barbarzyński sposób. Co było największym kosztem pańskiej wojny z komunizmem?

TIBOR PÁKH: Najgorsze było to, że przez ten zbrodniczy system nie mogłem cieszyć się ojcostwem.

W wyniku strasznej tragedii najpierw straciliśmy nowo narodzone dziecko, a potem nie mogliśmy już z żoną mieć dziecka, ponieważ przez wiele lat byłem zamknięty w więzieniu. Mimo to moja ukochana żona ode mnie nie odeszła – trwała w związku, który komuniści za wszelką cenę chcieli rozbić. To właśnie jej należą się słowa największego uznania. Moja żona była wzorem chrześcijańskiego oddania małżeńskiego.

lerię. Mundur nałożyłem w listopadzie 1944 r., kiedy dwie trzecie terytorium Węgier było zajęte przez Armię Czerwoną.

W lutym 1945 r. zostaliśmy wysłani na północ Węgier, gdzie połączyliśmy się z kawalerią wracającą z Polski. Były to siły wykorzystywane przez Niemców w okupowanej Polsce.

Jak wiadomo, Polacy mieli do naszych żołnierzy stacjonujących w okupowanej Polsce raczej pozytywny stosunek, co zresztą działało też w drugą stronę. Nawiasem mówiąc, kiedy jeszcze za czasów komunizmu byłem w Podkowie Leśnej, pokazano mi groby kilku węgierskich kawalerzystów, którzy zginęli tam w czasie wojny. Ich nagrobki zrobiły na mnie niezwykle wrażenie, ponieważ na Węgrzech w tamtych latach nie wolno było pamiętać o tych żołnierzach.

W jakich okolicznościach pojмали pana czerwoni?

Najciekawsze jest to, że kiedy nas pojмали, byliśmy rozbrojeni, ponieważ niedługo wcześniej Niemcy zabrali nam prawie całą broń i konie – zaczęliśmy bowiem być wtedy z ich punktu widzenia niewiarygodni. Tylko nasi oficerowie mogli zatrzymać rewolwery i konie. Nasz plan przewidywał ewakuację na zachód, bo wiedzieliśmy, czym pachnie sowiecka niewola. 8 maja byliśmy już blisko Amerykanów. Nasz dowódca wysłał do nich emisariusza. Byliśmy pewni, że pozwolą nam przejść do ich sektora. W odpowiedzi usłyszeliśmy jednak, że wojna jest skończona i nie mamy po co do nich iść – powinniśmy się rozjechać do domów. Zanim jednak cokolwiek postanowiono, Sowietci nas okrążyli i pojмали. Początkowo nawet obiecywali nam,

że po wykonaniu niezbędnej „roboty papierkowej” pozwolą nam wrócić do domów. Uwierzyłem w to i oczekiwałem z niecierpliwością momentu, gdy nas zwolnią. Do tamtej pory byłem bowiem przywykły do tego, że dane słowo ma swoją wagę.

Zamiast zwolnienia co dla was przyszykowali?

Wagony bydłce. Ruszyliśmy na wschód. Bardzo nieprzyjemnie zrobiło się, gdy zorientowaliśmy się, że zmieniają podwozie wagonów. Czyli jednak kierunek Sowiety. Najpierw byłem trzymany w obozie w Lebedian', a potem były inne obozy. Pracowałem niewolniczo m.in. w kamieniołomie. My, Węgrzy, byliśmy traktowani jak Niemcy. Ale komuniści nawet swoich traktowali jak nas, czyli jak wrogów. W tym kamieniołomie pracował obok mnie lejtnant Armii Czerwonej, który pod koniec wojny trafił na krótko do niemieckiej niewoli. To była jego jedyna zbrodnia przeciw ojczyźnie. Rozbijaliśmy takie same kamienie, żyliśmy jak niewolnicy w takich samych warunkach. Kiedyś bardzo szczerze powiedział mi, że on i jego ludzie mieli pozwolenie, żeby robić na podbijanych terenach, co tylko chcieli. Szczególnie z kobietami...

Jakie żniwo zbierała praca w kamieniołomie?

Traktowali nas tam jak zwierzęta. Łupałem kamienie jak niewolnik od listopada 1945 do maja 1946 r. Wraz ze mną pracę zaczęła grupa 300 mężczyzn z Besarabii. Na koniec zostało ich 80. Reszta padła z wycieńczenia. Dystrofia zbierała swoje żniwo. Ja byłem młody, dopiero co skończyłem 20 lat, i chyba tylko dzięki temu jakimś cudem przetrwałem okres niewolnictwa w Sowietach. Po harówce w kamieniołomie budowałem drogi i pracowałem w sowchozie. Jego dyrektorem był pułkownik. Niemiłosiernie bił nas, nie pozwalał rozmawiać. Kiedy po raz kolejny za nic zaczął okładać pięściami kolegę, który obok mnie kopał ziemię, nie mogłem się powstrzymać i podszedłem do niego, żeby przemówić mu do sumienia. Trafiłem za to na NKWD, a stamtąd do podziemnego karceru. Chyba powinienem był się cieszyć, że mnie od razu nie zabili.

Zacznijmy od początku, czyli momentu, gdy po raz pierwszy trafił pan w ręce komunistów.

Po raz pierwszy uwięzili mnie w maju 1945 r. Służyłem wtedy w węgierskiej kawalerii. Sowiecki walec bezlitośnie zmiażdżył Węgry – uważane przez Stalina za wroga równego hitlerowskiemu Niemcom. Po przewrocie strzałokrzyżowców, którzy zastąpili obalony rząd adm. Horthyego, również studenci uniwersyteccy musieli iść do armii. Skoro tak, to wybrałem kawa-

Tibor Pákh (1988 r.) FOT. ARCHIWUM



Obalony pomnik Stalina w Budapeszcie podczas powstania węgierskiego w 1956 r.

FOT. ARCHIWUM

■ W 1948 r. zwolnili pana i wrócił pan na Węgry. Komunistyczne, ale jednak Węgry.

Nic nie mogło być gorszego od stalinowskiego ZSRS. Węgierską ziemię witałem ze łzami w oczach. Na dworcu przemawiał do nas jakiś partyjniak. Mówił, że w „rodzącym się na nowo” społeczeństwie jest pewna rana. Chodziło mu o kard. Józsefa Mindszentyego. To były wstrząsające słowa. Dwa miesiące później aresztowali kardynała.

Jak znosił pan nowe porządki na Węgrzech?

Już w ZSRS napatrzyłem się na te nowe początki, ale jednak widok tej samej czerwonej barbarii we własnej ojczyźnie był szokujący. Komunistyczna okupacja rozpoczęła się tragicznie dla mojej rodziny. Moja matka została zabita przez podbijających Węgry Rosjan... Mieliliśmy dużą posiadłość. Nasi byli pracownicy opowiedzieli mi po powrocie z łagrów o tym zabójstwie. Oczywiście oficjalnie jej śmierć nie została zakwalifikowana jako morderstwo, bo tak się wtedy nie mogło stać.

Wraz z rodzeństwem byliśmy dziećmi majątku...

W tamtych latach musiało to oznaczać same kłopoty...

Dokładnie. Zupełnie oficjalnie nazywali takich jak my „antyłudowymi, opresyjnymi elementami byłego, zniszczonego, reżimu”. Bezpieka do końca komunizmu miała już mnie na oku.

Październik 1956 r. to jedna z najważniejszych dat w historii pańskiego kraju. Jak powstanie przeciw Moskwie wyglądało z pańskiej perspektywy?

Pracowałem wtedy w fabryce jako tłumacz. Nasz majątek był już tylko wspomnieniem – został zabrany przez komunistów. Młodzi robotnicy z fabryki przychodzili do mnie po pomoc przy nauce języków. Gdy to wszystko miało się dopiero zacząć, powiedzieli mi, że napisali petycję i będą brali udział w demonstracji w centrum Budapesztu. Ten wielki pochód przeszedł od pomnika Józsefa Bema pod budynek parlamentu. Dołączyłem do nich.

Wszyscy krzyčeliśmy: „Ruscy do domu!”. Byli tam prawicowcy i lewicowcy. Ci ostatni też mieli swoje żądania – chcieli zamienić stalinizm na leninizm (śmiech). Kiedy Nagy pozdrowił tłum i krzyknął: „Witajcie, towarzysze”, odpowiedział mu krzyk tysięcy gardeł: „Nie jesteśmy towarzyszami!”. Wtedy zmienił ton, choć przecież był komunistą. Początkowo miałem wobec niego ambiwalentne uczucia, ale ostatecznie trudno go nie uważać za męczennika. Brałem też udział w proteście pod budynkiem radia. Widziałem, jak tajna policja zabijała tam ludzi. Przez Węgry przelała się wtedy rzeka krwi patriotów.

Kiedy i w jakich okolicznościach został pan ranny?

Sowiecka kula trafiła mnie 25 października, podczas manifestacji pod parlamentem. To była masakra, która

trwała półtorej godziny. Najpierw schowałem się przed kulami pod sowieckim czołgiem, udekorowanym w węgierskie flagi. Trafili mnie nie-
długo później, gdy wyszedłem stamtąd i szukałem bezpiecznego miejsca w jednym z pobliskich budynków. Leżałem ranny wśród zabitych. Cóż to był za potworny dzień...

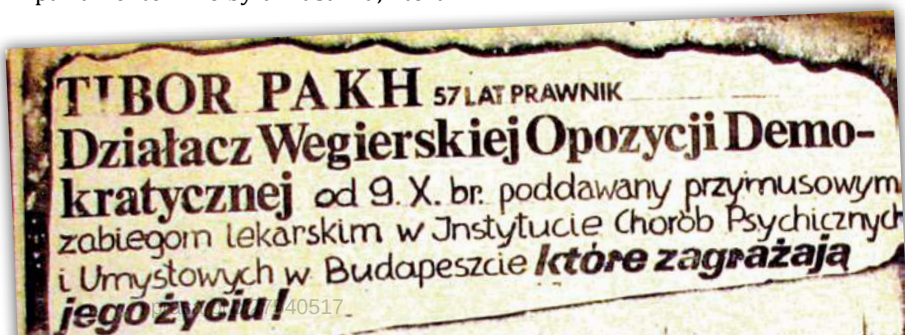
Komuniści mogli panu w zgodzie z prawdą zarzucić zbrojną walkę z czerwonym reżimem?

Nie mogli, bo ja z nimi całe życie walczyłem pokojowo. To młodzi ludzie rzucali wtedy butelkami z benzyną w sowieckie czołgi. Aresztowali mnie cztery lata po powstaniu węgierskim. Chociaż to w zasadzie było porwanie prosto z ulicy. Robili ze mnie przywódcę grup kontrrewolucjonistów. Kiedy mnie oskarżali o siłową próbę usunięcia socjalistycznych władz, sami w to nie wierzyli, bo wszyscy świadkowie potwierdzali, że moje protesty były pokojowe.

Kiedy wsadzili pana na 12 lat do więzienia, był pan sześć lat po ślubie. Wasz syn był właśnie w drodze na świat...

Moja żona była wtedy w czwartym miesiącu ciąży. Lekarze bardzo brutalnie obchodzili się z nią podczas porodu, gnietli jej brzuch. Nie wiem, czym wyjaśnić to zachowanie. Krótko po porodzie pozwolili jej przyjść do mnie do więzienia. Powiedziała mi wtedy, że nasze dziecko żyło tylko 10 dni...

Żona zmarła pięć lat temu. Ta kobieta naprawdę zasługuje na beatyfikację. Była piękna i młoda, a ja byłem całymi latami trzymany w więzieniu. Ona jednak cały czas trwała przy mnie, chociaż komuniści na różne sposoby nieustępliwie starali się ją nakłonić, żeby ode mnie odeszła. Udało im się to często w przypadku innych więźniów politycznych. Różnymi diabelskimi sztuczkami rozbijali ich małżeństwa. W ten sposób opozycjoniści zostawali zupełnie sami, nie mając do kogo wracać.



Nigdy potem nie został pan ojcem...

Kiedy wypuścili mnie w 1971 r., dla mojej żony minął już czas na macierzyństwo. To najbardziej bolesna rana, którą mi zadali komuniści.

W ciągu tych 12 lat więzienia zadali panu jednak sporo ran fizycznych. Co było najgorsze?

W ciągu sześciu lat z tych 12 byłem ponad sto razy traktowany elektrowstrząsami. Razili mnie prądem aż do utraty przytomności. Chcieli w ten sposób sprawić, abym przestał protestować przeciw temu, jak traktowali więźniów politycznych. Byłem też przez trzy tygodnie poddawany niewyobrażalnej torturze – zastrzykom insulinowym. Człowiek po takim zastrzyku wchodzi we wstrząs insulinowy i ma wrażenie, że zaraz umrze. Ja to przeżyłem tylko dzięki Bogu. Zawsze mówiłem lekarzom, którzy mnie tak traktowali: „Nie współpracujcie z tajną policją, nie dajcie się wykorzystywać!”, ale oni nie byli w stanie odmówić wykonania poleceń przełożonych.

To brzmi jak opowieść prosto ze Związku Sowieckiego, gdzie dysydentów „leczone” w niezwykle brutalny sposób.

Nie tylko w Sowietach tak traktowali opozycjonistów, chcąc zrobić z nas wszystkich chorych psychicznie. Mnie wmawiali, że mój umysł toczy ciężka choroba umysłowa. W 1983 r. odwiedził mnie znany psychiatra, prof. Charles Durand, który stwierdził, że „Pákh jest wręcz harmonią przekonañ ideologicznych, religijnych i moralnych z realistycznym podejściem do świata zewnętrznego”. Ogłosił to na konferencji prasowej i powiedział, że nie tylko w Związku Sowieckim wykorzystuje się psychiatrę do torturowania opozycjonistów. Profesor Durand obserwował mnie przez trzy dni i stwierdził, że jestem zupełnie zdrowy na umyśle, chociaż komuniści upierali się, że jestem ciężko chory psychicznie.

Widziałem piękny apel w pańskiej obronie, który polscy opozycjoniści napisali w październiku 1981 r., gdy po raz kolejny węgierska bezpieka przymusowo „leczyła” pana z wymyślonych chorób. Polacy nie zapomnieli o pana udziale

w proteście głodowym z wiosny poprzedniego roku, gdy był pan jedynym obcokrajowcem, który dołączył do głodówki w sprawie uwolnienia Mirosława Chojeckiego, założyciela niezależnego wydawnictwa NOW.

Byliśmy jedną rodziną, więc nie mogłem postąpić inaczej. Jestem bardzo wdzięczny Polakom za całe okazane wsparcie. Było ono nieocenione, żeby człowiek się nie poddał. Do końca komunizmu bezpieczeństwa chodziła bowiem za mną. Ostatni raz porwali mnie 23 października 1988 r., w kolejną rocznicę wybuchu powstania węgierskiego.

Żałuje pan czegokolwiek?

Nie. Wiem, co straciłem, ale żyję nadzieją, że moi najbliżsi na mnie czekają.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tibor Pákh

(ur. 1924 r.) jest węgierskim prawnikiem, obrońcą praw człowieka. W czasach komunizmu był jednym z czołowych działaczy węgierskiej opozycji demokratycznej.

REKLAMA

Celtic Woman
ANCIENT LAND

GRAMMY AWARDS NOMINEE

KONCERTY

4 LISTOPADA 2019 - SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER
6 LISTOPADA 2019 - DOM MUZYKI I TAŃCA ZABRZE

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

ALBUM JUŻ W SPRZEDAŻY!

celticwoman.com

f t i y

Prestige
MJM



Fundacja Kultury Irlandzkiej
Fondsirocht Chaidir na hÉireann
Irish Culture Foundation

wprost

DO RZECZY

WP

VIXON

PRESS
SERVICE

pap

dobry

Scena z zamachu stanu
w Chile we wrześniu
1973 r.

FOT. UNIVERSAL IMAGES GROUP/FORUM

Lata 1970–1980

Międzynarodówka

Cień Kondora



Arkadiusz Karbowiak

**Junta wojskowa
w Argentynie zabiła
ok. 9 tys. osób. W Chile
ofiar było trzy razy
mniej**

Przywódca lewicowej koalicji Unidad Popular (Jedność Ludowa) Salvador Allende wygrał wybory w Chile 4 września 1970 r. Zyskał poparcie wynoszące 36,2 proc. głosów, a jego główny prawicowy rywal – Josse Alessandri – otrzymał 34,2 proc. Przewaga była zbyt nikła, aby zostać prezydentem kraju, bo zgodnie z konstytucją należało uzyskać minimum 50 proc. głosów poparcia. Decyzję o mianowaniu go na to stanowisko podjął chilijski parlament. Niemal od samego początku Allende, będący zadeklarowanym marksistą, zaczął realizować politykę

radykałnych reform (niektóre z nich, m.in. reforma rolna, zostały ustanowione jeszcze za czasów rządów jego chadeckich poprzedników). Próby wcielenia w życie socjalistycznej utopii doprowadziły Chile do stanu gospodarczej zapaści. Działaniom Allende sprzeciwiała się opozycja parlamentarna, ale jej opór w tej materii prezydent przełamywał, posługując się dekretemi. Te posunięcia podminowywały panujący w Chile system demokratyczny.

W polityce zagranicznej Allende posiadający związki z KGB (był kontaktem operacyjnym o pseudonimie Lider) nawiązał bliskie relacje z Kubą i ZSRS oraz innymi krajami bloku komunistycznego. Owe relacje miały stanowić rodzaj parasola ochronnego oraz stworzyć warunki do prowadzenia kooperacji gospodarczej z krajami tego bloku. Co ciekawe, Moskwa, nie wierząc w powodzenie chilijskiego eksperymentu, nie kwapiła się zbytnio do udzielenia poważnej pomocy finansowej Chile. Wybór prosowieckiej opcji w polityce zagranicznej wywołał poważne zaniepokojenie w Waszyngtonie.

Tocząca się wówczas zimna wojna między krajami wolnego świata a blokiem sowieckim oraz sukcesy, które odnosiły w niej kraje obozu komunistycznego, szczególnie na kontynencie azjatyckim i afrykańskim, spowodowały, że ówczesna administracja amerykańska prezydenta Richarda Nixona, w obawie przed możliwością powstania kolejnej Kuby na obszarze Ameryki Łacińskiej, postanowiła podjąć zdecydowane kroki wobec chilijskich władz. W ich ramach zablokowano możliwość pozyskania przez Chile nowych pożyczek. Poprzez fundusze Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) sfinansowano strajk transportowców, a także przekazano dotacje opozycyjnym partiom politycznym oraz prawnicowemu, znajdującemu się pod presją rządu, dziennikowi „El Mercurio”.

W 1973 r. inflacja osiągnęła rekordową wielkość 190 proc. Państwo destabilizowały: chaos, strajki, uliczne manifestacje i protesty. Akceptowane przez władze siłowe przejmowanie własności ziemskiej oraz fabryk przez lewicowych bojówkarzy, starcia uliczne rywalizujących ze sobą ugrupowań politycznych, niewyko-

antyterrorystyczna Ameryki Południowej

nad Chile



nywanie wyroków sądowych. To stało się zwykłą codziennością, a także przedmiotem powszechnej krytyki, m.in. Sądu Najwyższego. Opozycyjne wobec prezydenta media poddano naciskom prawno-urzędowym, utrudniając ich funkcjonowanie. Wszystko to wzmacniało stan wewnętrznego napięcia między rządem a opozycją. Z biegiem czasu stawało się jasne, że kraj znajduje się na drodze ku wojnie domowej, czemu do pewnego czasu jako niemy obserwator przyglądała się chilijska armia.

Obalenie Allende

W środowiskach wojskowych coraz powszechniej zaczęła dojrzywać myśl o dokonaniu zamachu stanu. Główny ośrodek spisku zawiązał się w strukturach marynarki wojennej, a na czele jego stanął adm. Jose Merino (gen. Pinochet przystąpił do puczystów kilka dni przed zamachem 9 września). Zachętą do wystąpienia armii przeciw rządowi była „Deklaracja upadku demokracji w Chile” wydana 22 sierpnia 1973 r. przez parla-

mentarzystów koalicji Partii Chrześcijańskich Demokratów i Partii Narodowej. Wzywała ona siły zbrojne do interwencji mającej na celu „jak najszybsze zakończenie licznych naruszeń konstytucji”.

11 września 1973 r. doszło do przewrotu. Na czele junty wojskowej stanął dowódca chilijskich sił zbrojnych, gen. Augusto Pinochet. W dniu puczu o godz. 7 jednostki marynarki wojennej zajęły port w Valparaíso. W tym samym czasie opanowana przez wojsko rozgłośnia radiowa nadała komunikat: „[...] Prezydent republiki natychmiast ma przekazać swoją funkcję siłom zbrojnym i korpusowi karabinierów... Od tej chwili prasa, radio i stacje telewizyjne Unidad Popular winny powstrzymać się od wszelkiej działalności informacyjnej, w przeciwnym razie zostaną zaatakowane z powietrza i ziemi [...]”.

Allende na wieść o zamachu przybył do pałacu prezydenckiego La Moneda. Podczas rozmowy telefonicznej z zamachowcami odrzucił przedstawioną mu propozycję opuszczenia kraju. Wkrótce pałac zaatakowały jednostki pancerne II Pułku wspierane przez żołnierzy pie-



choty. Obrońcy – członkowie prezydenckiej ochrony tzw. GAP (Grupos de Amigos Personales) – odparli napastników. Wtedy głównodowodzący siłami powietrznymi gen. Gustavo Leigh wydał lotnictwu rozkaz zbombardowania pałacu. Zadanie to wykonały samoloty Hawker Hurricane o godz. 11.55. Po ataku z powietrza nastąpił kolejny atak, tym razem wojsk lądowych.

Kiedy było jasne, że obrońcy La Monedy skazani są na porażkę, między godz. 13.50 a 14.20 Salvador Allende przystawił sobie pod brodę podarowany przez kubańskiego przywódcę Fidela Castro karabin AK-47. Twórca chilijskiej pokojowej drogi do socjalizmu popełnił samobójstwo, kończąc tym samym erę swych niesławnych rządów. W walkach o pałac prezydencki poległy dwie osoby ze strony rządowej (12 ujętych członków GAP rozstrzelano) i 34 żołnierzy walczących po stronie puczystów.

Władze wojskowe niemal od pierwszych chwil po zamachu rozpoczęły oczyszczanie kraju z „lewicowej zarazy”. Rozpoczęły się: egzekucje, aresztowania i tortury. Tysiące zatrzymanych zgromadzono na stadionie narodowym w Santiago. Część radykalnych działaczy związanych z ugrupowaniami rewolucyjnymi, krytycznie oceniających pokojowe metody stosowane przez Allende, uznała, że po zamachu Pinocheta przestały obowiązywać wszelkie ograniczenia, które radykałowie narzucili sobie w okresie rządów UP, i nadszedł wreszcie czas na wywołanie rewolucji. Największą dążącą do realizacji tego celu organizacją był Ruch



Generał Augusto Pinochet

FOT. WIKIPEDIA

■ Lewicy Rewolucyjnej MIR (Movimiento de Izquierda Revolucionaria).

Junta terrorystów

Jeszcze przed przewrotem członkowie MIR nawiązali kontakt z przybywającymi do Chile rewolucjonistami z innych ugrupowań lewicowych działających w różnych krajach Ameryki Łacińskiej. Wśród nich byli Boliwijczycy z Armii Wyzwolenia Narodowego (Ejército de Liberación Nacional) urugwajscy Tupamaros (Movimiento de Liberación Nacional-Tupamaros) oraz bojownicy z argentyńskiej Rewolucyjnej Armii Ludu (Ejército Revolucionario del Pueblo). Przedstawiciele wszystkich tych ugrupowań po raz pierwszy, wtedy jeszcze bez udziału Boliwijczyków, spotkali się w październiku 1972 r. w Chile. Kolejna narada odbyła się w Argentynie. Rewolucyjni adepci ze wspomnianych organizacji szkolili się w położonym w Andach obozie Cajón del Maipo.

W sierpniu lewicowi rewolucjoniści zawiązali formalny sojusz o nazwie Junta Koordynacji Rewolucyjnej (Junta Coordinadora Revolucionaria). Wkrótce członkowie JCR opuścili chilijską – wtedy jeszcze bezpieczną – przystań, udając się do Argentyny, która po zamachu Pinocheta stała się mekką lewicowych bojowników. JCR stanowiła rodzaj lewicowej terrorystycznej międzynarodówki. Jej członkowie mieli doprowadzić do ucieśnienia idei wywołania wojen rewolucyjnych w poszczególnych krajach Ameryki Łacińskiej. Jeden z nich, Luis Mattini, wspominał: „Wyobraziliśmy sobie przeksztalcenie całej Ameryki w nowy Wietnam... Zamierzaliśmy zanieść idee JCR do Brazylii, Peru, Meksyku, Caracas. Myśleliśmy wtedy, że wkrótce rewolucja ogarnie całą Amerykę Łacińską”.

Tuż po powstaniu JCR przystąpiono do opracowania wspólnej strategii i harmonogramu działań. Całą Amerykę Południową miała objąć rewolucyjna infrastruktura w postaci biur, kryjówek, punktów kontaktowych. JCR dysponowała dzięki ERP okazałymi zasobami finansowymi. Zostały one zebrane dzięki akcjom argentyńskich radykałów na banki oraz organizowanym przez nich porwanom ważnych osób. Przykładowo za porwanego 6 grudnia 1973 r. Viktora Samuelsona, menedżera Exxon Corporation, lewicowym wywrotowcom firma zapłaciła 14,2 mln dol. Za dwóch innych porwanych biznesmenów koncern Firestone zapłacił kolejne 3 mln dol.

Informacje o powołaniu JCR szybko dotarły do funkcjonariuszy służb specjalnych państw Ameryki Łacińskiej. Bardzo poważnie potraktował je płk Manuel Contreras, szef nowo powstałej tuż po zamachu chilijskiej służby wywiadowczej występującej pod nazwą Narodowa Dyrekcja Wywiadu (Dirección Nacional de Inteligencia). Funkcjonariuszom DNI dość sprawnie udało się spacyfikować lewicowe podziemie w kraju. Przykładem skuteczności DNI było zabicie w walce w październiku 1974 r. lidera MIR Miguela Enríqueza. Contreras, mając świadomość tego, że ciężar działalności podziemia przeniósł się do innych krajów Ameryki Południowej, gdzie chilijscy rewolucjoniści przygotowywali się do podjęcia walki z reżimem Pinocheta, uznał, że właściwą odpowiedzią na stworzenie lewicowej terrorystycznej międzynarodówki musi być powstanie międzynarodówki antyterrorystycznej.

Powołano ją do życia 26 listopada 1975 r. w budynku Akademii Wojskowej przy La Alameda w Santiago podczas spotkania przedstawicieli służb specjalnych Argentyny, Boliwii, Urugwaju, Paragwaju

i Chile (nieco później do antyterrorystycznej międzynarodówki dołączyły: Brazylia, Peru i Ekwador). Przybyłych gości powitał gen. Pinochet, po czym przekazał przewodniczenie obrad w ręce płk. Contrerasa, który tak uzasadnił propozycję powołania latynoamerykańskiej organizacji antyterrorystycznej: „Organizacje wywrotowe [...] nie uznają granic ani państw, przenikając wszystkie dziedziny życia narodowego. Organizacje wywrotowe rozwinęły struktury kierownicze, istniejące na szczeblu międzynarodowym, kontynentalnym, regionalnym i subregionalnym... Z kolei kraje, które są atakowane na froncie militarnym, ekonomicznym i politycznym zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz, w większości przypadków usiłują temu przeciwstawić się wyłącznie za pomocą dwustronnych uzgodnień lub zwykłych »dżentelmeńskich porozumień«”.

Działaniami antyterrorystycznym nadano kryptonim Kondor na cześć kraju, który zainicjował współpracę w dziedzinie zwalczania międzynarodowego terroryzmu (Kondor to symbol narodowy Chile). Pierwszym etapem operacji było utworzenie w Chile centrum koordynacyjnego. Zamierzano w nim gromadzić informacje o osobach zaangażowanych w działania wywrotowe (należy dodać, że zbieranie informacji oraz późniejsze akcje likwidacyjne dotyczyły czasami osób należących do opozycji politycznej niemających związków z ugrupowaniami terrorystycznymi). Kolejne etapy operacji – drugi i trzeci – miały dotyczyć już akcji likwidacyjnych. W fazie drugiej prowadzone miały być one w Ameryce Łacińskiej, a w trzeciej – we wszystkich innych krajach leżących poza kontynentem latynoamerykańskim.

Cena kontrrewolucji

Państwem, gdzie przeprowadzono jedną z pierwszych akcji w ramach operacji „Kondor”, był Paragwaj. Tamtejsi lewicowi radykałowie podjęli próbę zgładzenia przy użyciu samochodu pułapki rządzącego Paragwajem od 1954 r. gen. Alfredo Stroessnera. Ładunek wybuchowy, który miał zabić dyktatora, umieszczony był w furgonetce zaparkowanej na trasie, którą przemieszczał się Stroessner, nie eksplodował. W listopadzie 1974 r. paragwajska służba

bezpieczeństwa aresztowała jednego z uczestników zamachu. Torturowany więzień załamał się i zdradził kryjówkę swych towarzyszy. W efekcie nastąpiła fala aresztowań. Stan determinacji tych, którzy ich uniknęli, mieli zbadać dwaj emisariusze wysłani do Paragwaju w maju 1975 r. przez Komisję Wykonawczą JCR. Byli nimi Amilcar Santucho, starszy brat lidera ERP Roberto Santucho, oraz Jorge Fuentes, przedstawiciel MIR w Buenos Aires.

Jeden z przywódców JCR Luis Mattini po latach wspominał cel ich podróży: „To był rodzaj rekonesansu mającego ustalić poziom determinacji latynoamerykańskich rewolucjonistów. Miało to być coś w rodzaju sondy. Po powrocie mieli złożyć stosowny raport, a następnie jeszcze raz tam pojechać, żeby scementować sojusze...”. Podróżujący rewolucjoniści nie mieli świadomości, że są pod stałą obserwacją agentów paragwajskich służb specjalnych. Niedługo po przekroczeniu granicy w autobusie aresztowany został Santucho. Fuentesowi umożliwiono dotarcie do stolicy, gdzie został aresztowany w hotelu Espana przez agentów Wydziału Śledczego Policji Stołecznej. Przy zatrzymanych znaleziono notesy z adresami i kontaktami. Szybko je rozszyfrowano. Obaj aresztowani pod wpływem tortur wydali wiele tajemnic organizacyjnych.

Szczególnie dużo informacji wydobyto od Fuentes, którego po kilku miesiącach przekazano w ręce chilijskiej DNI. Fuentes znalazł się w Villa Grimaldi, specjalnym ośrodku przesłuchań, po czym ślad po nim zaginął. Zginął zapewne tak jak wielu innych zaginionych, zabity strzałem w głowę lub zrzucony z samolotu do oceanu. Pułkownik Contreras wystosował do paragwajskich kolegów list z podziękowaniami za wyrażenie zgody na deportację Fuentes. Pobocznym efektem paragwajskiego śledztwa było ustalenie paryskiego adresu Ilicha Ramíreza Cárlosa, wenezuelskiego terrorysty współpracującego z Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny Wadiego Haddada, oskarżanego o uczestnictwo w wielu zamachach terrorystycznych w Europie. Carlosa wtedy nie udało się Francuzom ująć, a on sam zastrzeliwszy dwóch agentów DST (francuski kontrwywiad) i informatora, zbiegł (Francuzi aresztowali go dopiero w 1994 r. w Sudanie).

Poza Paragwajem coraz większą aktywność w zwalczaniu JCR zaczęli wyka-

zywać funkcjonariusze argentyńskiego 601. Batalionu Wywiadowczego stanowiącego jednostkę wykonawczą wywiadu wojskowego. Ów wzrost aktywności wiązał się z przewrotem wojskowym, który nastąpił w Argentynie w marcu 1976 r. Stojący na czele junty wojskowej, która przejęła władzę, gen. Jorge Videla zastosował zupełnie inną taktykę walki z radykalną lewicą niż ta, którą przyjęła chilijska junta. Argentyńscy wojskowi

specjalnych 10 kwietnia 1976 r. Oboje potem przekazano władzom chilijskim i słuch po nich zaginął. Złudzeń co do losu tej pary nie pozostawiają informacje zawarte w raporcie CIA. Czytamy tam m.in.: „Lewicowy przywódca chilijski Edgardo Enríquez, który został aresztowany 10 kwietnia przez argentyńskie siły bezpieczeństwa, został następnie przekazany Chilijczykom i już nie żyje”.



General Jorge Rafael Videla przemawia po zamachu stanu w Argentynie w 1976 r.

FOT. ARCHIWUM

przystąpili do dzieła zniszczenia ugrupowań rewolucyjnych bez specjalnego rozgłosu. Z dala od fleszy dziennikarskich obiektywów argentyńskie służby specjalne i wojsko metodycznie, w sposób tajny, krok po kroku likwidowały działaczy oskarżanych o działalność wywrotową. Nie sprawdziły się słowa lidera ERP Roberta Santucho sugerujące, że zamach argentyńskich wojskowych stanowi „skok jakościowy w dalszym rozwoju walki rewolucyjnej”. Zamach przyniósł co prawda skok jakościowy – szczególnie w porównaniu z rządami peronistycznymi – w dziedzinie szybkiej likwidacji lewicowych ugrupowań terrorystycznych.

Skuteczności tych działań doświadczyło samo kierownictwo ERP, kiedy 12 jego członków zginęło podczas najsilniejszego oddziały wojskowego na kryjówkę dowództwa organizacji. Ujęty wówczas żywcem szef wywiadu ERP, torturowany, podał miejsce pobytu lidera MIR Edgardo Enríqueza, którego wraz z Brazylijką Reginą Marcondes aresztowali funkcjonariusze argentyńskich służb

Nieznana jest ostateczna liczba osób zabitych w czasie operacji „Kondor”. Zapewne była ona mniejsza w stosunku do ogólnej liczby zabitych i „zaginionych” podczas tzw. brudnych wojen, które toczono z lewicą rewolucyjną na kontynencie latynoamerykańskim. W Argentynie w okresie rządów junty wojskowej w latach 1976–1983 życie straciło 9089 osób. W Chile liczba ta była zdecydowanie mniejsza i wynosiła 3192, w tym 132 funkcjonariuszy służb państwowych. Czy była to cena warta zapłacenia? Właściwej odpowiedzi na to pytanie udzielił w jednym z wywiadów gen. Pinochet, mówiąc: „Gdybyśmy wtedy nie wkroczyli, Chile przestałoby istnieć jako państwo, a komunistyczna pożoga rozprzestrzeniłaby się na cały kontynent... Zapłaciliśmy za to ogromną cenę. Wystarczy, że zginie chociażby jeden człowiek, to już cena jest zbyt wysoka... Stanęliśmy przed klasycznym wyborem mniejszego zła; ratowaliśmy kraj, ratowaliśmy byt i przyszłość kilkunastu milionów Chilijczyków...”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Lata 1953 i 1954

/ Piractwo czy uzasadniona obrona Czang Kaj-szeka?



Statki PRL w pułapce Tajwanu



Maciej Rosalak

/ Działa i zbrojne desanty floty Republiki Chińskiej sterroryzowały załogi PRL-owskich statków SS „Praca” i MS „Prezydent Gottwald”

Moje pokolenie może pamiętać z wczesnego dzieciństwa dramatyczne audycje radiowe. Złowróżbna muzyka symfoniczna poprzedzała komunikaty o zatrzymanych na morzu polskich statkach, o naszych uprowadzonych marynarzach, o tragicznym losie, jaki może ich spotkać w rękach zbira nad zbirami – Czang Kaj-szeka z nożem w zębach i amerykańskim automatem w krwawych rękach.

Tenże łotr z Tajwanu był wymieniany obok takich zbrodniarzy, zagrażających pokój miłującej socjalistycznej części ludzkości, jak południowokoreański Li Syng-Man, zachodnioniemiecki Adenauer oraz amerykański prezydent Truman, a potem Eisenhower.

Od tamtej pory minęły dziesięciolecia, porządek świata – podzielonego na zły imperializm amerykański idący pod rękę z militarystką zachodnioniemiecką oraz na dobry obóz komunistyczny ze Związkiem Sowieckim na czele – został wywrócony do góry nogami. A już o fakcie porwania dwóch statków pod polską banderą – SS „Praca” i MS „Prezydent Gottwald” – na wysokości Tajwanu mało kto pamięta. A jest to historia dość ciekawa; tym bardziej, im bardziej jest niejednoznaczna.

Na początku lat 50. Azja – zwłaszcza południowo-wschodnia – przypominała wulkan. Komuniści chińscy dopiero co wyparli z kontynentu prawowity, demokratyczny rząd Republiki Chińskiej z jej prezydentem Czang Kaj-szekiem. Zajął on ze swym wojskiem ogromną i ludną wyspę Tajwan (Formozę). Dzieli

ją od kontynentu Cieśnina Tajwańska o długości 360 km i szerokości od 130 do 250 km, łącząca Morze Południowochińskie z Morzem Wschodniocchińskim. Na komunistyczną Chińską Republikę Ludową liczne kraje Zachodu nałożyły wtedy sankcje – również za wspieranie najazdu komunistycznej, północnej Korei na Koreę Południową, a nawet wysłanie tam na front milionowej armii.

Embargo na towary dostarczane do ChRL obejmowało więc przede wszystkim broń i surowce strategiczne – zwłaszcza paliwa. Chińscy komuniści nie mieli wtedy prawie w ogóle floty, bo większość chińskich statków i okrętów uciekła od nich do portów Tajwanu. Transporty morskie do ChRL płynęły więc z ZSRS, a także z PRL – jednego z nielicznych państw „obozu” mającego dostęp do morza i rozwijającą się flotę. Polscy komuniści zawarli nawet w 1951 r. z chińskimi umowę o wspólnym Chińsko-Polskim Towarzystwie Okrętowym, zwanym z bolszewicką Chipolbrokiem, dysponującym rzytło kilkunastoma statkami przekazanymi od Polskich Linii Oceanicznych. Notabene, Towarzystwo przetrwało różne zawiro-



Prezydent Republiki Chińskiej,
generalissimus Czang Kaj-szek FOT. WIKIPEDIA

wania dziejowe – nawet konflikt Sowie-
tów z Mao Tse-tungiem w latach 60. oraz
odwrócenie III RP od morza z początkiem
lat 90. – i kwitnie do dziś...

Statki Chipolbroku, na ogół z mie-
szanymi polsko-chińskimi załogami,
pływały od początku lat 50. – oficjalnie
w zwykłych rejsach handlowych, po wo-
dach międzynarodowych, gdzie pozornie
nic im nie zagrażało. Amerykanie i Chiń-
czycy z Tajwanu dość szybko powzięli
podejrzenia, że ich ładownie i zbiorniki
zawierają towary zakazane. W 1953 r. za-
trzymali pierwszy ze statków pod polską
banderą, a w 1954 r. – drugi...

Tajfun z południo- –wschodu

Przebieg zajęcia polskiego frachtowca
na pełnym morzu przez chińską mary-
narkę wojenną Czang Kaj-szeka opisał
Janusz Meissner w opowiadaniu „Tajfun
z południo-wschodu”, w książce o tym
samym tytule. Jest to fikcja literacka,
opublikowana w 1955 r. w PRL, ale

bezpośrednio nawiązująca do dramatu
dwóch statków Chipolbroku.

Znany od lat 20. pilot i autor licznych
utworów o tematyce lotniczej oraz ma-
rynistycznej, który wrócił w 1946 r. do
kraju z Wielkiej Brytanii (podobnie jak
jego brat, kapitan żeglugi wielkiej Tadeusz
Meissner), zawarł we wspomnianym
opowiadaniu akcenty w niewyrafino-
wany sposób satysfakcjonujące komuni-
stycznego wydawcę. Kapitan i oficerowie
nieistniejącego w rzeczywistości statku
MS „Partyzant” są dzielni i wierni ludowej
ojczyźnie, amerykański porucznik jest
agresywny, ma długie, żółte zęby oraz
wodniste oczy, a jego tajwański pomocnik
jest krostowaty. Pomińmy to. Ponieważ
Meissner barwnie i – co więcej – ze
znawstwem tematu opisał piracką akcję,
spójrzmy, jak ona przebiegała.

Oto oficer wachtowy obserwuje
morze szczególnie uważnie, bo wcześniej
trzykrotnie nadlatywały nad statek sa-
moloty, a jeden – ze znakiem US Air Force
– nadał zaszyfrowaną depezę. Oficer
patrzy, patrzy...

„[...] gdy wtem jego wzrok zawadził
o coś, co na krótką chwilę zaczerniało

w oddali i natychmiast znikło, jakby
pogrążyło się w morzu. Spojrzał znów
w tamtym kierunku i dostrzegł daleki,
drobny, cichy kształt, który po sekun-
dzie zapadł pod nadbiegającą falę, aby
wynurzyć się i zniknąć znowu”. Wziął
więc lornetkę i „niedługo szukał: spoza
obłych wzgórz wodnych wychynął
maszt z dwiema rejkami i niski komin,
a zaraz potem smukła wieżyczka i wą-
ski dziób okrętu. Zwinny szary torpedo-
wiec szedł pełną szybkością w poprzek
kursu statku, przecinając mu drogę”.

Rychło kapitan poprzez radiotele-
grafistę musiał odpowiadać na pytania
o nazwę i narodowość, skąd i dokąd
płynie oraz jaki wiezie ładunek. Wreszcie
kazano mu zatrzymać maszyny. „– Nie
odpowiadać – rzucił przez zęby”.

„Torpedowiec tymczasem zatoczył
łuk i zrównał się z nimi. Na reje jego
masztu załopotały kolejno chorągiewki
kodu flagowego: biała przekreślona
niebieskim krzyżem nakazywała »prze-
rwać wszystkie czynności i obserwo-
wać moje sygnały!«; druga powtarzała
rozkaz nadany przez radio »Naty-
chmiast zatrzymać statek!«”. Rozkaz ten
został zignorowany przez dzielnego
kapitana, statek „płynął naprzód, roz-
walając dziobem fale i nie zmniejszając
szybkości” i tak „upłynęły dwie ciężkie
minuty...”.

„Wtem na pokładzie torpedowca
wyszczął się nieznaczny ruch i po chwili
lufa jednego z dział obróciła się w stronę
statku. Ludzie wstrzymali oddech... w tej
samej chwili z wieżyczki torpedowca
błysnął krótki płomień i huk targnął
powietrzem, a o sto metrów przed dzi-
obem strzelił w górę srebrzysty rozprysk
wody. Głośnie westchnienie wyrwało się
z piersi marynarzy... Rozległ się drugi
strzał i tym razem pocisk uderzył tak bli-
sko, że opadające krople wody opryskały
pokład na dziobie.

– Maszyny stop! – zawołał trzeci
oficer.

Usłyszeli stłumiony dźwięk dzwonka
telegrafu maszynowego i natychmiast
wibracja statku ustała.

– Mała w tył – powiedział kapitan.

Śruby ruszyły, woda za rufą spieniła
się, pokład drgał lekko pod nogami, sta-
tek z wolna tracił pęd.

I znowu: – Stop!”.

Kiedy spełniono kolejny rozkaz
– o opuszczeniu trupu z prawej bur-
ty – „łódź wypełniona chińskimi

■ marynarzami w jasnych drelichach zbliżała się szybko. Na jej dziobie stał wysoki mężczyzna w białym mundurze z naszywkami porucznika... z pewnością nie był Chińczykiem... Stanowiska manewrowe (polskiego statku) zostały obsadzone przez uzbrojonych marynarzy z pirackiego okrętu, prawie cała załoga, z wyjątkiem starszego mechanika i dyżurnej wachty maszynowej – oddzielnie oficerowie i marynarze – stała w dwóch grupkach na przednim pokładzie, również pod strażą. W kabinie radio siedział obcy podoficer radiotelegrafista, dwaj inni stali u steru...”

Późniejszy huragan na morzu pomógł Polakom zachować wolność i statek. Mniejsza jednak z tym, co się potem wydarzyło, bo w rzeczywistości się nie wydarzyło, ale Meissner opisał samo zatrzymanie statku tak, jak się wydarzyć mogło...

Porwanie SS „Praca”

Był to zbiornikowiec o nośności ponad 12 tys. ton i o długości 147 m, zbudowany dla US Shipping Board w 1921 r. w stoczni Northwest Bridge and Iron Co., Portland, stan Maine. W 1951 r. kupiły go Polskie Linie Oceaniczne z przeznaczeniem do eksploatacji przez Chipolbrok. Zmieniono mu wtedy nazwę z „Tavira” (wcześniej: „Swiftarrow” i „Atlantic II”) na SS „Praca”. Dodajmy, że „SS” oznacza „steam ship” lub „screw steamer”, czyli „parowiec”. Trzydziestoletni, wysłużony statek, niezbyt pojemny jak na zbiornikowiec, z maszyną parową o mocy 3,2 tys. KM, rozwijał do dziewięciu węzłów, nie był więc jednostką imponującą ani nowoczesną. Obsługiwała go 46-osobowa polsko-chińska załoga pod dowództwem kpt. ż.w. Leonarda Wąsowskiego.

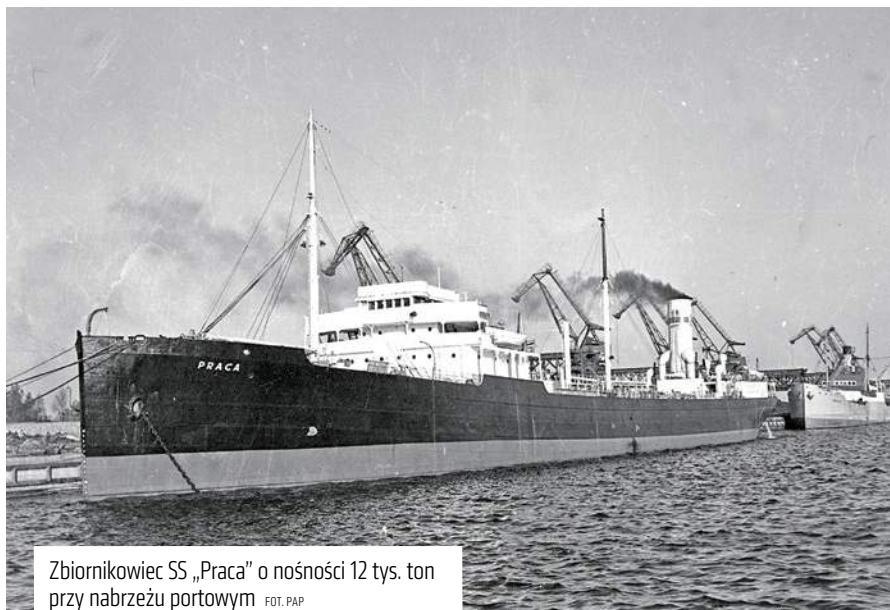
Na przełomie września i października 1953 r. statek wyruszył w kolejny rejs do Chin. Gdy zbliżał się do celu, był obserwowany z krążących nad nim amerykańskich samolotów, a 4 października został zatrzymany przez dwa niszczyciele floty Czang Kaj-szeka. Kapitan Wąsowski nie od razu posłuchał rozkazu zastopowania maszyny, gdyż znajdował się poza tajwańskimi wodami terytorialnymi i nie złamał żadnego z przepisów morskich. Musiał jednak ulec, gdy okręty wojenne

skierowały w kierunku SS „Praca” lufy swych dział, i wykonywać dalsze polecenia napastników. W efekcie na pokład dostał się desant uzbrojonych marynarzy, którzy skierowali okręt pod polską banderą do portu na Tajwanie.

Był to Kaohsiung (Gaoxiong), największy port wyspy, leżący na jej południowo-zachodnim wybrzeżu, dziś liczący tyłu mieszkańców co Warszawa (2,3 mln). Po zacumowaniu okazało się, że ci, którzy uprowadzili SS „Praca”, od początku rejsu mieli informacje o tym, że jej zbiorniki zawierają paliwo lotnicze, a nie – deklarowaną w dokumentach przewozowych – naftę oświetleniową. Z kolei władze PRL nigdy się do tego nie przyznały. Jednocześnie interweniowały w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu i w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

z kapitanem, przyjęło propozycję. Warto zauważyć, że kpt. Wąsowski otrzymał w USA pracę na stacji benzynowej, co nie było dla niego zapewne szczytem marzeń, aczkolwiek na morzu też zajmował się w końcu dostarczaniem pochodnych ropy naftowej...

Natomiast pozostałych 18 marynarzy po trzech czwartych roku wysłano do Polski. Oficjalnie fetowano ich na lotnisku w Gdańsku, ale po uroczystościach byli inwigilowani przez bezpieczeństwo, azykanowani, ze zwolnieniami z pracy włącznie. Nie okazali bowiem dostatecznego przywiązania do ludowej ojczyzny ani nie zginęli w walce o powierzony im statek. A SS „Pracę” przejęła najpierw tajwańska marynarka wojenna, a następnie handlowa, i pływała ona pod nazwami „Ho Lan” i „Yung Hung”.



Zbiornikowiec SS „Praca” o nośności 12 tys. ton przy nabrzeżu portowym FOT. PAP

Przewodniczący ONZ – Dag Hammarskjöld – zaangażował się osobiście, aby uwolniono członków załogi uprowadzonego statku.

W ciągu pierwszych miesięcy internowania nasi i chińscy marynarze przetrzymywani byli na statku oraz przekonywani do pozostania w zachodnim świecie dzięki emigracji do Stanów Zjednoczonych. Polaków przekonywano do tego również wtedy, gdy pod pozorem zwiedzania miasta wywabiono ich na przełomie lutego i marca ze statku i zainstalowano w hotelu (Chińczycy pozostali na pokładzie i nie wiadomo, co się z nimi dalej stało). Kilku z Polaków, włącznie

W 10. rocznicę napaści pismo „Morze” zamieściło informację, w której mogliśmy przeczytać (pisownia nazw jak w oryginale): „[...] 4 października 1953 roku, około godziny 18 czasu pekińskiego dokonany został głośny akt pogwałcenia wolności żeglugi, którego ofiarą padł statek płynący pod białą-czerwoną banderą. Był nim zbiornikowiec »Praca«, zatrzymany bezprawnie na pełnym morzu, w odległości 125 mil na wschód od Tajwanu, przez samoloty i okręty wojenne Czang Kai-szeka. Uzbrojeni marynarze wtargnęli na pokład statku i uprowadzili go przemocą do portu Kao-Hsiung na Tajwanie. Załoga »Pracy«

przez dziewięć miesięcy więziona była na wyspie i dopiero po protestach rządu polskiego, w lipcu 1954 roku, została zwolniona za pośrednictwem Szwedzkiego Czerwonego Krzyża i odesłana do Polski. Statku natomiast piraci spod znaku Czang Kai-szeka nie zwrócili...”.

Kolej na „Gottwalda”

Zanim jeszcze marynarzy z SS „Praca”, którzy zechcieli wrócić do PRL, wypuszczono z Tajwanu, na wyspie znaleźli się członkowie załogi kolejnego polskiego statku. Był to tym razem drobnicowiec MS „Prezydent Gottwald”, zatrzymany 13 maja 1954 r. na Morzu Wschodniochińskim.

Budowała go stocznia w Lubece (Lübecker Flender Werke AG) dla armatora norweskiego. Zwodowany już w 1939 r. pod nazwą „Brattland”, a oddany do użytku w 1942 r., nie trafił oczywiście do Norwegii, okupowanej wtedy od dwóch lat przez Niemcy, ale pływał pod banderą niemiecką jako „Warthe”. W ten sposób Niemcy chcieli upamiętnić zabór Wielkopolski, z której uczyniono Warthegau (Kraj Warty). Po ugodzeniu torpedą odholowano go na naprawę do Gdyni, ale tam pod koniec grudnia 1944 r. osadziły go na dnie basenu portowego trzy bomby podczas alianckiego nalotu. Nawiasem mówiąc, niedaleko blokował wkrótce wejście do portu zatopiony przez Niemców w marcu 1945 r. pancernik „Gneisenau”, którego rozbiórka trwała do 1951 r.

Spośród licznych wraków zalegających Zatokę Gdańską wybierano po wojnie te, które po remoncie mogłyby nadal pływać. Z pomocą ekip duńskich wydobyto w 1946 r. „Warthe”, wyremontowano w Stoczni Gdańskiej, słusznie i celowo nazwano „Wartą”. Przed nazwą widniał skrót MS, czyli „motor ship”. Statek miał bowiem napęd motorowy, co zawdzięczał silnikowi spalinowemu o mocy 2499 kW. Zauważmy, że zamieniono tu konie mechaniczne na oznaczenie kilowatów. To pierwsze zastosowano przy SS „Praca”, co jednak nie oznacza mniejszej mocy, bo jeden kW równa się niemal 1,36 KM.



Przy mniejszej nośności (8248 ton) i nieco mniejszej długości (ok. 130 m) drobnicowiec rozwijał większą niż tamten zbiornikowiec prędkość: 14 węzłów.

Pływał początkowo (1949 r.) na linii południowoamerykańskiej. Następnego roku, jako pierwszy statek w historii Polskiej Marynarki Handlowej, wyruszył do Chin, docierając do Tiencinu w październiku 1950 r. W kolejnym roku został wycarterowany przez Chipolbrok i stał się pływającym na linii dalekowschodniej. Załogę stanowiło 45 oficerów i marynarzy (również polskich i chińskich), a dowodził kpt. ż.w. Mikołaj Szemiot. 19 marca 1953 r. – przeszło rok przed feralnym rejsem – MS „Wartę” przemianowano na „Prezydenta Gottwalda”; dokładnie cztery dni po śmierci tego prezydenta „bratniej” Czechosłowacji. Szczęścia jednostce to nie przyniosło.

Sytuacja, w której załoga znalazła się w maju 1954 r. na Morzu Wschodniochińskim w drodze do północnokoreańskiego portu, przypominała tę, którą w październiku poprzedniego roku przeżywali marynarze „Pracy”. I tu najpierw pojawiły się nad statkiem samoloty, a potem jego kurs przeciął okręt wojenny. Powtórzył się szantaż z wycelowanymi wień działami, z desantem uzbrojonych marynarzy Republiki Chińskiej, z przymusową zmianą kursu i zacumowaniem w obcym porcie.

Był to ten sam port Kaohsiung, to samo nabrzeże, a dziób „Prezydenta Gottwalda” znalazł się tuż za rufą „Pracy”. Powtórzyły się również propozycje emigracji do USA. Być może gospodarze Tajwanu stali się bardziej obcesowi, a Polacy bardziej zniecierpliwieni, bo używano wobec nich nawet przemo-

cy fizycznej, gdy urządzili głodówkę protestacyjną. Jeden z polskich marynarzy – Jerzy Ruszowski – stracił życie w niewyjaśnionych okolicznościach. Podobno najpierw podpisał dokumenty potrzebne do uzyskania azylu w USA, potem podpis wycofał, a jego ciało znaleziono w jednym z parków ze śladami tortur.

Czy w ładowniach „Prezydenta Gottwalda” istotnie były przewożony sprzęt i materiały wojskowe, jak zarzucali napastnicy, a czemu zaprzeczały polskie władze i członkowie załogi, którzy zresztą rzeczywiście nie musieli wiedzieć, co przewożą? Trudno po tylu latach to dokładnie sprawdzić, aczkolwiek warto przeczytać ustalenia znanego tematu Ryszarda Leszczyńskiego, które oficjalne wyjaśnienia urzędników PRL czynią mało wiarygodnymi.

Faktem jest, że ci członkowie załogi „Prezydenta Gottwalda”, którzy zadeklarowali chęć powrotu do Polski, musieli czekać rok, zanim – 26 maja 1955 r. – wylądowali na gdańskim lotnisku. Łącznie z 65 polskich marynarzy przetrzymywanych na Tajwanie mniej więcej trzecia część (bo 22) wybrała się do USA. Jednak trzech z nich po roku zmieniło zdanie i wróciło do Polski, mimo że mogło spodziewać się inwigilacji i szyszan.

Warto jeszcze dodać, że nasza emigracja chciała wykorzystać pobyt marynarzy z kraju na Zachodzie, wynajęła i zarejestrowała w Panamie statek nazwany „Wolna Polska”, który w portach cywilizowanego świata miał zwracać uwagę na zniewolenie naszej ojczyzny. Jednak świat się zmienił, a odejście Sowietów i ich wasali od stalinizmu w najbardziej zbrodniczej postaci rychło zmniejszyło zainteresowanie Zachodu zarówno rejsami tego statku, jak i w ogóle pełną wolnością Polski.

LITERATURA:

Ryszard Leszczyński „Ginące frachtowce”, Oficyna Morska, tomy 1–4, 2007, 2009, 2012, 2014; Janusz Meissner „Tajfun z południo-wschodu”, Iskry, 1955; Jan Piwowoński „Flota spod biało-czerwonej”, Nasza Księgarnia, 1989 (moment zatrzymania „Prezydenta Gottwalda” przedstawił tam na kolorowej ilustracji znany marynista Adam Werka).

XIX w.

/ Postać dowódcy Tajnej Straży w powstaniu styczniowym

Szef sztyletników



Marek Gałęzowski

/ Paweł Landowski był organizatorem zamachu na hr. Berga, powstańcem na Podlasiu, zesłańcem syberyjskim, wziętym lekarzem w Paryżu oraz... opiekunem bratanka, który wzniósł monumentalną postać Chrystusa nad Rio de Janeiro

Zamach dokonany przez żandarmerię narodową 19 września 1863 r. na carskiego namiestnika Nikołaja Berga nie tylko nie zatrzymał terroru skierowanego przeciw powstańczej organizacji cywilnej, lecz także nietknięty wielkorządca carski

zyskał pretekst do jego wzmożenia. Pierwszą ofiarą Berga padli mieszkańcy kamienicy Andrzeja Zamoyskiego przy Nowym Świecie, z której rzucono bomby na powóz namiestnika.

Dom wydano na rabunek wojska. To wówczas żołnierze rosyjscy, wyrzucając przez okno meble, dzieła sztuki, książki,

zbiory orientalistyczne prof. Józefa Kowalewskiego, wyrzucili także fortepian Fryderyka Chopina, który roztrzaskał się o bruk ulicy, a wydarzenie to – nie zaś sam zamach – zostało upamiętnione słynnym wierszem Cypriana K. Norwida. Do samego zamachu bardziej zaś pasowała uwaga poety o kraju, „gdzie każdy-czyn za wcześniej wschodzi // Ale książka-każda... za późno!”, z wiersza „Do spółczesnych (Oda)”.

Tajna Straż

Organizatorem akcji był dowódca żandarmerii narodowej Paweł Landowski. Pochodził z osiadłej w Łodzi rodziny pochodzenia żydowskiego, która przeszła na wyznanie luteriańskie. Jego ojciec był dymisjonowanym lekarzem armii



Rządu Narodowego. Jak pisze Józef K. Janowski, którego cytujemy za „Tajemnym państwem” Franciszki Ramotowskiej, wśród zadań straży było „strzeżenie tak Rządu, jak i organizacji od wszelkiego rodzaju zamachów i tajemnych, a wrogich porządkowi organizacji działań, dokonywanie aresztowań i wykonywanie wyroków tak na nieposłusznych rozkazom Rządu Narodowego, jak i na zbyt szkodliwych tajnych działaczach moskiewskich”.

Powierzenie mu tej funkcji nie było zbyt dobrym pomysłem, gdyż Landowski szybko wszedł w skład tzw. komisji powstańczej, która dążyła do obalenia rządu i przywrócenia dyktatury Mierosławskiemu, mimo jego blamażu w trwającej mniej niż tydzień kampanii na Kujawach w lutym 1863 r. Rola Landowskiego w zamachu, który doprowadził do obalenia rządu przez czerwonych w maju 1863 r., nie jest dokładnie znana. Znaczące było już jednak to, że nie przeciwdziałał temu.

Gabinet majowy nie przetrwał długo. W nowym rządzie Karola Majewskiego Landowski został szefem powstałej w miejsce straży Żandarmerii Narodowej, która – jak podają w „Polskim Słowniku Biograficznym” Stefan Kieniewicz i Eligiusz Kozłowski – „miała osłaniać RN [Rząd Narodowy] przed zamachami lewicy. Do obowiązków straży należało też wykonywanie wyroków śmierci”. Według tych badaczy, chociaż podlegał on kolejno organizatorowi Warszawy Włodzimierzowi Lempkemu, komendantowi miasta Janowi Kozieleńskiemu, a w końcu Wydziałowi Policji Rządu Narodowego, zaledwie 20-letni „Pawełek”, gdyż taki pseudonim nosił Landowski, zachował „pozycję niezależną, mocny poparciem podległego sobie wyborowego oddziału 250 ludzi”.

Trzonem oddziału byli słynni sztyletnicy, którzy wykonywali zamachy na członków rosyjskiego aparatu władzy i jego szpicli. Znajomy naszego bohatera z czasów przedpowstańowych, Roman Rogiński, wówczas podobny mu czerwony radykał, nazywał żandarmerię „watahą złożoną z mętów [...] społe-

czeństwa [...], indywiduów, z którymi w nocy niebezpiecznie się było spotkać. Wyznaczono im żołd, więc chętnie w szeregu stanęli, by nic nie robić, a pieniądze pobierać, ale później, gdy na czas im nie wypłacono żołdu, odgrazali się, że wszystkich wyrzną lub wydadzą, nawet swojego »Pawełka« – i stali się dla swoich niebezpieczni”. Rogiński jednak przesadzał, czerpiąc swoją wiedzę z czytanych wiele lat po klęsce książek niechętnych powstaniu. Nie mógł znać szczegółów działalności żandarmerii, ponieważ w tym czasie siedział w Cytadeli i składał szczegółowe zeznania.

Zamach

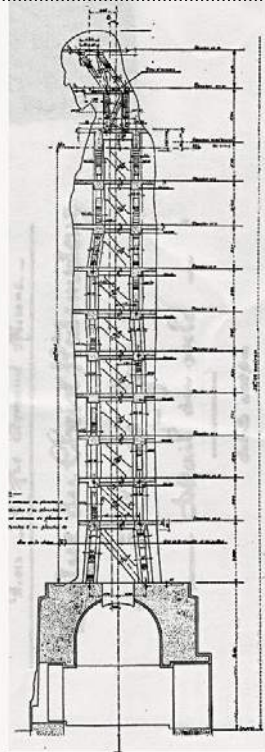
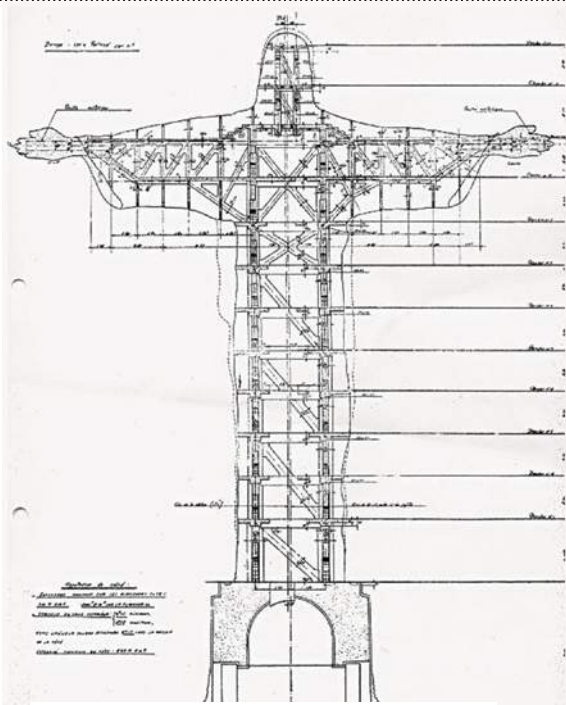
Zbyt radykalnie oceniając przeważnie oddanych sprawie ludzi Landowskiego, mało jednak Rogiński wiedział o działalności jego samego. Ten zaś chyba przez cały czas pozostawał mierosławczykiem i nie był lojalny wobec żadnej, zmieniającej się dość często, władzy powstańczej, ani czerwonej, ani białej. Prowadząc własną grę, co zresztą dobrze oddaje słabości funkcjonowania tajemnego państwa polskiego, w sierpniu 1863 r. „Pawełek” dokonał aresztowania trzech członków opozycji czerwonych, ale jeszcze w tym samym miesiącu nawiązał kontakt z Ignacym Chmieleńskim, jednym z najbardziej skrajnych radykałów, i nie przeciwdziałał, kiedy czerwoni zmusili do ustąpienia rząd pod przewodnictwem Majewskiego, do czego doszło 17 września 1863 r.

Zmiana nastąpiła krótko po objęciu namiestnictwa przez Berga, co zapowiadało wzmoczenie represji rosyjskich. Wówczas to Landowski, najpewniej na polecenie Chmieleńskiego, zaczął przygotowywać zamach na rosyjskiego namiestnika. Spośród wyznaczonych do zamachu ludzi czterech zajmowało się malarstwem i snycerstwem, artystą nie był tylko Wojciech Kunke, z profesji podobno rzeźnik. I nie bez przekąsu pisał w swoim „Powstaniu styczniowym” Stefan Kieniewicz, że „trudno dociec, czemu właśnie artyści zostali wyznaczeni jako wykonawcy”. Jak podsumował zaś akcję Rogiński, „można z góry było być pewnym, że zamach się nie uda, bo jakiego to wyrachowania trzeba było, by tak rzucić bombę z tego czwartego piętra, by właśnie w powóz pędzący cwałem trafiła. Dziecinnie obmyślany ten

Zamach na Fiodora Berga FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

rosyjskiej. Po ukończeniu szkoły średniej, w 1860 r., śladem starszego o cztery lata brata Edwarda Paweł zaczął studiować medycynę na Akademii Medyko-Chirurgicznej w Warszawie. To najpewniej Edward rok później wprowadził 18-latkę do ruchu przedpowstańowego, grupy zwolenników gen. Ludwika Mierosławskiego. W owym wodzu spraw przegranych, skłóconym z większością środowiska niepodległościowego, młodzieńca ta widziała przywódcę planowanego powstania.

Kiedy wybuchło, okazało się, że to Paweł odegrał w nim większą rolę – nie tylko niż jego starszy brat, lecz także sam Mierosławski. Na początku kwietnia objął bowiem kierownictwo Tajnej Straży Bezpieczeństwa, będącej częścią powstańczej policji i jednocześnie czymś w rodzaju konspiracyjnego biura ochrony



Rysunki konstrukcyjne posągu Chrystusa dominującego nad Rio de Janeiro FOT. WWW.PAUL-LANDOWSKI.COM

■ zamach nie udał się”. I rzeczywiście, mimo rzucenia dwóch butelek z fosforem rozpuszczonym w dwusiarczku węgla, które miały wywołać pożar, a następnie strzału z garłacza nabitego siekającymi i wreszcie zrzucenia w kierunku powozu kilku bomb w zamachu ucierpiał jedynie konie, ciągnące powóz rosyjskiego namiestnika oraz towarzyszącą mu kozackiej eskorty. Zamachowcy zbiegli, a do kamienicy wkrótce wtargnęli rosyjscy żołnierze.

Po tej nieudanej akcji żandarmerii narodowej Chmieleński, a w ślad za nim Landowski, opuścili Warszawę. Kiedy w pierwszej połowie października 1863 r. szef sztyletników wrócił do miasta, otrzymał podziękowanie za dotychczasową służbę i rozkaz przejścia ze wszystkimi swoimi ludźmi do partyzantki. Decyzję o dymisji uzasadniono tym, że w Warszawie zrobiło się zbyt „gorąco”, gdyż Berg nie ustawał w poszukiwaniu sprawców zamachu na swoje życie. Bardziej prawdopodobne jest jednak stwierdzenie Kieniewicz, że Rząd Narodowy mógł już mieć dosyć trudnego do okiełznania 20-letniego szefa żandarmerii.

W tym czasie Landowski, który przyjął pseudonim Kosa, z garścią ok. 30 ludzi (a więc zaledwie niewielką częścią swojego oddziału) był już w drodze na Podlasie, kierując się w rejon Parysowa. „Ci, co z za węgla mogli być śmiałyymi napastnikami-

mi, na placu boju okazali się wcale nie bohaterami, mimo że Landowskiemu nie można odmówić odwagi” – pisał Rogiński. Czerpał zapewne z relacji Ludwika Żychlińskiego, wyższego rangą dowódcy na Podlasiu, który skarżył się na niezdyplinowanie żandarmów, niewykonywanie jego rozkazów i samowolne wydawanie wyroków śmierci. Krótka działalność partyzancka Landowskiego jest zagadką i nie wiadomo nawet, czy ostatecznie podporządkował się Żychlińskiemu czy nie.

Długo to wszystko nie trwało, gdyż pierwszego dnia 1864 r. oddział „Kosy” (albo wedle innej wersji resztki oddziału Żychlińskiego, nad którymi dowództwo objął Landowski), został zaatakowany pod Oziemkówką w powiecie łukowskim przez sotnię kozaków esaula Zankisowa i rozbity. Landowski miał ranny dostać się do niewoli, z której uwolnił go rychło oddział jednego z najsłynniejszych dowódców powstańczych, ks. Stanisława Brzóska. Inna wersja mówiła, że po rozbiu jego oddziału pod Oziemkówką ukrył go pewien chłop, a następnie kolonisci niemieccy w okolicach Garwolina. Wkrótce widzimy go znów na czele zebranej z rozbitków partii, która w ostatnich dniach lutego poszła w rozsypkę pod Wólką Konopną, a sam dowódca po kilku dniach został schwytany przez Rosjan.

Landowski podał się za kupca krakow-

skiego o nazwisku Feintuch, co niewiele dało, gdyż sąd wojenny w Siedlcach i tak skazał go na 15-letnią katorgę. Przewieziono go do Cytadeli Warszawskiej, zanim jednak wyruszył na zesłanie, został rozpoznany przez niejakiego Bandurów, pośrednika w handlu bronią. Jak twierdził Rogiński, „należał [on] do tej watahy, która była przy Landowskim, w roli niby-szpiega, i stąd znał go osobiście”; wskazał też swojego niedawnego szefa na głównego organizatora zamachu na namiestnika. Choć usiłowanie zabójstwa Berga było najpoważniejszym zarzutem, to nie tylko on znalazł się w akcie oskarżenia. Landowskiego obarczono ponadto odpowiedzialnością za wszystkie tego typu akcje, włącznie z planowanymi, a niezrealizowanymi, takimi jak zamach na warszawskiego policmajstra Zygmunta Piłsudskiego, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego czy zamiar otrucia jednego z poprzodników Berga, Aleksandra Lüdersa.

W Cytadeli Landowski złożył obszernie zeznania, wypierając się rzecz jasna wydawania wyroków śmierci i udziału w przygotowaniu zamachu na Berga. I chociaż w części miały one niewiele wspólnego z rzeczywistością, to zaszkodziły niektórym uczestnikom powstańczej organizacji cywilnej, także tym, o których działalności władze carskie dotychczas nie wiedziały. Obszerne zeznania nie poprawiły jednak położenia szefa sztyletników. 13 sierpnia 1864 r. został skazany na karę śmierci i cztery dni później stanął pod szubienicą (dodajmy, że nastąpiło to niespełna dwa tygodnie po egzekucji Romualda Traugutta).

Tam usłyszał, że życie zostanie mu darowane. To jego nieznaną z imienia matką poruszyła niebo i ziemia, dotarła do cesarskiej rosyjskiej, przebywającej w kurorcie w Nizy, i wyblagała interwencję na rzecz syna, który po zmianie wyroku 20 lat miał spędzić na syberyjskiej katordze.

Katorga i Paryż

Po przybyciu do Tomska, gdzie nastąpiła krótka przerwa w dalszym marszu na wschód, wspólnie z Józefem Szlenkiewiczem Landowski podjął próbę ucieczki z zesłania. Dotarli do Tomska, ale ujęci zostali przewiezieni do Krasnojarska. Pobyt tam zbiegł się z powstaniem wśród

zesłańców spisku, który przybrał nazwę „Tajnego Klubu”. Na jego czoło wysunęli się płk Walenty Lewandowski, dowódca jednego z największych oddziałów walczących w pierwszych tygodniach powstania na Podlasiu, oraz Karol Nowakowski, ten sam, który niegdyś raniony moskiewską kulą wypuścił z ręki krzyż, podniesiony przez żydowskiego ucznia Michała Landego, po kilku chwilach zastrzelonego przez żołnierzy.

Zamierzali oni początkowo pomagać zesłańcom w ucieczkach, ale pod wpływem kontaktów z rosyjskimi rewolucjonistami na czele z Nikołajem Sierno-Sołowiewiczem postawili sobie cele tyleż ambitniejsze, co nierealne, takie jak wywołanie powstania i opanowanie Syberii. Landowski zaangażował się w tę działalność, co też odnotowano w policyjnym raporcie – „jako wybitna, sympatyczna osobistość, mocno wyróżniająca się spośród pozostałych przestępców politycznych swoim wykształceniem, ma on ogromny wpływ

probowane przez działających wśród zesłańców agentów rosyjskich, takich jak przykładowo Józef Suliński (Sulimski), „człowiek bardzo inteligentny, wykształcony, sprytny, cieszący się dużym zaufaniem u zesłanych Polaków”. Wszedł on w kontakt z kierownictwem spisku i został jego naczelnikiem w okręgu krasnojarskim, pozostając pod kontrolą innego Polaka w służbie rosyjskiej – Zacharewicza. Na przełomie stycznia i lutego 1866 r. dokonano aresztowań, które położyły kres rojeniom o opanowaniu Syberii. Nie wiadomo, czy Landowski został wówczas zatrzymany za związki ze spiskowcami, czy powodem była po prostu kolejna podjęta przezeń próba ucieczki – w każdym razie powędrował teraz do kopalni w Akatui, jednym z najbardziej złowrogich miejsc, do których zsyłano polskich powstańców.

Obciążanie Landowskiego odpowiedzialnością za wybuch powstania zabaj-

W każdym razie w 1874 r. Landowski był już we Francji, jeszcze na tyle młody, by ukończyć studia medyczne w Montpellier. Nad Sekwaną spotkał się z niewidzianym 11 lat bratem Edwardem. Ten również należał do żandarmerii powstańczej, był autorem pierwszego numeru tajnego pisma „Powstaniec” i – jak przypuszcza jego biografka Teresa Ostrowska – uczestniczył w obaleniu przez czerwonych Rządu Narodowego 23 maja 1863 r. Wkrótce opuścił Polskę, udając się za granicę po zakup broni. Czy prawdziwe były informacje z akt policji rosyjskiej, jakoby zdefraudował powierzoną mu sumę, czy jednak chodziło o zdyskredytowanie go – nie wiadomo. W każdym razie w powstaniu nie odegrał już żadnej roli. Pozostał w Szwajcarii, gdzie ukończył studia medyczne, później praktykował we Francji, uzyskując jej obywatelstwo za ofiarą służbę w armii podczas obrony Paryża przed Prusakami. Specjalizował się w badaniu gruźlicy, był autorem kilkunastu prac naukowych, ostatnie lata życia spędził w Algierze, gdzie zmarł przedwcześnie w wieku 43 lat.

Tymczasem dawny szef sztyletników po ukończeniu studiów medycznych zaczął praktykę w Paryżu. Specjalizował się w ginekologii, szybko otworzył własny zakład medyczny, był także autorem prac naukowych i redaktorem naczelnym czasopisma „Journal Thérapeutique” (w którym publikował też Edward Landowski). Należał do najbardziej cenionych lekarzy francuskiej stolicy. Po śmierci brata zajął się wychowaniem czterech dorastających bratanków. Sam również zmarł przedwcześnie, w 1894 r., w wieku 50 lat.

Najstarszy z tych bratanków, pochodzący z pierwszego małżeństwa Edwarda, który otrzymał imię stryja – Paweł, w chwili śmierci ojca miał siedem lat. W przyszłości nie poszedł w ślady obu żandarmów narodowych ani nie wybrał medycyny. Jako Paul Landowski został sławnym francuskim rzeźbiarzem. W notce o nim, zamieszczonej w biografii jego ojca Edwarda w tomie „Polskiego Słownika Biograficznego” z 1971 r., wymieniono kilka dzieł jego autorstwa. Nie wspomniano natomiast, że to on jest autorem figury Chrystusa Króla w brazylijskim Rio de Janeiro, jednego z nowych siedmiu cudów świata.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.



na swoich towarzyszy... ciągle zajmuje się knowaniami przeciw rządowi i jest pierwszym w rządzie tych przestępców, którzy wzburzali umysły swoich towarzyszy, wywierając przez to na nich szkodliwy wpływ” (cyt. za: Henryk Skok, „Polacy nad Bajkałem 1863–1883”). Plan zakładał rozpoczęcie walki wśród zesłańców w Krasnojarsku i Kańsku, rozszerzenie powstania na miejsca, w których przetrzymywano katorżników, a następnie wspólny marsz na Irkuck.

Władze carskie szybko przerwały te fantastyczne projekty, kto wie, czy nie-

kalskiego w 1866 r., co czyni Rogiński, jest nieuzasadnione, szef żandarmów nie miał z nim bowiem nic wspólnego. Po sześciu latach ciężkich robót uzyskał zgodę na wolne osiedlenie w Irkucku, gdzie pracował w sklepie tytoniowym. W 1874 r. pozwolono mu dokończyć studia w Kazaniu, a potem w Dorpacie, skąd wyjechał legalnie do Francji. Wersja o jego ucieczce z Syberii – która rozpoczęła się dzięki pozwoleniu na spotkanie z matką w Niżnym Nowogrodzie, skąd przebył Syberię Wschodnią i Chiną i stamtąd drogą morską dotarł do Europy – jest tyleż malownicza, co fantastyczna.

1943 r. / Fragment książki „Dziewczyny sprawiedliwe”

FOT. RAFAŁ GUZ/MATERIAŁY WYDAWCY



Tragedia Sprawiedliwej



Anna Herbich

/ – Mój ojciec został zamordowany za pomoc Żydom. Ja cudem uszłam z życiem – opowiada pani Jadwiga Gawrych

To był rok 1943. Pamiętam nawet dokładną datę. 18 marca, wtorek. Teraz o tej porze roku wiosna jest już zwykle w pełni, ale wtedy trzymała jeszcze sroga zima. Klimat był surowszy, zimniejszy. Pamiętam,

że śnieg wtedy aż chrząścił pod butami i skrzył się w świetle księżyca. Jakby ktoś rozrzucił po ziemi tysiące małych diamentów. Dachy domów rysowały się czarnymi liniami na tle granatowego, rozgwieżdżonego nieba.

Tego wieczora byliśmy wszyscy razem – rodzice, ja, mój braciszek. A także nasi potajemni lokatorzy. Może ich przedstawię. Abram Słomka i Frania Szpinger, dwoje Żydów, którzy mieszkali u nas na stałe. Ponadto Teresa i Chaskiel Papierowie. Oni ukrywali się w lesie i przychodzili do nas po zmroku, żeby się ogrzać przy piecu, zjeść gorącą zupę.

Mama gotowała wtedy w dużym garze, tak aby dla wszystkich starczyło. Żeby wszyscy się najedli. Mróz był siarczysty. Warunki w ziemiance – straszliwe. Zima była najcięższym okresem dla ukrywających się Żydów. To wtedy ginęło ich najwięcej. Mróz, brak żywno-

ści i śnieg, na którym łatwo można było zauważyć ślady ludzkich stóp...

Przy stole siedział jeszcze Piotr. Rosjanin, żołnierz Armii Czerwonej, który uciekł z niemieckiej niewoli. Wyskoczył z pociągu i jakoś tak się stało, że trafił do nas. Staraliśmy się mu pomagać. Piotr zdobył w jakiś sposób karabin i chodził z nim, schowanym pod płaszczem, po okolicy. Zostawił u nas list, żeby w razie gdyby zginął, wysłać do jego rodziny mieszkającej gdzieś w Związku Sowieckim.

Ten wieczór, ta okupacyjna kolacja... Nigdy jej nie zapomnę. Siedzieliśmy przy stole, za oknem ciemno choć oko wykol. Lampa naftowa dawała słabe, migoczące światło i rzucała w kąty izby cienie o fantazyjnych kształtach. Nagle wieczorną ciszę przerwał przejmujący brzęk tłuczonego szkła. Odłamki szyb posypały się na podłogę. Zerwaliśmy się od stołu. Niemcy!!!

Wiedzeni instynktem samozachowawczym, pierwsi rzucili się do ucieczki Żydzi. Jak z procy wylecieli przez tylne okno. Kiedy żandarmi sforsowali drzwi i wpadli przez sień do izby – Żydów nie było już w domu. Biegli w stronę lasu. Oprócz nieszczęsnej Teresy Papier, która nie chciała wybiegać bez kurtki. Na zewnątrz mróz, a ona była w siódmym miesiącu ciąży! Bała się o maleństwo.

Tę matczyną troskę przypłaciła życiem. Myślała, że chwyci kurtkę i pobiegnie w ślad za innymi. Niestety, straciła w ten sposób bezcenne ułamki sekund. Niemiec, który jako pierwszy wbiegł do izby, zauważył ją i od razu strzelił z pistoletu. Bez żadnego ostrzeżenia. W domu rozległ się ogłuszający huk wystrzału. A potem krzyk. Teresa dostała w nogę, mimo to starała się jeszcze uciekać. Ciągnąc za sobą przestrzeloną nogę, wybiegła na podwórko. Tam dogoniła ją seria z pistoletu maszynowego. Padła na ziemię tuż obok domu. Śnieg wokół niej stał się purpurowy.

Niemcy tymczasem rzucili się na nas. Na moją rodzinę. Wyprowadzili tatę przed dom i zaczęli okładać go kolbami karabinów. Tata leżał twarzą w śniegu i kulił się, zasłaniając głowę przed ciosami. Mnie jeden z żandarmów – w wojskowym płaszczu i wysokich butach – chwycił za rękę. Zaczął mną okropnie szarpać. Ciągnął w stronę podwórka.

W jednej chwili przed oczami przeleciało mi całe moje krótkie życie. Miałam przecież dopiero dwanaście lat!

– To już koniec – przemknęło mi przez myśl. – Prowadzi mnie na rozstrzał.

A on krzyczy:

– Kto się u was ukrywa!? Mów!

Nie umiem kłamać, zresztą w tej sytuacji nie miało to już żadnego sensu. Byliśmy zgubieni.

– Żydz!... – odpowiedziałam.

W tym momencie mnie puścił. Odwrócił się i poszedł z powrotem do domu. Nie wiem, dlaczego darował mi życie. Może spodziewał się, że powiem, że ukrywają się u nas partyzanci? A kiedy usłyszał o Żydach, pobiegł ich szukać. To oczywiście tylko przypuszczenie. Prawdziwego powodu, dla którego przeżyłam tę tragiczną noc, nie poznałam. I nie znam go do dziś.

Wkrótce zresztą Niemcy mieli poważniejszy problem na głowie. Piotr – jak już wspomniałam – nosił ze sobą karabin. W pewnym momencie wykorzystał

moment nieuwagi Niemców i chwycił za broń. Nie zamierzał ginąć bez walki. Owładnięty jakimś dzikim szałem, wyskoczył przed dom i zaczął do nich strzelać! Bach, bach. Jeden, drugi wystrzał. Niemcy oczywiście odpowiedzieli ogniem. Wywiązała się zacięta walka na śmierć i życie.

To wszystko działo się na naszych oczach. Scena jak z filmu. Tylko że na prawdę! Huk wystrzałów. Błyski. Dzikie krzyki Piotra i Niemców. Strzelanina nie trwała długo. Nasz rosyjski przyjaciel nie miał szans. Niemców było zbyt wielu. Szybko dosięgły go kule, padł na ziemię ciężko ranny. Ale nie śmiertelnie. Niemcy skrępowali go sznurami i położyli obok ojca.

Przed odejściem polski granatowy policjant, który towarzyszył Niemcom, podszedł do mamy i powiedział, żeby ratowała, co może, bo zaraz nas spalą! Mama rzuciła się do domu wyrzucać przez okno jakieś pierzyny, garnki, talerze. Wszystko, co wpadło jej w ręce. Byle szybciej! Byle więcej! A mnie kazała zabrać młodszego bratczka i biec z nim do Gańków. Naszych najbliższych sąsiadów.

W pośpiechu wzięłam więc przerażonego Niutka na ręce i popędziłam wzdłuż lasu. Biegłam boso, a czteroletni Niutek nie miał na sobie spodni, był w samej koszulce. Szybko słabły mi ręce, więc co jakiś czas stawiałam go na ziemi, by przynajmniej kawałek szedł o własnych siłach. Był zdezorientowany, nie rozumiał, co się dzieje. Najpierw wyrwano go ze snu. Potem ta strzelanina, krzyki. Jacyś obcy, przerażający ludzie. Płakał, mówił, że chce do mamy. Nie wiedziałam, jak go pocieszyć. Co powiedzieć. Jak wytłumaczyć to, że ci obcy, okrutni ludzie krzywdzą naszych rodziców.

Obejrzałam się za siebie. I ogarnęła mnie zgroza. Nasz dom, nasza ukochna leśniczówka stała w płomieniach. Zapaliła się jak zapałka – konstrukcja z drewnianych bali była kryta słomianą strzechą. Teraz w czarne niebo wzbijał

się wysoki na wiele metrów, jaskrawo-pomarańczowy słup ognia. Na jego tle widoczne były czarne sylwetki żandarmów, biegali wokół, machali karabinami. Wydawało mi się, że widziałam, jak prowadzą gdzieś ojca i Piotra...

Cała ta sceneria wyglądała wręcz upiornie. Dla mnie, dziecka wychowującego się w tym domu, to był szok. Właśnie z powierzchni ziemi zniknęło miejsce, w którym spędziłam dzieciństwo. Nie mogłam w to uwierzyć, byłam po prostu przerażona. Czy to się dzieje naprawdę? A może to tylko straszny sen? Koszmar? Majak?

Nie było przy mnie rodziców. Tylko mały bratczek. Czułam się samotna, bezbronna. Rozumiałam, że właśnie stało się coś strasznego. Nieodwracalnego. Coś, co trudno objąć rozumem. Do dziś pamiętam ściskające mnie za gardło uczucie grozy. I czuję słony smak łez, które spływały po moich policzkach, gdy patrzyłam spod lasu na płomienie trawiące mój dom. Moje dzieciństwo. Moje życie.

Gańkowie bez wahania przyjęli nas pod swój dach. Tej nocy nie zmrzyliśmy już oka. Po kilku godzinach – ilu? nie wiem – dołączyła do nas mama. Opowiedziała, że któryś z oprawców uderzył ją w głowę, ale potem machnął na nią ręką. Puścił wolno. Tata i Piotr zostali zaś aresztowani. Nie było najmniejszych wątpliwości, jaki los czeka tatę – rozstrzelanie. Taka była kara za pomaganie Żydom.

To była straszna noc. Najstraszniejsza noc mojego życia. Siedzieliśmy z mamą w obcym miejscu i opłakiwałyśmy

mojego tatę, nasz dom i nasze dotychczasowe życie. Wiedzieliśmy, że nic już nie będzie takie samo. Myśleliśmy, że serca rozerwą się nam na strzępy. A w oczach zabraknie łez...

Potem dowiedzieliśmy się, że Niemcy przyjechali samochodami, ale zostawili je na skraju naszej wsi, pół kilometra od leśniczówki. Nie chcieli, żeby warkot



ANNA HERBICH
„DZIEWCZYNY SPRAWIEDLIWE”

ZNAK

silników i światła reflektorów zaalarmowały domowników. Skradali się pod osłoną nocy, żeby wziąć nas z zaskoczenia. Otoczyli gajówkę ze wszystkich stron.

To prawdziwy cud, że trójce Żydów udało się jakoś umknąć. Niemcy szukali zresztą nie tylko ich. Myśleli, że w naszym domu znajduje się również główna siedziba miejscowego oddziału partyzanckiego. Nie wiem, skąd przyszło im to do głowy. Wiem natomiast, jak trafili do leśniczówki – jedna z naszych sąsiadek złożyła donos. Tak, Polak Polakowi potrafił wyrządzić taką krzywdę.

Na ratunek

Moja mama w ogóle nie myślała o ludziach w kategoriach „Żyd – nie-Żyd”. Abram był w jej oczach po prostu

wszędzie. Może zginąć od bomby, kuli. Zostać schwytany w łapance. Trafić do obozu. Nad Polakami w Generalnym Gubernatorstwie cały czas wisiało widmo śmierci. Ukrywanie Żydów było tylko jedną z rzeczy, za którą Niemcy karali rozstrzelaniem.

Gdyby mama odmówiła Żydom pomocy – byłoby to zwycięstwo Niemców. Odnieśliby sukces. Udałoby im się nas skutecznie zastraszyć. Każdy, kto znał moją mamę, wiedział jednak, że tak łatwo zastraszyć się jej nie da. Mama miała silnie zakorzenione poczucie solidarności z drugim człowiekiem. Dlatego właśnie pomagała nie tylko Abramowi, lecz także innym ukrywającym się w lesie opodal naszej wsi Żydom. Przede wszystkim rodzinom Papierów i Szpingerów. No i oczywiście naszemu „partyzantowi” Piotrowi.



Getto warszawskie. Żydzi robili wszystko, aby uciec z tego piekła FOT. NAC

człowiekiem, który potrzebuje pomocy. Wiadomo, że niosła ze sobą ogromne ryzyko. Proszę mnie nie pytać, czy rodzice się bali, czy my, dzieci, żyliśmy w strachu. Oczywiście, że tak! Bywały chwile, kiedy człowiek bał się nawet wyrzeć przez okno, bo spodziewał się, że zobaczy podchodzących pod dom żandarmerów.

Strach to jest uczucie bardzo ludzkie. Każdy się boi. A jeżeli twierdzi, że się nie boi – kłamie. Tym bardziej w czasie wojny, gdy śmierć czyha na człowieka

Jak ci wszyscy ludzie do nas trafili? Po prostu, tułając się po okolicy, zaglądali do różnych domów. W jednych pomocy nie otrzymywali – w innych tak. Nasz dom należał do tych drugich. Wkrótce wśród ukrywających się Żydów rozeszła się wieść, że w leśniczówce na skraju lasu mogą liczyć na wsparcie.

Każdy, kto choć raz był na polskiej, mazowieckiej wsi, wie, że nie ma na świecie lepszej kryjówki. Gospodarstwa przeważnie stoją u nas w dużej odle-

głości od siebie, oddzielone miedziami, polami, łąkami. Wokół domów – stodoły, chlewiki, komórki. A w budynkach strychy i piwnice. Jest się gdzie schować.

Stojąca samotnie na skraju lasu leśniczówka wydawała się kryjówką wręcz nie do wykrycia. Niemcy do nas nie zaglądali. Bo i po co? To było odludzie. Najbliższe zabudowania stały ponad pół kilometra od nas. Należały do trzech rodzin – Janków, Staśków i Władków. Mówiono tak na nich od imion głów rodzin. Taki był kiedyś u nas zwyczaj.

Naszym przekleństwem stała się Staśkowa. Kobieta słynąca w całej okolicy z tego, że była złym i złośliwym człowiekiem. Z czasem ludzie domyślili się, że udzielamy schronienia Żydom. Pewnie ktoś coś zauważył. Jakieś podejrzanе ruchy wieczorem na skraju lasu. Albo obcą postać, która mignęła w oknie rozświetlonym lampą naftową.

A gdy jedna osoba wiedziała, to znać było, że wiedzieli już całą wieś. Ludzie mają to do siebie, że lubią plotkować. I tak ta niebezpieczna dla nas informacja dotarła do Staśkowej. Ta okropna kobieta chciała nam zaszkodzić i poszła na posterunek żandarmerii.

– Trzeba z Gawrychami zrobić porządek – powiedziała. – Za dużo Żydów tam się kręci.

To wystarczyło. Niemcy zainteresowali się sprawą. Staśkowa nie tylko złożyła na nas donos, lecz także powiedziała Niemcom, kiedy najlepiej na nas napaść, żeby wszyscy byli w domu. Zarówno my, jak i Żydzi, którym pomagaliśmy. Radziła, żeby przyjść wieczorem.

Tak zrobili. 18 marca 1943 r.

Samochód zostawili na skraju wsi i cicho, pod osłoną nocy okrążyli nasz dom...

... nad ranem leśniczówka dopalała się. Z naszego domu został tylko nagi, osmalony komin. I stos tłących się, dympających czarnych krokwi. Przed domem leżała na śniegu rozstrzelana Teresa. Po odejściu Niemców okoliczni chłopcy pochowali ją w lesie. Razem z jej nienarodzonym dzieckiem. W bezimiennej mogile.

Jak potoczyły się losy ludzi, którzy tego feralnego wieczora siedzieli razem przy stole i jedli kolację? Różnie.

Zacznijmy od Frani. Ukryła się niedaleko, w rurze pod mostkiem. W tak zwanej drenie. Siedziała tam skulona, jak niemowlę, cała trzęsła się z przerażenia. A Niemcy właśnie tym mostkiem wracali z obławy! Nad jej głową. Słyszała warkot

silników i odgłos kół przetaczających się przez mostek. Szczekanie psów pościgowych. Boże, cóż ta dziewczyna musiała wtedy przeżywać! Tego nie można sobie wyobrazić.

Kiedy po wielu latach spotkałyśmy się, zapytałam:

– Frania, a nie było ci tam zimno?

Wybiegła przecież z domu w tym, co miała na sobie. Była bez kurtki, tylko w lichym swetrze. A tu przecież zima, śnieg leżał na polach. Mróz.

Frانيا spojrzała na mnie i uśmiechnęła się smutno.

– Isia, ja się pociłam ze strachu!

Z rury wyszła dopiero rano. Stała na drodze i ogarnęła ją nagle straszna rezygnacja. Co robić? Gdzie pójść? Gdzie szukać ratunku? Była przecież nastolatką! Sama, bez rodziny, znajomych. Tropiona jak dzikie zwierzę. Skazana na śmierć przez wszechpotężną maszynę niemieckiego aparatu okupacyjnego.

Czy miała znowu szukać jakichś dobrych ludzi, którzy ją ukryją? I narażać ich w ten sposób na śmierć?

– Już mi wszystko jedno – powiedziała do siebie – niech mnie ci przekleci Niemcy złapią. Chcę to mieć za sobą.

Los jednak chciał inaczej. Gdy tak stała bezradna na drodze, nagle wyrosła przed nią kobieta w czarnym habicie.

– Co tu robisz, dziewczynko? – zapytała.

Frانيا podała się za uciekinierkę z Hrubieszowa. Niemcy pacyfikowali wówczas Zamojszczyznę, mnóstwo Polaków z tamtych stron uciekało do centralnej części Generalnego Gubernatorstwa.

Zakonnica uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Wyciągnęła do niej dłoń...

I w ten sposób Frania Szpinger, moja żydowska „siostra”, znalazła się w klasztorze Szarytek w Ignacowie. Siostry prowadziły tam sierociniec. Oprócz Frania ukrywało się w nim jeszcze wiele żydowskich dzieci. Siostry wyrobiły jej fałszywe dokumenty na nazwisko Mali-

BEKANNTMACHUNG

Betrifft:
Beherbergung von geflüchteten Juden.

Es besteht Anlass zu folgendem Hinweis: Gemäss der 3. Verordnung über Aufenthaltsbeschränkungen im Generalgouvernement vom 15. 10. 1941 (VO. Bl. GG. S. 595) unterliegen Juden, die den jüdischen Wohnbezirk unbefugt verlassen, der Todesstrafe.

Gemäss der gleichen Vorschrift unterliegen Personen, die solchen Juden wesentlich Unterhalt, Verpflegung, Behausung, Verabfolgung oder Nahrungsmittel verschaffen, ebenfalls der Todesstrafe.

Die nichtjüdische Bevölkerung wird daher dringend gewarnt:

1) Juden Unterschlupf zu gewähren,

2) Juden Verabfolgung zu leisten,

Niemieckie obwieszczenie
grożące karą śmierci za
pomoc Żydom i Medal
Sprawiedliwych

FOT. WIKIPEDIA

OGŁOSZENIE

Dotyczy:
przetrzymania ukrywających się żydów.

Zachodzi potrzeba przypomnienia, że stosownie do § 3 Rozporządzenia o ograniczeniach pobytu w Gen. Gub. z dnia 15. X. 1941 roku (Dz. Rozp. dla GG. str. 595) żydzi, opuszczający dzielnicę żydowską bez zezwolenia, podlegają karze śmierci.

Według tego rozporządzenia, osobom, które takim żydom świadomie udzielają przytułku, dostarczają im jedzenia lub sprzedają artykuły żywnościowe, grozi również kara śmierci.

Niniejszym ostrzega się stanowczo ludność nieżydowską przed:

1) udzielaniem żydom przytułku.

2) dostarczaniem im jedzenia.

3) sprzedawaniem im artykułów żywnościowych.

Częstochowa, dnia 24. 9. 42.



nowska. Frania została tam do końca wojny, pomagała w gospodarstwie, opiekowała się najmłodszymi sierotkami. Przeżyła!

Kiedy do Polski wkroczyła Armia Czerwona i skończyła się niemiecka okupacja, Frania poznała żydowskiego oficera, dużo starszego od siebie. Wziął ślub, a po zakończeniu wojny uciekli razem do Izraela. Kolejna romantyczna historia!

Z kolei mojego tatę, po aresztowaniu go tego feralnego dnia, Niemcy zabrali na posterunek żandarmerii w Mińsku Mazowieckim. Tam trzymali w areszcie. Jego los był przypieczętowany. Złamał bezwzględne prawo Generalnego Gubernatorstwa. Udzielił pomocy Żydom.

Po dwóch tygodniach gestapowcy wywieźli tatę do lasu Mienia, dziesięć kilometrów za Mińskiem Mazowieckim. Na ciesząc się ponurą sławą miejsce straceń. Zginął od pojedynczego strzału w tył głowy. A razem z nim nasz dzielny rosyjski partyzant Piotr. Zostali zamordowani razem i złożono ich we wspólnym grobie.

Taką cenę zapłacił mój tata za ukrywanie Żydów. Za to, że w nieludzkich czasach miał odwagę być człowiekiem. Bezwzględność i okrucieństwo Niemców wobec Polaków ratujących Żydów nie miały granic.

Niedługo po wojnie – w 1948 r. – mój starszy brat postanowił przeprowadzić ekshumację ciała ojca. Nie chciał, żeby spoczywał w bezimiennym dole. Poszedł do lasu, w którym tata został rozstrzelany, i wykopał jego szczątki. Pochował je na

Powązkach Wojskowych. A w miejscu kaźni postawił pomnik.

Bezimienna mogiła

Chaskiel Papier – mąż biednej Teresy – ukrył się gdzieś i jakoś udało mu się przeżyć wojnę. Dotrwał do końca okupacji.

Z kolei Abram Słomka, nasz nauczyciel gry na skrzypcach, wybrał inną drogę. Mimo że udało mu się uciec z naszego domu przed zmierzającymi do leśniczków Niemcami, po kilku dniach... powiesił się w lesie. Popełnił samobójstwo.

Dlaczego? To był bardzo wrażliwy człowiek. Ten okropny, zły świat nie był dla niego odpowiednim miejscem. Abram przynajmniej sam wybrał moment, w którym zszedł ze sceny. Tylko tyle mógł zrobić. Był to czyn wolnego człowieka.

Ciało Abrama odnaleźli w lesie chłopi i zakopali w nieznanym miejscu. Potem staraliśmy się je nawet odnaleźć. Chcieliśmy dokonać ekshumacji i złożyć jego szczątki na kirkucie. Tak aby nasz przyjaciel i nauczyciel miał przynajmniej godny pochówek. Chociaż nagrobek, który moglibyśmy odwiedzać, który by o nim przypominał.

Niestety – nigdy nam się to nie udało. Do dziś Abram Słomka – wybitny skrzypek i dobry człowiek – spoczywa w bezimiennej mogile.

Cała opowieść Jadwigi Gawrych – oraz opowieści innych bohaterów Polek ratujących Żydów – w nowej książce Anny Herbich „Dziewczyny sprawiedliwe” (Znak).

Starożytność / Film Josepha Mankiewicza „Kleopatra”

Kleopatra w Hollywood

Dla wielu kinomanów Kleopatra ma twarz Elizabeth Taylor. Czy piękna amerykańska aktorka dobrze odwzorowała postać egipskiej królowej?

Kleopatra" w reżyserii Josepha Mankiewicza jest produkcją gigantyczną nawet według dzisiejszych standardów. Epicka scena wjazdu egipskiej królowej do Rzymu przeszła przecież do historii kina. Film trwa cztery godziny, ale reżyser chciał rozszerzyć ten czas do... sześciu godzin. Owo kinowe monstrum miało wówczas składać się z dwóch części zatytułowanych odpowiednio: „Kleopatra i Cezar” oraz „Kleopatra i Antoniusz”.

Nawet poważni historycy przyznają, że Cezar, Antoniusz i Kleopatra VII kierowali się w polityce w dużej mierze osobistymi namietnościami. Pod Akcjum Marek Antoniusz rzeczywiście porzucił flotę, by dołączyć do ukochanej. Tak samo prawdziwe jest samobójstwo pary kochanków w Aleksandrii. Burzliwy romans ostatniej władczyni Egiptu z rzymskimi konsulami aż prosił się zatem o sfilmowanie. Uwieczniano go na ekranie kilka razy. Dzieło Mankiewicza z 1963 r. jest najsłynniejsze, choć wcale nie najwierniejsze prawdziwej historii, ustępując na przykład serialowi „Rzym”.

Zacznijmy od głównej osoby dramatu. „To Greczynka. Ani kropla egipskiej krwi nie płynie w jej żyłach” – mówi jeden z Rzymian na początku filmu. Tak się akurat składa, że Kleopatra VII, choć oczywiście wywodząca się z rodu grecko-macedońskiego, była najbardziej zegipcjanizowaną z Ptolemeuszów. Nauczyła się przecież języka swoich poddanych. Profesor Ewa Wipszycka twierdzi, że najprawdopodobniej była córką jakiejś egipskiej kapłanki.

Filmowa Kleopatra grana przez Elizabeth Taylor miała trafiać przede wszystkim w mieszczańskie gusta amerykańskiej widowni lat 60., która oczekiwała porywającej historii miłosnej, gdzie występują przystojni mężczyźni i piękne kobiety, wszyscy ubrani

we wspaniałe suknie, tuniki i pancerze. Mało kogo obchodził prawdziwy wygląd Kleopatry. A ten mógłby niejednego srodze zdziwić. Starożytne źródła opisywały Kleopatę raczej jako „rzucającą urok” (słynne błyszczące oczy) niż ładną. Wierząc mone-tom z epoki, a te cechowały się dużym realizmem, Kleopatra miała ptasi, zagięty i długi nos. Jeśli dodamy do tego wygięte w dół usta i wydatny podbródek, to otrzymamy raczej obrazy jędzy z bajek dla dzieci niż egzotycznej seksbomby. Zresztą Elizabeth Taylor, krew z krwi pochmurnego germańskiego Albionu, w żadnym stopniu nie przypomina niewiast zamieszkujących starożytny Egipt czy w ogóle Bliski Wschód.

Podobnie rzecz ma się z sukniami Kleopatry, które zwłaszcza w drugiej części filmu są XX-wiecznymi wariacjami na temat egipskich strojów. Za dużo tu bawełny, wciętej talii i przede wszystkim szycia. Egipskie i greckie stroje kobiece były przeważnie drapowane. Suknie egipskie, lniane, lekkie i przewiewne odsłaniały często więcej, niż pruderyjna amerykańska publiczność pierwszej połowy lat 60. była gotowa oglądać na wielkim ekranie.

Jednakże przykrótkie tuniki Antoniusza stały się po latach źródłem kpin. Owe kreacje zostały sparodiowane w brytyjskiej komedii „Czarna Żmija. Tam i z powrotem” z Rowanem Atkinsonem w roli głównej. Rzymskie tuniki były dużo dłuższe niż te, które prezentują w „Kleopatrze” rzymscy wodzowie.

Prezydent Kleopatra

Przeciętny widz chciał widzieć w Kleopatrze władczynię, która dobrze odnalazłaby się w czasach współczesnych. W starożytności w politykę grano jednak według innych reguł niż dzisiaj. Pytanie, ile sympatii dla egipskiej królowej żywiliby widzowie, oglądając jej ślub z własnymi braćmi: Ptolemeuszem XIII i Ptolemeuszem XIV. W przypadku



Popiersie Kleopatry

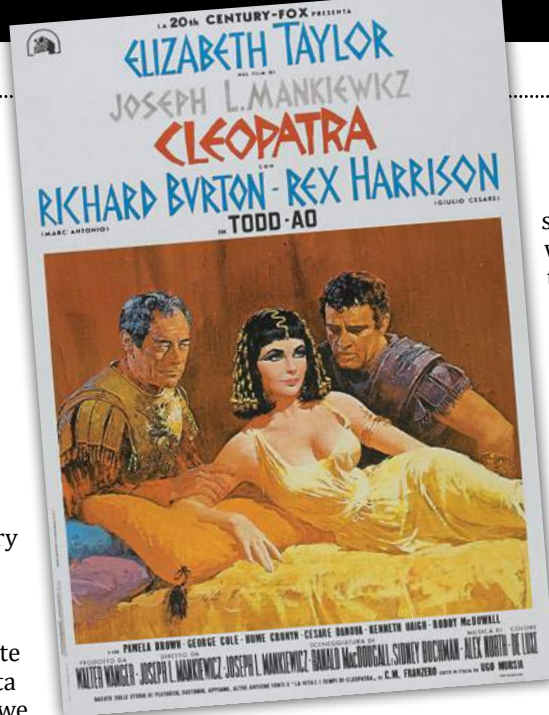
FOT. WIKIPEDIA

Kleopatry małżeństwa owe miały jedynie zadość uczynić pradawnej tradycji i nie wiązały się z kazi-rodowym seksem. Jej niedalecy przodekowie nie mieli jednak takich oporów. Filmowy Cezar nie omieszkał wytknąć tego Egipcjan-ka w czasie jednej z kłótni. Do Rzymu przybyła ona z własnym bratem-mężem Ptolemeuszem XIV. W filmie w jej towarzystwie oglądamy jednak tylko kilkuletniego syna.

Mankiewicz ukrył przed widzami sposoby, jakimi Kleopatra zabezpieczała swoje panowanie. Kazała zabić własną siostrę Arsinoe, choć można to wytłumaczyć tym, iż sama ofiara była za życia równie bezwzględna. Już jednak brat-mąż Kleopatry, Ptolemeusz XIV, nie miał absolutnie żadnego wpływu na rządy i sam nie stanowił zagrożenia. Po 44 r. w Rzymie nie było już jednak Cezara. Nie wiadomo, czy któryś z ambitnych wodzów nie chciałby się posłużyć bezwolnym monarchą w celu obalenia Kleopatry. Ptolemeusz XIV został więc przez królową na wszelki wypadek otruty. Z tych samych przyczyn Kleopatra kazała zabić niezagrażających jej bezpośrednio znaczących jeńców armeńskich przetrzymywanych w Egipcie.

Makiawelizm nie opuszczał monarchini również w sposobie traktowania poddanych. Gdy Cezar i Kleopatra byli oblegani w Aleksandrii przez armię Ptolemeusza XIII, swoje przetrwanie zawdzięczali nie tylko legionistom, lecz także Żydom. Minęło kilka lat i Nil zaczął wylewać słabiej. W Aleksandrii zapanował głód. Kleopatra otworzyła państwowe spichlerze, ale ziarna nie mogło wystarczyć dla wszystkich. Kogoś trzeba było pominąć. Bez jedzenia zostali zatem... Żydzi. Wszak to nie z nimi, jako mniejszością, musiała liczyć się królowa, lecz z egipsko-grecką tłuszcą, której gniew mógł zatrzęść jej tronem, zwłaszcza gdyby pokierował nim któryś z zabójców Cezara lub Oktawian.

Słynna scena, w której Kleopatra otoczona orszakiem gwardzistów, tancerzy i niewolników majestatycznie wjeżdża na Forum Romanum, jest całkowitą fikcją. Nie do pomyślenia jest, aby rzymskich obywateli odpędzali



■ z trasy procesji egipsy czy greccy kawalerzyści! Łuk, przez który przejeżdża ogromny Sfinks, to kopia Łuku Konstantyna zbudowanego ponad 300 lat po wydarzeniach przedstawionych w filmie. W ogóle łuki triumfalne w formie, w której dotrwały do dziś, to produkt czasów cesarstwa, nie republiki. W Rzymie w czasach Kleopatry istniało kilka łuków wzniesionych na etruskich, nie wiadomo jednak dokładnie, jakie miały rozmiary i kształt. Kochanka Cezara przybyła do Rzymu w dużo mniej spektakularnych okolicznościach, choć wzbudziła niemałą sensację i gdzieś tam święte oburzenie. Przecież cnotliwa niewiasta nie powinna nosić tyłu pereł na szyi i we włosach, długich kolczyków ani gromad półszlachetnych kamieni na kostkach.

Filmowa Kleopatra jest zeświecczona. Mówi co prawda, że jest Izydą, szerzy swój kult, daje sobie stawiać posągi w Rzymie. Nie widzimy jej jednak w czasie żadnego obrzędu, składania ofiar, procesji, wysłuchania wyroczni – a były to nieodłączne elementy życia każdego Egipcjanina. Jako królowa Kleopatra powinna przewodzić owym rytuałom. Zamiast tego oglądamy dość tandetną i jarmarcznią scenę, w której wróżka przepowiada Kleopatrze przyszłość syna. Kuriozalnie wygląda też rytuał okadzania jednej z sal pałacowych, gdzie jedynymi zainteresowanymi są kapłani i służki, dwór zajmuje się zaś swoimi sprawami.

Cezar

Rozdźwięk między historią a kinem widać już w scenie lądowania rzymskiego wodza w Aleksandrii. Tłum na wybrzeżu jest niezbyt przyjazny – w końcu lądują tu obce wojska. Cezar każe więc centurionom i trybunom zachowywać się jak cywile i iść na targ. Napięcie momentalnie znika. Było jednak inaczej. Cezar wszedł do Aleksandrii „na ostro” – niosąc przed sobą różgi liktorskie, czyli oznakę rzymskiej władzy. Tłum Greków i Egipcjan się wściekł, doszło do starć na ulicach, które jednak chwilowo Rzymianie zdołali opanować. Byli wszak wykonawcami testamentu egipskiego króla przekazującego władzę rodzeństwu – Ptolemeuszowi XIII i Kleopatrze.

Według filmu Cezar przybył do Egiptu w ślad za uciekającym Pompeuszem, a także aby realizować testament Ptolemeusza XII. Tymczasem dyktator przyciągnął do Egiptu również korzyści majątkowe. Dziesięć lat wcześniej bowiem niezbyt mocno usadowiony na farańskim tronie Ptolemeusz XII zawiązał do Rzymu. Zabiegał tu o poparcie swojej władzy, rozdając łapówki na lewo i prawo i obiecując, że da więcej, gdy tylko umocni swoją władzę. Jednym ze skorumpowanych Rzymian był Cezar, który wrócił teraz po swoją dolę.

Pierwsze spotkanie Kleopatry z Cezarem mogło rzeczywiście wyglądać tak jak na filmie – na lichej łódeczce królowa przepłynęła przez strzeżony przez wojska brata Nil i ukryta czy to w dywanie, czy worku na plecach zaufanego sługi dostała się do zajętego przez Cezara pałacu.

Film nie informuje o rzymskich zdrzistwach na ludności cywilnej. To one, nie tylko sympatia poddanych dla Ptolemeusza XIII, pchnęły połowę Egiptu do buntu. Bitwa, która rozegrała się wkrótce potem w Aleksandrii, trwała znacznie dłużej niż w filmie, bo aż kilka miesięcy, i nie przebiegała wcale tak bezproblemowo dla Cezara. Najbardziej dramatycznym momentem owych walk była bitwa na wysepce Faros, gdzie kilkuset legionistów zginęło, ewakuując się na okręty. Sam Cezar musiał zaś przepłynąć do pałacu wpław, w jednym ręku trzymając zwój swoich dokumentów.

Zamiast tego Mankiewicz uwypuklił spalenie Biblioteki Aleksandryjskiej. Doradca Kleopatry wylicza ponurym głosem tytuły bezcennych woluminów

straconych na zawsze. Tymczasem nie wiadomo dokładnie, jaka część biblioteki uległa wówczas zniszczeniu.

„Uczyńcie mnie cesarzem Rzymu” – mówi na prywatnym spotkaniu z senatorami Cezar. To grube nieporozumienie i nie wynika wcale ze złego tłumaczenia polskiej wersji filmu – wyraźnie pada tam słowo „Emperor”. Gajusz Juliusz Cezar nie mógł wypowiedzieć takiego słowa. Angielski termin bowiem pochodzi od słowa „Imperator”, które było godnością nadawaną przez wojsko, potem Senat, w nagrodę za zwycięską kampanię. Cezar otrzymał ten tytuł już w 60 r. p.n.e. Tytuły monarsze nadawane w Rzymie od

czasów Oktawiana to „August” i „Cezar”. To drugie pochodzi od imienia Gajusza Juliusza Cezara, które przyjmowali kolejni władcy Rzymu. Gajusz Juliusz Cezar nie mógłby zatem również powiedzieć: „Uczyńcie mnie Cezarem!”.

Jak wyglądały sugerowane monarsze zapędy Gajusza Juliusza? Pragnął on oczywiście jedynowładztwa, ale wiedział jednocześnie, że rzymski lud brzydzi się monarchią, mając cały czas w pamięci rządy etruskich królów oraz utożsamiając ów ustrój z państwami wrogimi Rzymowi. Cezar wiedział zatem, że monarcha mógłby stać się jedynie przy aplauzie tłumu. Ten jednak nie wykazywał entuzjazmu w tym względzie. Cezar odegrał nawet republikańską komedię podczas Luperkaliów. Gdy Marek Antoniusz próbował włożyć mu na głowę złotą koronę, ten, zerkając ukradkiem na reakcje ludu, odrzucił ją gwałtownie. Wiedział, że musi rządzić przy współudziale instytucji republikańskich. Nawet to jednak nie uchroniło go przed sztyletami senatorów. Dopiero Oktawian, pozbywając się zbrojnie wszystkich przeciwników politycznych, włącznie z zabójcami przybranego ojca, mógł tytułować się Augustem.

Na tym samym posiedzeniu Cezar wyrażenia ambitne plany reform rzymskiego ustroju, gospodarki i infrastruktury. Tylko jedno z nich musi budzić zdecydowany sprzeciw historyka: nadanie praw niewolnikom. Ten nonsens można wytłumaczyć jedynie tym, że reżyser najprawdopodobniej chciał przybliżyć postać dyktatora przeciętnemu widzowi ukształtowanemu w nowoczesnej demokracji. Cezar, choć przychylny plebsowi,

ani myślał folgować niewolnikom. Był nawet przeciwny uzbrajaniu ich w czasie sytuacji zagrożenia państwa.

Antoniusz i Oktawian

Akcjum. Jedna z ważniejszych bitew w dziejach starożytności w wersji filmowej przypomina morską wersję szarży pod Warną lub Gaugamelą. W obu tych przypadkach wodzowie szukali szczęścia w straceńczym uderzeniu prosto w środek szyku przeciwnika. Dopaść wrogiego władcę, strącić go, ukatrupić i zasiał popłoch w szeregach wroga. Bardzo ryzykowna to taktyka i w filmie Marek Antoniusz skończyłby niechybnie jak Władysław Warneńczyk. Wdarł się bowiem na wrogi okręt flagowy z nadzieją pokonania samego Oktawiana, ale na pokładzie był tylko oficer noszący jako przynętę jego hełm i pancerz. Antoniusz wpadł w pułapkę i wokół jego okrętu zaczęły gromadzić się wrogie liburny. Zgi-

nąłby, gdyby nie ucieczka jego ukochanej, za którą popłynął na szalupie, porzucając swoje okręty na pastwę Oktawiana.

Nie tak wyglądała owa bitwa. Agrypa, czyli w tym momencie drugi człowiek po Oktawianie, cofał się przed Antoniuszem na pełne morze, rozluźniając swój szyk. Chciał, aby cięższe i mniej manewrowe okręty przeciwnika podążyły za nim. Gdy szyk Antoniusza się rozwinął i stracił spoistość, Agrypa związał walką skrzydła wroga, każąc jednocześnie uderzać w jego środek, tam, gdzie płynęła galera dowódcy. W tym momencie bitwa była de facto przegrana i Kleopatra mogła faktycznie pomyśleć, że Antoniusz nie żyje.

Jest jednak pewien szkopuł. Antoniusz, uciekając z miejsca bitwy, pociągnął za sobą ok. 50 swoich okrętów, co według części historyków oznacza, że od początku spisał większość floty na straty, chcąc tylko wyrwać się z Zatoki Ambrajskiej i dotrzeć do legionów rozmieszczonych na Bliskim Wschodzie. Marny to był plan, albowiem legioniści, dla których wódz nie zdołał zorganizować zaopatrzenia, zaczęli masowo przechodzić na

stronę Oktawiana. Reżyser odmalował to w fikcyjnej, ale oddającej ducha tamtych wydarzeń sytuacji, gdy Marek Antoniusz budzi się w obozie, skąd uciekli wszyscy jego żołnierze.

Warto jeszcze zastanowić się nad Oktawianem. Z jakiegoś powodu kino niezbyt lubi pierwszego cesarza Rzymu, choć przecież był jednym z lepszych, jakie imperium miało. Mankiewicz zrobił z niego skrytego, oschłego intryganta, który zabija egipskiego posła, ale do wojaczki niezbyt się nadaje – wciąż jest chory. Prawdziwy Oktawian August nie był być może najlepszym towarzyszem zabaw, ale Mankiewicz grubo przesadził z przedstawianiem jego wad. Scena rzutu włócznią w Sosygenesa jest zmyślona, podobnie jak choroba w czasie bitwy pod Akcjum. Kino nie lubi mężów stanu, którzy tak jak Oktawian August nawoływali do moralnej wstrzemięźliwości. Uwielbia za to wodzów biorących z życia całymi garściami, podrywaczy, kochanków, huklaków szarżujących na czele swojej armii. Takim był Marek Antoniusz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



65 lat

historii filmu

2536 wydań

Filmopedia

FILM

od 1946 roku

Największa baza dorobku
polskiej kultury filmowej

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Wywiad / Z prof. Wiesławem Janem Wysockim



rozmawia Marcin Bartnicki

Powstanie sejneńskie

/ Polacy w brawurowej operacji pokonali litewską armię. Jest to powstanie najbardziej zapomniane

MARCIN BARTNICKI: Dlaczego Polska Organizacja Wojskowa z okręgu suwalskiego nie chciała czekać na rozstrzygnięcia na poziomie rządowym i rozpoczęła powstanie? Walki, mimo że w 1919 r. zakończono zwycięstwem, i tak nie przesądziły o przynależności tych terenów do Polski. Miejscowość przechodziła z rąk do rąk jeszcze kilkanaście razy.

PROF. WIESŁAW JAN WYSOCKI: Analizując tę decyzję, musimy wziąć pod uwagę kontekst i sytuację społeczną. Głównym aktorem decydującym o przyszłości tych ziem byli Niemcy. To oni dysponowali nimi po zakończeniu działań wojennych i mogli zdecydować, co z nimi zrobić. Gdy okazało się, że nie da się przyłączyć ich do Prus Wschodnich, postawili na Litwinów i to właśnie im przekazali kontrolowane do tej pory tereny. „Przyznali” im nawet króla – Mendoğa II. Takie imię przybrał książę wirtemberski Wilhelm Karl von Urach. Celem Litwinów było w tym czasie odtworzenie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Mieli przy tym specyficzne pojmowanie tego, kto jest Litwinem – uważali za takich wszystkich mieszkańców dawnych ziem Wielkiego Księstwa, a więc Rosjan, Białorusinów,

Żydów i Polaków. Należało tylko wpłynąć na zmianę ich narodowej tożsamości. Szczególną rolę w budowaniu tej nowej narodowej tożsamości odgrywali duchowni. Łatwo sobie wyobrazić, że na terenach, na których przeważali Polacy, wywoływało to wzburzenie.

Postawę litewskiego duchowieństwa określilibyśmy dziś jako skrajnie nacjonalistyczną. Z czego wynikała?

Ta postawa była wręcz szowinistyczna. Wynikało to z dominującego wówczas w litewskiej historiografii nurtu,

według którego Władysław Jagiełło i cała dynastia Jagiellonów byli zdrajcami, a Królestwo Polskie zdominowało, a wręcz okupowało Wielkie Księstwo Litewskie. W unii lubelskiej Litwini widzieli więcej strat niż korzyści, a przecież bez niej Litwa mogła



zostać podporządkowana Moskwie. To po naszej stronie panowało przeświadczenie, że Litwini to nasi bracia.

Było to widoczne chociażby podczas zorganizowanych w Krakowie obchodów 500. rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Na zaproszenie polskich organizatorów nie przybyła żadna litewska delegacja, na miejscu był obecny tylko jeden litewski korespondent. W czasie, gdy Polacy, odnosząc się do dziedzictwa Rzeczypospolitej

Obojga Narodów, nazywali Litwinów braćmi, ci mówili co najwyżej o przebaczeniu. Poglądy te były tak silne, że do sejneńskiego seminarium duchownego nie przyjmowano Polaków. Postawa litewskiego duchowieństwa zaznaczyła się szczególnie wyraźnie, gdy w czasie powstania nie otworzono drzwi kurii uciekającym tam polskim rannym powstańcom. Zostali oni następnie zamordowani przez litewskie wojsko.

Z czego wynikało okrucieństwo Litwinów podczas sprawowania kontroli w Sejnach?

Dominowało przekonanie, że to chwila odwetu. Wydarzenia te można zestawiać z tym, co działo się później na Wołyniu. Nagle okazało się, że Litwini czuli się upokorzeni i jesteśmy dla nich wrogiem. Widoczny był kompleks niższości wobec polskiej kultury, którą uznawali za zagrożenie dla swojej narodowej tożsamości. Jednocześnie kompleks wyższości nad kulturą rosyjską pozwalał im na zawarcie sojuszu z Rosją, ponieważ nawet w przypadku wchłonięcia ich państwa przez ten kraj, nie obawiali się, że doprowadzi to do utraty ich narodowej tożsamości. Polacy zostali

więc uznani za największe zagrożenie. Represje zaczęli Niemcy, którzy atakowali

kościół, wrzucali nawet do nich granaty. W Suwałkach dochodziło nawet do zabójstw i napadów, ale zdarzenia te miały charakter incydentalny. Organizowały je bojówki litewskie, odpowiadała na nie Polska Organizacja Wojskowa, co potęgowało nastroj wzajemnej wrogości. Wzburzenie wywołał szczególnie pobór Polaków do litewskiego wojska – wszystkich miejscowych uznano po prostu za Litwinów. Młodzi ludzie decydowali się więc na ucieczkę lub przyłączali się do POW. Po stronie litewskiej do walki zachęcał Mykolas Sleževičius, ówczesny premier Litwy, który podczas przemówienia w Sejnach mówił wprost, że Litwini mają się bronić. Nawet przy użyciu kos i wideł. To jeszcze bardziej podgrzało nastroje niedługo przed powstaniem.

W praktyce w walce wykorzystano jednak standardowe uzbrojenie. Jaką broń dysponowali powstańcy? Skąd pochodziła?

Niemcy opuszczający te tereny sprzedawali broń na lewo i prawo, nie przejmowali się żadnymi restrykcjami.



Oddział polskiej milicji w Sejnach, 1919 r.

FOT. ZBIORY PROFESORA WYSOCKIEGO

Sporo uzbrojenia pochodziło też z korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, walczącego wcześniej w armii rosyjskiej. Co ważne, rekrutujący się stamtąd powstańcy przychodzili nie tylko z bronią, lecz także z doświadczeniem. Litwini też formowali swoją armię w oparciu o uzbrojenie niemieckie, mieli jednak mało oficerów. Wśród nich walczyli Niemcy, którzy uznali, że nie mają dokąd wracać, Rosjanie, a nawet niewielka grupa Amerykanów.

Dlaczego Niemcy walczyli jako ochotnicy po stronie litewskiej? Byli najemnikami?

Byli wśród nich najemnicy, ale byli to też niemieccy osadnicy, którzy przybyli na te tereny w czasach I wojny światowej. Niemcy kontrolowali te tereny przez kilka lat, napływali tam koloniści, którzy zdążyli się już zadomowić.

Przed wybuchem powstania, w sierpniu 1919 r., w rejonie przyszłych walk zbrojni Litwini mieli przewagę w ludziach wynoszącą 1,2 tys. do 900, dysponowali lepszym uzbrojeniem. W dodatku była to regularna armia. Szanse powodzenia nie wyglądały dla POW najlepiej.

Ważne jednak, kim byli ludzie walczący po obu stronach. Polscy powstańcy to miejscowi, zdeterminowani do walki. Morale żołnierzy litewskich służących w regularnej armii, a więc pochodzących

z innych terenów, nie mogło się z tym równać.

Powstańcy wzięli 400 jeńców, nie mając wsparcia Wojska Polskiego. Co zdecydowało o początkowych sukcesach? Tłumaczy to fakt, że walczyli o własną ziemię?

W pierwszych miesiącach formowania litewskiej armii miała ona lepsze uzbrojenie, otrzymane od Niemców, ale brakowało wyszkolonych kadr, organizacja tego wojska pozostawiała wiele do życzenia. Brak zaangażowania w czasie pierwszego dnia walki okazał się szczególnie ważny. Miejscowi walczyli o coś, mieli wyższy cel, Litwini nie mieli takiej motywacji. Wśród Polaków panowało przekonanie, że tam, gdzie się zaatakuję, Litwini uciekną. Rezultat walk to potwierdził.

Dlaczego Wojsko Polskie nie przyszło z pomocą powstańcom po pierwszym dniu walk? Zakładał to plan POW. W konsekwencji brak wsparcia doprowadził do tymczasowego odbicia Sejn przez Litwinów i licznych aktów okrucieństwa.

Nie wiem, czy miejscowe dowództwo WP obraziło się, że nie zostało poinformowane o terminie rozpoczęcia działań, czy w grę wchodziły jeszcze inne czynniki. Trudno jednak dziwić się powstańcom, że stosowali się do zasad konspiracji, jeśli weźmiemy pod uwagę to, że planowany przewrót w Kownie nie powiódł się przez miejscowego komendanta POW. W rozmowach, w sytuacjach bardzo osobistych, opowiadał o wszystkim swojej litewskiej partnerce, a ona przekazywała te informacje dalej.

Na arenie międzynarodowej powstanie przyniosło pewne negatywne skutki. Może jednak było niepotrzebne?



WIEŚLAW JAN WYSOCKI

„POWSTANIE SEJNEŃSKIE 1919”

BELLONA

eprasa.pl cf27540517

KONGRES 590

4. Edycja

7-8.X.2019

G2A Arena,

Jasionka k. Rzeszowa



6 000
gości



500
panelistów



30
godzin
networkingu



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Dowiedz się więcej
www.kongres590.pl



PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNERZY GŁÓWNI:





Piotr Zychowicz

/ Kto jest dla nas najlepszym sojusznikiem? Francja! – odpowiadał chórem naród polski. – Niemcy – mówił osamotniony Władysław Studnicki

Polacy to naród, który ma wiele przymiotów. Tak jak każdy naród na świecie mieliśmy i mamy również swoje wady. Jedną z nich było osobliwe skrzywienie polskiej myśli politycznej, które w wiekach XIX i XX przyćmiło umysły sporej części naszych rodaków. Nazwa tej nieprzyjemnej choroby to frankofilia.

Była to całkowicie oderwana od realiów romantyczna miłość do „starszej siostrzycy” znad Sekwany. Było to uczucie ślepe, opierające się na śmiesznym przekonaniu, że Francuzi kochają Polaków mniej więcej tak samo gorąco, jak Polacy kochają Francuzów. A co za tym idzie – nie opuszczają nas w potrzebie. W momencie wybuchu wojny niemiecko-polskiej – kierowani szlachetną sympatią dla Polski – Francuzi nieodzwrotnie przybędą nam na ratunek.

Mimo że Francja zawodziła nas niemal zawsze, a Francuzi – pisząc delikatnie – mieli nas w nosie, frankofilia polska trwała niczym skała obojętna na szalejące wokół niej oceany rzeczywistości. Wydawało się, że nic nie jest w stanie nią zachwiać. A jednak przyszedł rok 1939.

Tym razem zdrada Francji była tak kolosalna, a zawiedzione nadzieje tak olbrzymie, że nie mogło to już spłynąć po Polakach jak po kacze. Bierność Francuzów, którzy w momencie, gdy Polska konała pod ciosami Niemców i Sowietów, nie wyściubili nosa poza Linie Maginota, była dla pokolenia naszych dziadków szokiem.

W efekcie frankofilia polska potliła się jeszcze niemrawo do roku 1940, aż wreszcie dopaliła się, wygasła. Dzisiaj, 80 lat po wrześniowej katastrofie, nie ma Polaka przy zdrowych zmysłach,

który opierałby bezpieczeństwo naszego państwa na Francji.

Szpada francuska

Polak wreszcie mądry po szkodzie! Brawo! – chciałoby się zakrzyknąć. Realista polski na taki okrzyk może się jednak tylko zżymać. Szkoda bowiem, że Polak nie był mądry przed szkodą. Mimo zaklęć szamanów naszej patriotycznej poprawności beczynność Francji we wrześniu

1939 r. można było bowiem przewidzieć. A co za tym idzie – można było uniknąć wrześniowej katastrofy i bolesnego zawodu.

Dowód? Proszę bardzo. Książka „O przymierze z Niemcami”. Czyli zbiór przedwojennej publicystyki Władysława Studnickiego, zebrany przez niezastąpionego Jana Sadkiewicza i wydany przez wydawnictwo Universitas.

Oslabiona fizycznie, uzależniona finansowo Francja nie będzie mogła prowadzić polityki aktywnej – pisał Władysław Studnicki 8 kwietnia 1923 roku na łamach

1939 r. / Władysław Studnicki

Samotny wojownik





RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

„Słowa”. – Francja sama potrzebuje gwarancji bezpieczeństwa i żadnej gwarancji nie będzie mogła dać Polsce. Tego u nas nie rozumieją. Francuzi pamiętają, że gdy układ polityczny Europy był zbudowany na tym, że państwa polskiego nie ma, Francja miała jako sprzymierzeńca Rosję i to dało jej możliwość odzyskania Alzacji i Lotaryngii. Polska dla Francji jest surogatem Rosji. Francja z lekkim sercem powita zniweczenie Polski w razie odrodzenia się potęgi Rosji. Sen o spadzie francuskiej, wyciągniętej w naszej obronie, nic nie ma wspólnego z rzeczywistością.

Na tym właśnie poległo sedno problemu. Polska, szukając mocarstwa lądowego, z którym mogłaby prowadzić wojnę na dwa fronty przeciwko Niemcom, nie miała żadnego wyboru. Była skazana na Francję. Francja natomiast taki wybór miała. Szukając na wschodzie Europy partnera do wojny na dwa fronty przeciwko Niemcom, mogła oprzeć się na Polsce albo na Związku Sowieckim.

Trudno zaś oczekiwać od francuskich polityków, żeby sentymenty brały u nich górę nad racją stanu. Żeby kierując się uczuciami, narażali swoje państwo na katastrofę. Nie, tego sobie wyobrazić nie można. Francuzi nie są Polakami. Dlatego francuscy mężowie stanu, stojąc przed wyborem Polska czy Związek Sowiecki,



Władysław Studnicki FOT. NAC

zawsze wybraliby partnera silniejszego. Czyli bolszewików.

Dlatego właśnie – według Studnickiego – sojusz polsko-francuski był skazany na fiasko. Mógł trwać tylko dopóty, dopóki Związek Sowiecki był słaby i izolowany. Polska – podkreślmy to raz jeszcze – we francuskim systemie politycznym była tylko surogatem Rosji.

Jasne jednak było, że gdy tylko Związek Sowiecki okrzepnie i wzmocni się militarnie, Francja entuzjastycznie rzuci mu się w ramiona. I na ołtarzu sojuszu francusko-sowieckiego bez mrugnięcia okiem złoży interesy swojego polskiego wasala. Będzie bowiem wołała oryginał od surogatu.

To w Moskwie, a nie w Warszawie Francja będzie szukała prawdziwego sojusznika na wypadek wojny z Niemcami. Jasne było również to, przed czym

bezszykownie w przededniu II wojny światowej ostrzegał Studnicki – że tą samą drogą pójdzie Wielka Brytania.

Dlatego, przewidywał Studnicki, Francja i Anglia nie pomogą napadniętej przez Niemców Polsce. Będą bowiem rachować, że na gruzach Polski powstanie granica niemiecko-sowiecka. A to z kolei doprowadzi do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. I kolejną wojnę z Niemcami uda się wygrać, przelewając krew rosyjskiego żołnierza.

Jeżeli zaś Zachodowi uda się wciągnąć Stalina do wojny przeciwko Niemcom – ostrzegał Studnicki – to będzie mu musiał za udział w tej wojnie czymś zapłacić. Czym? Oczywiście Polską.

Według Władysława Studnickiego drugim powodem, dla którego Polska nie mogła liczyć na pomoc Francji, były upadek morale i ideologia pacyfistyczna, ■

■ które trawiły tamtejsze społeczeństwo. Ich przyczyną była rzeź francuskich mężczyzn w okopach wielkiej wojny.

Powierzchniowym umysłem Francja sprzymierzona z Polską i z Małą Ententą mogła wydawać się potęgą, decydującą o losach Europy – pisał Studnicki w październiku 1937 r. – Lecz Francja, posiadająca minimalny przyrost ludnościowy przed wojną, Francja, która utraciła 37% dorosłych mężczyzn do pięćdziesiątego roku życia, która, pomimo zdobycia Alzacji i Lotaryngii i trzech milionów cudzoziemców, nie posiada więcej ludności niż przed wojną, Francja wyludniająca się, której rdzenna ludność zmniejsza się o dwieście osób dziennie, nie może pozwolić sobie na nową wojnę, która nawet w razie zwycięstwa by ją dorznęła.

Straumatyzowana Francja wręcz drżała na myśl o ponownym zderzeniu z niemieckim kolosem, który górował nad nią stopniem przemysłowienia i liczbą mieszkańców. Właśnie ten strach pchnął Paryż do podpisania z Berlinem w 1925 r. układu w Locarno, który gwarantował przebieg granicy francusko-niemieckiej, a kwestię rewizji granicy niemiecko-polskiej pozostawiał otwartą.

Na takim chwiejnym i niepewnym sojuszniku – na próżno przekonywał swoich rodaków Władysław Studnicki – nie wolno opierać bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. To byłaby droga w otchłań.

Pieść niemiecka

Jaka zatem była alternatywa? Skoro sojusz z Francją i Wielką Brytanią musiał doprowadzić do katastrofy, to z kim powinna była sprzymierzyć się II RP? Jak można było uniknąć klęski?

Odpowiedź, której udzielał na te pytania Władysław Studnicki, była niezwykle niepopularna. Konserwatywny publicysta szedł bowiem pod prąd, wbrew uczuciom i emocjom swojego narodu. Kiedy odurzeni narkotykiem frankofilii Polacy skandowali zgodnym chórem:

„Paryż! Paryż! Paryż!”, on mówił chłodno i z namysłem: „Berlin”.

Studnicki, ten wielki – kto wie, czy nie największy – polski patriota swojej ery, był jednocześnie tak bardzo... niepolityczny. Rozumiał bowiem, że relacje międzynarodowe rządzą się innymi prawami niż relacje damsko-męskie. Tutaj nie wolno kierować się sercem – tu trzeba kierować się rozumem.

Podstawowym założeniem myśli geopolitycznej Władysława Studnickiego było przekonanie, że najczarniejszym scenariuszem dla Polski jest sojusz Związku Sowieckiego i Niemiec.

Musi on u każdego Polaka dbałego o przyszłość swego narodu spędzać sen z powiek – pisał Studnicki w październiku 1930 r. – jako katastrofa, która by musiała zniszczyć lub do mizernych rozmiarów doprowadzić nasze państwo. Myśl polska winna pracować nie w kierunku poszukiwania koalicji równoważącej kooperację rosyjsko-niemiecką, gdyż taka koalicja byłaby niemożliwością. Polska myśl polityczna winna pracować ku powołaniu do życia kombinacji politycznej odciągającej Niemców od Sowietów, właściwie Niemców od Rosji.

Tą kombinacją – zdaniem Studnickiego – było przymierze Polski z Niemcami, które stałoby się fundamentem bloku środkowoeuro-

pejskiego. W bloku tym powinny być znaleźć się: Rumunia, Węgry oraz inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej od Bałtyku do Adriatyku, zagrożone ekspansją sowiecką.

Antykomunizm nie był jednak jedynym spoiwem tego bloku. Za jego powstaniem przemawiały również względy ekonomiczne. Niemcy potrzebowały zbytu dla wytworów swojego potężnego przemysłu, a jednocześnie cierpiały na brak zboża i innych płodów rolnych. Polska i inne państwa Europy Środkowej znajdowały się w sytuacji odwrotnej – potrzebowały produktów przemysłowych i technologii. Mogły za to eksportować żywność.

Władysław Studnicki studiował antyniemieckie bojowe nastroje rodaków

i usiłował przekuć nadmuchiwany przez naszych urzędowych optymistów balon mocarstwowości. Ostrzegał, że jeżeli Polska pójdzie na wojnę z Niemcami, to zostanie w tej wojnie pokonana.

Granica z Niemcami półkolem otacza znaczną część Polski – pisał w kwietniu 1934 r. – co uniemożliwia przeprowadzenie frontu, gdyż musiałby on przechodzić pod Warszawą. Od Warszawy do Prus Wschodnich jest w linii powietrznej około 100 kilometrów, a więc Warszawa może być ostrzeliwana przez dalekonośne działa z Prus Wschodnich. Rzeki nie dzielą Polski od Niemiec, lecz łączą te dwa kraje. Zagłębie węglowe znajduje się na granicy polsko-niemieckiej. Gdyby w razie wojny polsko-niemieckiej linia frontu niemieckiego stanęła na Warcie, jak to było na początku wojny światowej, dotknęłby nas paraliż gospodarczy. Jeżeli byśmy wzięli pod uwagę wszystkie czynniki siły potencjalnej, przeobrażone w siły militarne, to stosunek sił Polski do Niemiec byłby wielokrotnie niższy, tak że nawet Francja plus Polska są słabsze od Niemiec. Czynniki te są: liczba ludności, gęstość zaludnienia, gęstość sieci kolejowej, liczba samochodów, udział w światowej żegludze powietrznej, produkcja surowego żelaza, produkcja stali, przemysł maszynowy i przemysł chemiczny.

Polemiści Studnickiego przekonywali – a ich następcy przekonują nas o tym do dziś! – że Polska nie mogła iść na zbliżenie z Niemcami, bo w ten sposób... utraciłaby Pomorze. Cóż za zdumiewająco nielogiczny pogląd. Władysław Studnicki już w latach 30. przekonywał, że byłoby dokładnie odwrotnie. Droga do utraty Pomorza prowadziła nie przez przymierze z Niemcami – które od tej utraty nas zabezpieczało – ale przez wojnę z Niemcami, którą musieliśmy przegrać.

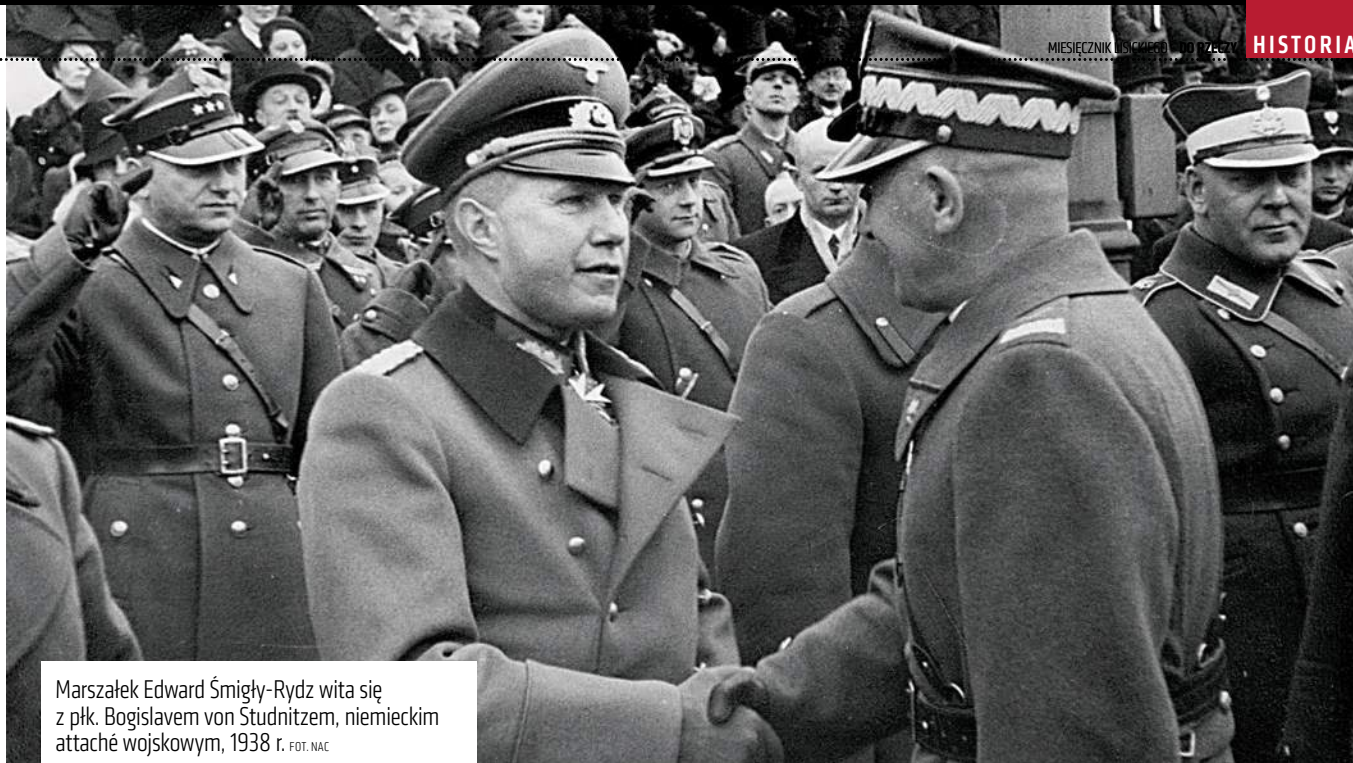
Warunki geograficzne Polski i Niemiec stawiają dylemat – pisał Studnicki – albo zablokowanie się, albo walka, która dla Polski byłaby walką nie na życie, a na śmierć.

Władysław Studnicki z wielkim niepokojem obserwował polską politykę zagraniczną w latach 20. i na początku lat 30. Zmieniło się to w roku 1934, gdy 26 stycznia Polska podpisała z Niemcami pakt o nieagresji. I nastąpił okres polsko-niemieckiego odprężenia. Odprężenie to wzmocniło pozycję Warszawy, która przestała odgrywać rolę francuskiego wasala i stała się wreszcie podmiotem, a nie przedmiotem gry międzynarodowej.

Paradoksalnie to dojście do władzy Adolfa Hitlera – który odrzucił tradycyjną prosowiecką i antypolską politykę Republiki Weimarskiej – umożliwiło ten niezwykle korzystny dla Rzeczypospolitej zwrot.



WŁADYSŁAW STUDNICKI
„O PRZYMIERZE Z NIEMCAMI”
UNIVERSITAS



Marszałek Edward Śmigły-Rydz wita się z płk. Bogislavem von Studnitzem, niemieckim attaché wojskowym, 1938 r. FOT. NAC

Gdybym był Niemcem – pisał Studnicki w lutym 1935 roku – prawdopodobnie pozostawałbym w opozycji względem polityki wewnętrznej Hitlera ze względu na rządy jednopartyjne, na centralizację zaprowadzoną przez niego w Niemczech, i wreszcie w stosunku do kwestii żydowskiej miałbym poważne zastrzeżenia. Dla mnie zaś jako Polaka drogowskazem dla stosunku do współczesnych Niemiec nie jest ich polityka wewnętrzna, tylko zewnętrzna. I to odprężenie stosunków polsko-niemieckich, jakie zostało zapoczątkowane przez Hitlera, w dalszym rozwoju może doprowadzić do przymierza polsko-niemieckiego.

Na czym miało polegać owo „przymierze”? Otóż Władysław Studnicki – w przeciwieństwie do Józefa Becka – nie miał wątpliwości, że panujący w Europie pokój jest niezwykle kruchy i wybuch kolejnej wojny jest tylko kwestią czasu. Według niego Polska miała dwa wyjścia. Mogła w nadchodzącej wojnie bić się przeciwko Niemcom, co zakończyłoby się dla niej katastrofą i sowietyzacją. Albo bić się po stronie Niemców – co zakończyłoby się katastrofą dla Związku Sowieckiego.

Wylimitowanie z gry agresywnego wschodniego sąsiada leżało zaś bez wątpienia w interesie Rzeczypospolitej. Na odcinku antysowieckim interesy Polski i Niemiec się pokrywały.

Dlaczego to przedsięwzięcie ma być dla Polski śmiertelne? – pytał w sierpniu 1937 r. – Mamy frazes, mamy mocny przymiotnik zamiast dowodu. Czyż Rosja, pozbawiona Kaukazu z jego żelazem manganowym, z jego naftą, Rosja przepołowiona, z oderwaną, przeobrażoną w samodzielne państwo Ukrainą nie przestanie być tym niebezpieczeństwem, jakim jest dziś i będzie zawsze,

pozostając w dawnych granicach?

I dodawał:

Dla rozbicia Rosji i wytworzenia samodzielnej Ukrainy oraz innych organizmów państwowych na terenie dzisiejszego ZSSR potrzebny jest sojusz polsko-niemiecki.

Według Studnickiego oprócz Ukrainy na gruzach Związku Sowieckiego należało stworzyć niepodległą Gruzję, Azerbejdżan i Armenię. Północne terytoria czerwonego kolosa powinny zostać oddane Finlandii, a wschodnie Japonii. Z kolei Polska powinna otrzymać Białoruś co najmniej do rzeki Berezyny. Jak podkreślał Studnicki, Rzeczpospolita „winna dążyć do zdobycia na wschodzie terytoriów ze swej dziejowej spuścizny”.

Przyszła Rosja, która wyłoniłaby się z wojennego chaosu, zostałaby ograniczona jedynie do swojego etnicznego terytorium. A co za tym idzie – byłaby słaba i niegroźna. Zegar historii zostałby cofnięty do czasów sprzed Iwana Groźnego. Tym samym sytuacja geopolityczna Polski stałaby się o niebo korzystniejsza.

Dlatego właśnie Rzeczpospolita – zdaniem Studnickiego – powinna była iść u boku Niemiec na wojnę z Sowietami. Dla naszego zachodniego sąsiada byłibyśmy niewątpliwie cennym sojusznikiem.

Ze względu na geograficzne położenie Polski – pisał Studnicki – akcja zbrojna Niemiec przeciwko Rosji zwiększa wielokrotnie szansę swego powodzenia, gdy będzie prowadzona z Polską. Tu chodzi nie tylko o przemarsz wojsk niemieckich przez nasze terytorium, ale i pewność, że nie nastąpi flankowy atak, pomijając już znaczenie polskich sił zbrojnych, które przy pomocy

technicznej niemieckiej mogą być pierwszorzędną potęgą.

I dalej:

Dla zachowania nienaruszalności naszego terytorium, tak byłego zaboru pruskiego, jak i wschodniej Małopolski, nie możemy znaleźć innej drogi, jak kooperacja polityczna, gospodarcza i militarna niemiecko-polska. Sił bowiem na przeciwstawienie się Niemcom w ich koncepcjach politycznych nie znajdziemy ani u siebie, ani poza sobą. Los Czechosłowacji wykazuje obojętność Francji i Anglii dla sprawy środkowej Europy. Stosunek do Polski obu tych państw, zwłaszcza Francji, jest dziś niechętny.

Jak wiadomo, Władysław Studnicki pozostał niewysłuchanym prorokiem. Minister spraw zagranicznych Józef Beck w 1939 r. dokonał nieoczekiwanego zwrotu. Zerwał z polityką polsko-niemieckiego odprężenia i przeskoczył do obozu francusko-brytyjskiego. Składaną mu przez Niemców ofertę wspólnego marszu na Moskwę kategorycznie odrzucił.

Decyzja Becka uruchomiła reakcję łańcuchową. Rozwścieczony polską odmową Adolf Hitler sprzymierzył się z Józefem Stalinem. I razem z nim rozszarpał Polskę. Najczarniejszy scenariusz R+N stał się faktem. Francuzi i Brytyjczycy oczywiście w naszej obronie nie kiwnęli palcem. A na koniec wojny ci ostatni sprzedali nas Stalinowi. Największa katastrofa w dziejach naszego narodu dokonała się.

Wszystko to, co do joty, przewidywał wielki Władysław Studnicki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



II wojna / Sowiecki samolot Po-2 i jego załogi

Kamikadze Stalina



Mikołaj Iwanow

Niemieccy żołnierze nazywali te samoloty „czarną śmiercią”. A kobiety – lotników „nocnymi wiedźmami”

Jedna z bohaterek słynnej książki białoruskiej noblistki z dziedziny literatury Swietłany Aleksiejewicz „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”, była porucznik lotnictwa Aleksandra Papkowa, stwierdza: „Nazywano nas kamikadze, i na pewno byliśmy kamikadze... Dali

nam samolot Po-2. Mały, wolny. Latał on jedynie na małych wysokościach, dość często nad samą ziemią. Przed wojną na tych samolotach ćwiczone młodych w klubach lotniczych, ale nikt nawet nie mógł przypuszczać, że będą wykorzystywać je podczas wojny. Samolot ten był o konstrukcji drewnianej, całkiem wykonany z drewna, oklejony materiałem płóciennym. W rzeczywistości – gazą. Wystarczyło jedno trafienie i cały samolot stawał w płomieniach. Spalał się w powietrzu, nawet nie dotykając ziemi, jak zapalka. Jedyna metalowa część – silnik. Tylko pod koniec wojny dostaliśmy spadochrony, zainstalowano również karabiny maszynowe w przedziale nawigatora. Przedtem nie było żadnego uzbrojenia. Pod skrzydłami mieliśmy cztery uchwyty na bomby i tyle”.

Na tych samolotach – jak proroczo mówili pesymiści: jednorazowego użytku – latali również mężczyźni, ale w Armii Czerwonej istniały dwa pułki bombowe, składające się wyłącznie z kobiet: 587. i 588. pułki nocnego lotnictwa bombowego. Pierwszy pułk lotniczy kobiet zorganizowano już w październiku 1941 r. Początkowo wykorzystywano kobiety – lotników również w dzień, ale po ogromnych stratach samolotów zdecydowano się przejść do lotów wyłącznie nocnych. W Armii Czerwonej kobiety służyły również razem z mężczyznami w innych jednostkach lotniczych, ale jedynie w tych dwóch pułkach od dowódców do mechaników samolotowych były same kobiety. Przeważnie ochotniczki. Większa część z nich wykazywała skrajny fanatyzm. Znane są fakty, kiedy kobiety – lotniczki



Samolot Po-2, zwany „kukuruźnikiem”

FOT. ARCHIWUM



Rufina Gaszewska i Natalia Meklin, pilotki Po-2, uhonorowane tytułem Bohatera Związku Sowieckiego

FOT. ARCHIWUM

kle trudną. Dla messerschmittów i focke-wulfów obniżenie prędkości do takiego poziomu było niebezpieczne i prawie niemożliwe. Nie przypadkiem niemieccy żołnierze nazywali te samoloty „czarną śmiercią”, a kobiety-lotników „nocnymi wiedźmami”. To ostatnie określenie było związane z tym, że atak kobiecych maszyn następował z wyłączonymi silnikami, a towarzyszył mu cienki odgłos skrzydeł, przypominający odgłos mioty.

Ten niezwykle samolot został skonstruowany w Związku Sowieckim jeszcze w połowie lat 20. jako samolot do wstępnego szkolenia lotników. Konstrukcja owego dwupłatowca okazała się na tyle udana, że był on produkowany aż do 1953 r. Powstało kilka jego modyfikacji. Jako maszyna szkoleniowa był wyjątkowo bezpieczny. Znałe są liczne przypadki, kiedy podczas wojny po zastrzeleniu głównego pilota drugi bez problemu lądował. Nawet w razie śmierci obu pilotów samolot spokojnie kontynuował lot i nawet lądował jako szybowiec. W ciągu prawie 30 lat produkcji wypuszczono ponad 33 tys. tych maszyn. Niektóre samoloty tego typu, popularnie nazywane „kukuruźnikami”, wykorzystywano w rolnictwie do połowy lat 80.

Po rozpoczęciu wojny z Niemcami produkcja Po-2 w wersji lekkiego bombowca uległa gwałtownemu przyspieszeniu mimo okupacji znacznej części kraju i ewakuacji licznych zakładów produkujących samoloty dla wojska. Przyczyną były niezwykle tania produkcja i jej prostota. Samolot otrzymał nieco mocniejszy

silnik, który pozwalał na zwiększenie ładowności bombowej do 300 kg. Zwiększono nieco przewidywalną długość lotu do 350–400 km. Do startu i lądowania samolot ten potrzebował jedynie placu długości o 100–120 m.

Była to bardzo cenna i efektywna maszyna do obsługi partyzantów sowieckich. Armia Krajowa zetknęła się z tymi samolotami na szerszą skalę podczas Powstania Warszawskiego, kiedy po 13 września wykorzystywano je do zrzucania pomocy dla powstańców. Latały one przeważnie w nocy i zrzucały broń, leki i produkty żywnościowe dla walczącej polskiej stolicy z małej wysokości, ale bez spadochronów. W związku z tym liczne dostawy broni trafiały w ręce powstańców uszkodzone i nienadające się do użycia.

Niemiecki generał lotnictwa i powojenny historyk lotnictwa Walter Szwabedissen tak opisywał bojowe charakterystyki Po-2: „Brdna szaro-zielona barwa ochronna tych samolotów doskonale maskowała te maszyny w powietrzu, zwłaszcza w warunkach ograniczonej widoczności i w obłokach. Natomiast w warunkach dobrej widoczności piloci rosyjscy próbowali ukrywać swe maszyny, lecąc nisko nad ziemią, prawie dotykając wierzchołków drzew. Piloci rosyjscy dość umiejętnie wykorzystywali naziemne punkty orientacyjne dla ustalenia kursu. Skuteczną bronią na takich samolotach był również karabin maszynowy zainstalowany w tylnej kabinie drugiego pilota. Po wykryciu przez niemieckie myśliwce piloci rosyjscy schodzili ostro w dół do samej ziemi, tak aby pozostać niewidocznymi na tle lasu”

świadomie rezygnowały ze spadochronów na rzecz dodatkowej bomby pod skrzydłami. Zarejestrowano również kilka przypadków świadomego kierowania strąconych maszyn na umocnione pozycje wroga jako swoistych bomb samonaprowadzających.

33 tys. maszyn

Określenie „kamikadze” stosowane wobec lotniczek pilotujących samoloty Po-2 nie było jednak do końca sprawiedliwe, mimo sporych strat sprzętu lotniczego i pilotów. W pewnym sensie samolot Po-2 o przestarzałej konstrukcji był bronią unikatową i dość skuteczną. Jego głównym atutem było zaskoczenie. Niemieckie pozycje ten wymalowany w ciemne kolory samolot atakował w nocy, przeważnie z wyłączonym silnikiem i na małej wysokości. Dlatego prawie zawsze do ostatniego momentu ataku pozostawał niewidoczny dla artylerii przeciwlotniczej Niemców i ich myśliwców. Na dodatek dla myśliwców Luftwaffe atakowanie samolotów lecących nad samą ziemią z prędkością 100–120 km/godz. było sprawą niezwy-



Po-2 na lotnisku polowym FOT. ARCHIWUM

■ lub wsi. Niemieccy lotnicy mogli stracić takie samoloty jedynie z zaskoczenia lub obniżając prędkość swych maszyn do bardzo niebezpiecznego poziomu”.

Trudno w to uwierzyć, ale dokumenty świadczą o tym, że setki tych sowieckich maszyn walczyły dość skutecznie w wojnie koreańskiej przeciwko Amerykanom i innym wojskom wysłanym do Korei pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pilotami tych maszyn byli przeważnie tzw. chińscy ochotnicy i nieliczni północni Koreańczycy.

Noc w noc

Taktyka używania nocnych bombowców Po-2 polegała na wykorzystaniu małych polowych lotnisk, znajdujących się 15–20 km od linii frontu. W dzień te lotniska pozostawały puste, a samoloty znajdowały się na głównym, dobrze strzeżonym lotnisku 200–300 km od frontu. Późnym wieczorem na małe polowe lotniska lądowały maszyny pilotowane przez kobiety, zabierały bomby i zaczynały swą niszczącą pracę. Po zrzućeniu śmiertelnie obciążonego ładunku samoloty natychmiast wracały po nowy ładunek. I tak kilka razy, a często po kilkanaście razy na noc. Wszystko zależało od długości nocy. Przerwy między lądowaniem a ponownym startem trwały jedynie 8–10 min. W dzień natomiast w rejonie lotnisk polowych już nic nie przypominało o intensywniej nocnej pracy. I tak noc w noc.

Wśród innych zalet nocnych bombowców Po-2 pilotowanych przez kobiety odnotujemy zdolność latania w złych warunkach atmosferycznych, kiedy użycie innych, bardziej technicznie zaawansowanych maszyn było niemożliwe. Mała prędkość samolotów i niski pułap lotu również pozwalały na dość precyzyjne trafienia w cel w porównaniu z innymi typami bombowców. Skonstruowany w latach

20. Po-2 był przy tym jedną z najbardziej technicznie przestarzałych maszyn, używanych przez lotnictwo sowieckie, ale jednocześnie był maszyną niezwykle żywotną, trudną do zniszczenia.

Wiele kobiet-lotniczek, które sowieckie dowództwo rzucało do boju prawie bez przeszkolenia, ginęło po kilku lotach bojowych. Natomiast było również wiele takich, które na tych maszynach wykonały kilkaset lotów bojowych. Rekordzistka, Bohater Związku Sowieckiego Irina Sebrowa, wykonała ponad tysiąc lotów bojowych. Z ponad 800 kobiet-lotników powołanych do służby w Armii Czerwonej 25 otrzymało najwyższe odznaczenie bojowe – tytuł Bohatera Związku Sowieckiego. Większość nagrodzonych miała na swym koncie od 500 do 1000 lotów bojowych. Natomiast – według niepełnych danych – straty sięgnęły ponad 100 straconych maszyn i 186 zaginionych pilotów. Były to straty porównywalne ze stratami wśród mężczyzn-lotników.

W pierwszej jednostce tego typu – 588. Kobiecym Pułku Bombowców Nocnych – przemianowanym latem 1943 r. na 46. Pułk Bombowców Gwardii, najbardziej tragiczna była noc 1 sierpnia 1943 r. Otóż niemieckie dowództwo, podenerwowane ciągłymi nocnymi atakami małych bombowców, zwróciło się do samego Göringa z prośbą, aby skierować na front w rejonie Charkowa nowoczesne nocne dwusilnikowe ciężkie śmigłowce Messerschmitt Bf 110, wykorzystywane przeważnie nad terytorium Niemiec do walki z nalotami dywanowymi lotnictwa amerykańskiego i angielskiego. Prośba była poparta również faktem wykorzystania przez sowieckie Po-2 nowych bomb zapalających ZAB-50, z kulami termicznymi zdolnymi do kompletnego wypalenia dużych terenów. Była to bardzo niebezpieczna broń, dająca się bardzo we znaki żołnierzom niemieckim. Wkrótce w rejon Charkowa przybył znany as

nocnych walk w powietrzu Josef Kociok, który tylko jednej nocy stracił trzy Po-2. Dowództwo sowieckie zmuszone było do wstrzymania lotów Po-2 na tym odcinku frontu. Był to jednak krótkotrwały triumf lotnictwa niemieckiego w walce z kobietami-lotnikami. Nocne śmigłowce miały o wiele ważniejsze zadania na Zachodzie i wykorzystywanie ich przeciwko sowieckim „kukuruźnikom” uznano za niecelowe. A Josef Kociok zginął kilka miesięcy później, odpierając kolejny atak sowieckich nocnych bombowców na Krymie.

Stworzenie sowieckich kobiecych pułków lotniczych było zjawiskiem wyjątkowym w skali światowej. Nigdy – ani przed II wojną światową, ani po jej zakończeniu – nikt nie próbował tworzyć podobnych jednostek, składających się wyłącznie z kobiet. Kobiety pełniły i pełnią dziś służbę w lotnictwie na różnych stanowiskach, w tym jako piloci. Robią to jednak w jednostkach razem z mężczyznami.

Stworzenie sowieckich pułków lotnictwa bombowego, składających się z samych kobiet, było wynikiem wyjątkowo rozpaczliwej sytuacji na froncie w pierwszych miesiącach wojny z Hitlerem. Widmo ostatecznej porażki w wojnie z Niemcami faszystowskimi pogrążyło Stalina i jego otoczenie w stanie prawie paranoicznego strachu. Próbowano wszystkiego, aby uniknąć ostatecznej porażki, straty władzy i życia. Zabiegano przez ambasadę Bułgarii w Moskwie o bezpośrednie rozmowy z Hitlerem w sprawie zawarcia pokoju separatystycznego, wystosowano dramatyczny apel do Brytyjczyków o wysłanie z pomocą na front wschodni 25–30 dywizji, ogłoszono amnestię dla jeszcze niezgładzonych jeńców polskich i tworzono z nich armię. Z więzień i obozów zwolniono ponad 1,5 mln więźniów w celu wysłania ich na front w szeregach Armii Czerwonej. Do wojska powołano ok. 1 mln kobiet, w tym te, które miały uprawnienia do pilotowania samolotów.

Oficjalnie historia „kamikadze Stalina” skończyła się w październiku 1945 r., kiedy kobiece jednostki lotnicze rozformowano, a kobiety zdemobilizowano. Ich wojenne czyny na pewno były wyrazem prawdziwego bohaterstwa, bohaterstwa niepodmalowanego przez oficjalną komunistyczną propagandę, po latach od stworzonego talentem i uporem noblistki Swietłany Aleksijewicz i niezaangażowanych politycznie badaczy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



1948 r. /

Raport amerykańskiego agenta z podróży Polaka i Brytyjczyka
na spotkanie z UPA

Zimna wojna

mjr. Choynackiego

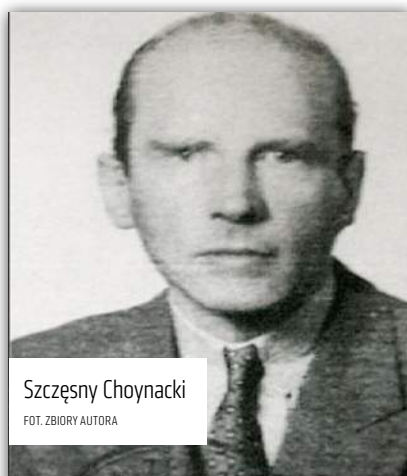


Marian Zacharski

Oficer polskiego wywiadu próbował nawiązać kontakt z UPA. Poniósł klęskę i popełnił samobójstwo

Powojenne zmiany ustrojowe w wielu krajach europejskich w mniejszym lub większym stopniu zniechęciły wielu oficerów wywiadu, aby do nich wrócić. Niemcy – wróg, na którym do tego czasu koncentrowały się wysiłki wywiadowcze – zostały zmuszone do bezwarunkowej kapitulacji, a przez to przestały być nadrzędnym celem „wojowników” cichego frontu. Zmusiło to oficerów, nie tylko polskich służb, do wszczęcia intensywnych poszukiwań nowego wroga. W sposób naturalny pomógł im w tym wybuch zimnej wojny. Oto los jednego z polskich oficerów, mjr. Szczęsnego Choynackiego, który w latach wojny kierował placówką naszego wywiadu w Bernie.

Urodzony w 1902 r. poznaniak miał za sobą jednoroczną służbę w wojsku niemieckim. W styczniu 1919 r. znalazł się w szeregach Wojska Polskiego. Od 16 kwietnia 1931 r. w Oddziale II Sztabu Generalnego, referat Niemcy, Wydział Studiów. Z doskonałym wykształceniem wojskowym oraz biegłą znajomością języka niemieckiego od



Szczęsny Choynacki

FOT. ZBIORY AUTORA



9 maja 1935 r. pracował pod przykryciem wicekonsula kolejno w: Berlinie, we Wrocławiu, Frankfurt nad Menem i w Monachium.

Wicekonsul

Z chwilą wybuchu wojny przekroczył granicę Szwajcarii, gdzie podjął pracę, znów jako wicekonsul, w polskim konsulacie w Zurychu. 24 października 1939 r. Poselstwo Rzeczypospolitej Polskiej oficjalnie (pismo



FOT. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

nr 429-al/109) zawiadomiło szwajcarski Departament Politique Fédéral, że z tą datą Szczęsny Jacek Choynacki został przeniesiony z Zurychu do Berna, gdzie kontynuował swoją działalność na stanowisku, jakżeby inaczej, wicekonsula.

W stolicy konfederacji helweckiej jego pierwszym adresem zamieszkania, który później wielokrotnie zmieniał, był Dalmaziweg 43. Przez kolejne lata pracując na kierunku niemieckim, odnosił poważne sukcesy. Dzisiaj po upływie dziesiętków lat można śmiało bronić tezy, że to nie on werbował kolejnych agentów, tylko oni szukali kontaktu z nim. Stał się doskonałym pasem transmisyjnym do przekazywania najtajniejszych informacji z serca III Rzeszy do Londynu. Zdobyłem szeroką dokumentację odsłaniającą tajniki pracy jego agentury. Moim zdaniem zbiór ten potwierdza powyższą postawioną tezę.

Choynacki, odnosząc znaczące sukcesy w życiu zawodowym, nie miał zbyt wiele

w Planches-Montreux w kantonie Vaud. Dzięki temu co sześć miesięcy uzyskiwał kolejne zgody na przedłużenie tymczasowego pobytu. Lecząc się i „ucząc języków”, szukał nowych celów w działalności wywiadowczej.

Postanowił zacieśnić znajomości z kilkoma Ukraińcami z ich emigranckich organizacji na terenie Szwajcarii, aby zdobywać tą drogą informacje o Rosji sowieckiej i jej stale rosnącym potencjale zbrojnym. Po wybuchu zimnej wojny informacje wywiadowcze z tego obszaru były w cenie. Ponieważ w okresie światowego konfliktu jego działalność była finansowana i w znacznym stopniu sterowana przez wywiad brytyjski, trudno się dziwić, że właśnie pod ten adres skierował swoje pierwsze kroki, aby zaprezentować założenia działań operacyjnych. Propozycja została przyjęta. Jako dowód udziału Choynackiego w przedsięwzięciach operacyjnych na tym nowym kierunku przytoczę informacje zawarte w jednym z raportów sporządzonych przez Ukraińca, znajomego Choynackiego, a jednocześnie agenta wywiadu amerykańskiego.

Chociaż Amerykanie utajniali jego dane, to można z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że chodzi tutaj o Szulgina, z zawodu dziennikarza, który w Szwajcarii utrzymywał bliskie kontakty z przebywającym na terenie Bazylei rezydentem ZPUHVR (Zakordonne Predstawnitstwo Ukrainskoj Hołownoj Wyzwolnoej Rady) Eugenem Wrecioną (ps. Josef Baran, ur. w 1905 r. w Galicji), a także innymi przywódcami tej organizacji w Niemczech. Handlując informacjami, dorabiał sobie do skromnej dziennikarskiej pensji.

Wspomniany dokument nosił datę 11 lutego 1948 r. i był sprawozdaniem z jednej z cyklicznych podróży odbywanych przez tandem Choynacki-Richard Weatherby na trasie Szwajcaria–Monachium. Choynacki podróżował jako oficer brytyjskiego wywiadu o nazwisku Jack Zarembo. Tuż przed wyruszeniem w drogę Amerykanie poinstruowali swojego agenta-autora raportu, aby zwracał baczną uwagę na relacje Brytyjczyków z Choynackim, a także aby swoim zachowaniem próbował sprowokować polskiego oficera lub Weatherby'ego do zwerbowania go do pracy w charakterze agenta BIS (British Intelligence Service). Werbunek umożliwiły oficerom amery-

kańskiego wywiadu śledzenie aktywności Weatherby'ego na terenie niemieckiej strefy podlegającej wyłącznej kontroli amerykańskiej armii i władz cywilnych.

Podróż do Monachium

9 stycznia 1948 r. Szczęsny Choynacki, Richard Mansfield Weatherby, wicekonsul brytyjski w Zurychu, pani Krystyna Przybylska – żona Ludwika Przybylskiego, byłego konsularnego attaché w Zurychu i Bernie (a nie w Genewie, jak wynika z opublikowanego w Polsce zbioru „Oficerowie wywiadu 1939 - 1945”) oraz wspomniany Ukrainiec wyruszyli z Kreuzlingen w drogę do Monachium. Kierowcą był Weatherby. Aby nie zwracać szczególnej uwagi oficerów straży granicznej, mjr Choynacki oraz Ukrainiec pieszo przekroczyli linię graniczną, by 100 metrów dalej ponownie zająć miejsca w samochodzie. W Monachium w pierwszej kolejności udali się do brytyjskiego konsulatu, gdzie Weatherby w towarzystwie Choynackiego zostawił pocztę kurierską.

Zaraz potem amerykański agent ruszył w miasto, aby skontaktować się z ukraińskimi przywódcami organizacji działających na tym terenie. Obawiając się inwigilacji i nie chcąc zdradzać adresów zamieszkania poszczególnych liderów, pierwsze kroki skierował na Bauerstrasse 9, gdzie zapukał do drzwi członka ZPUHVR i sekretarza generalnego Ligi Ukraińskich Więźniów Politycznych Niemieckich Obozów Koncentracyjnych, Władimira Stachiwa. Przedstawił mu prośbę Choynackiego o umożliwienie technicznego spotkania w Monachium z ukraińskimi specjalistami od spraw Armii Czerwonej i od wywiadu prowadzonego na kierunku rosyjskim.

Choynacki twierdził, że został upoważniony przez generałów Władysława Andersa i Kazimierza Mariana Wiśniowskiego do przedłożenia konkretnych propozycji współpracy z ukraińskimi przywódcami na wygnaniu. Polacy i Ukraińcy – kontynuował major – wspierani przez Szwajcarów, Hiszpanów i Belgów winni najpierw zbudować silną siatkę wywiadowczą rozpracowującą Armię Czerwoną, a potem zaprezentować się Brytyjczykom i Amerykanom jako reprezentanci



szczęścia na niwie prywatnej. Brakowało mu ukochanej kobiety. Jednym z powodów było zapewne to, że walczył z przewlekłą chorobą skóry, łuszczycą. Tuż po zakończeniu wojny podejmował energiczne próby opanowania tej szpetnej dolegliwości. Dłuższy czas spędził w renomowanej klinice Hirslandera położonej przy Witelikerstrasse 40 w Zurychu. Na niewiele się zdało. Powojenny pobyt na terenie Szwajcarii legendował rozpoczęciem intensywnej nauki języków obcych



Wojenne zniszczenia w Monachium

FOT. ARCHITEKTURGALERIE-MÜNCHEN.DE

■ pierwszej klasy organizacji szpiegowskiej. Od tego momentu, według jego koncepcji, bez oporów mogliby domagać się od supermocarstw niezbędnego wsparcia. Major dodał, że choć na tym etapie nadal miał używać środków technicznych jego brytyjskich przyjaciół, to realizowane lub planowane przedsięwzięcia wywiadowcze pod żadnym pozorem nie powinny im być ujawniane. Choynecki twierdził, że na zbudowanie ww. siatki wywiadowczej miał do swojej dyspozycji praktycznie nieograniczony budżet.

Ciekawym elementem wypowiedzi majora było stwierdzenie, że nie interesowało go, czym tak naprawdę zajmował się Weatherby, ponieważ nie miał zaufania do jego przełożonych. Jedyne, co stale i wciąż przykuwało uwagę polskiego oficera, to podróże odbywane dwa razy w miesiącu przez angielskiego wicekonsula do Monachium. Choynecki był na „ty” zarówno z Weatherbym, jak i z brytyjskim wicekonsulem w Monachium, Linkiem, którego znał z czasów, kiedy piastował to samo stanowisko w Zurychu.

Kiedy wyjeżdżali ze Szwajcarii, Choynecki przyrzekł Ukraińcowi zorganizowanie w Monachium samochodu, aby miał pełną swobodę przemieszczania się. Auto planował uzyskać od Przybylskiego, który często przebywał w tym mieście pod przykryciem odwiedzin teściowej i szwagierki, które tam mieszkały. Z bliżej nieznanых powodów Choyneckiemu nie udało przekonać Przybylskiego do tego pomysłu. Choynecki załatwienie samochodu uznał za punkt honoru i zwrócił się w tej sprawie do szefa bawarskiej Landespolizei, Michaela Paula Freiherr von Godina, z którym się przyjaźnił i u którego mieszkał przy okazji każdego kolejnego pobytu w Monachium.

Godin to postać wręcz niebywała. Urodzony w 1896 r. w Monachium jako syn majora Freiherr von Godina i jego żony Marie z domu Bals. Po zakończeniu

I wojny światowej wstąpił w szeregi bawarskiej Landespolizei. W historii zapamiętany został jako dowódca jednostki policyjnej, która w 1923 r. podczas puczu Hitler-Ludendorff najpierw aresztowała w gmachu policji Ernsta Pöhnera oraz Wilhelma Fricka, a następnie na Odeonplatz przemocą, nie wyłączając użycia broni palnej, rozpędziła marsz narodowych socjalistów zmierzających do Feldherrnhalle. Jego niezłomna postawa była jedną z głównych przyczyn ostatecznego niepowodzenia puczu. W 1933 r. Godin, mieszkając na terenie Austrii tuż przy granicy z Niemcami, popełnił błąd, odwiedzając swoich teściów na terenie Niemiec. Przez chwilę zapomniał o skali nienawiści nazistów wobec niego. W drodze powrotnej został zatrzymany na granicy. Następných wiele miesięcy spędził w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie poddawany był wymyślnym torturom. Pomimo stosowanej wobec niego przemocy pozostał wierny swoim zasadom. Wreszcie po upływie około roku został wypuszczony na wolność i mógł powrócić do rodzinnego domu na terenie Austrii.

Nauczony doświadczeniami sprzed pięciu lat, w 1938 r., tuż przed Anshlusem, wyjechał do Szwajcarii, gdzie osiadł w Luzernie. To właśnie wówczas Choynecki zaprzyjaźnił się z Godinem. W 1939 r. władze III Rzeszy pozbawiły von Godina obywatelstwa. Do Niemiec powrócił w czerwcu 1945 r. wraz z późniejszym prezydentem Bawarii, Wilhelmem Hoegnerem. Drogę przemierzyli amerykańskim wojskowym jeepem. 29 czerwca 1945 r. Godin mianowany został szefem bawarskiej Landespolizei. Stanowisko to piastował do roku 1959. W 1982 r. zmarł w Monachium w wieku 86 lat.

Wracając do sprawy wypożyczenia samochodu – Godin oświadczył Choyneckiemu, że nie może mu wynająć nieoznakowanego samochodu policyjnego, ale

może uczynić ten gest wobec brytyjskiego wicekonsula, Roya Linka, o ile w imieniu konsulatu pisemnie o to poprosi. Link wykonał ten ruch i von Godin wynajął za śmieszłą sumę ośmiu marek samochód marki BMW.

Spotkanie z UPA

Do spotkania Choyneckiego i liderów ukraińskich w osobach kapitana Kaliny (płk Jurij Łopatyński, reprezentant UPA) i Hucula (płk Iwan Borkowski, wywiad polityczny) doszło ostatecznie w środę 14 stycznia 1948 r. Spotkanie przebiegło w przyjaznej atmosferze. Major Choynecki oświadczył, że posiada środki techniczne (pomoc konsulatów Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Belgii oraz Szwajcarii) i środki materialne (nieograniczony budżet) do zorganizowania prowadzenia systematycznych studiów nad Armią Czerwoną, jej przemieszczaniami, wyposażeniem, możliwościami operacyjnymi oraz badaniami nad wspierającym ją przemysłem zbrojeniowym. Choynecki przyznał, że nie jest specjalistą od wywiadu na kierunku sowieckim, gdyż dotychczas poświęcał się niemal wyłącznie wywiadowi na Niemcy. W zorganizowaniu i prowadzeniu tego przedsięwzięcia liczył na aktywną współpracę Ukraińców z UPA, o których polska służba miała jak najlepszą opinię. UPA miała z krajem kontakty pozwalające na działalność penetracyjną, ale brakowało jej środków technicznych i materialnych. Major twierdził, że rozumiał obawy UPA przed zaakceptowaniem zarówno środków technicznych, jak i materialnych pochodzących od mocarstw, gdyż mogło to prowadzić do uzależnienia się od nich. Jednak w przypadku Polaków z Londynu tego typu niebezpieczeństwo, według majora, nie występowało. Apelowal o zorganizowanie lojalnego partnerstwa. Na pytanie o to, co konkretnie chciałby otrzymywać od Ukraińców, Choynecki wymienił następujące grupy tematyczne:

- Ruchy sowieckich armii, w szczególności na kierunku północ-południe.
- Linie fortyfikacyjne, w szczególności na Kaukazie.
- Aktywność niemieckich oficerów z armii Paulusa, w szczególności ustalenie i podanie:
 - a) liczby niemieckich oficerów pracujących jako sowieccy instruktorzy w centrach szkoleniowych,

b) liczby oficerów niemieckich szkolących się w sowieckiej Akademii Wojennej,
c) rezultaty aktywności rekrutacyjnej gen. Einsiedela [prawdopodobnie chodziło o prawnika Bismarcka, Heinricha Grafa von Einsiedela, pilota myśliwskiego, przebywającego od 1942 r. w sowieckiej niewoli, który przeszedł na drugą stronę i brał udział w propagandzie antyniemieckiej].

- Koncentracja sił sowieckich na linii Bug-San oraz ewentualne prace fortyfikacyjne.
- Całość zgrupowań sowieckich na Ukrainie; wykaz dywizji [Ordre de Bataille] i prac fortyfikacyjnych.
- Linie łączności w regionach Lena-Jenisiej-Ob.
- O. de B. sowieckich sił zbrojnych; reorganizacja dużych jednostek.
- O. de B. sowieckiej marynarki wojennej na Morzu Czarnym (wszystkie problemy marynarki miały w tamtym okresie znaczenie priorytetowe).
- Dalsze szczegóły przekazanych już przez UPA informacji o centrach szkoleniowych (Samara i Czyta).
- Jednostki lotnicze, spadochroniarskie i desantowe.
- Fern Ost Korps marszałka Paulusa.
- Sowietki przemysł: podstawowe zakłady przemysłowe, produkcja w 1947 r., ilości zatrudnionych, harmonogram pracy, metody wytwarzania.
- Uzbrojenie.
- Typy samolotów.
- Nazwiska sowieckich oficerów.

Wszystkie ww. grupy tematyczne zawarte były w memorandum przygotowanym przez mjr. Choynackiego. Kalina i Hucul zwrócili uwagę majora na to, że Czerwona Armia nie miała nic wspólnego z Wehrmachtem, że na swój sposób była chaotyczna, co na pierwszy rzut oka przynosiło szkodę ogólnej organizacji armii, ale do pewnego stopnia chroniło ją przed działalnością szpiegowską wroga. Ogólnie mówiąc, Ukraińcy zapewniali, że są w stanie udzielić odpowiedzi w każdym z zadanych tematów. Zadali jednak pytanie o planowany sposób wykorzystywania przekazywanych przez nich materiałów. Innymi słowy, wątpliwość w sens używania polskich kanałów do transmisji zgromadzonej dokumentacji Brytyjczykom czy

Amerikanom. W odpowiedzi Choynacki stwierdził, że sprawa nie dotyczyła jedynie drogi przetrwania materiałów, gdyż przede wszystkim chodziło o stworzenie wspomaganego przez małe kraje centrum studiów dla grup polsko-ukraińskich specjalizujących się w sprawach dotyczących Armii Czerwonej.

Ukraińcy po wysłuchaniu deklaracji Choynackiego poprosili, zgodnie z technicznym paktem polsko-ukraińskim zawartym we Włoszech w czerwcu 1946 r., aby Polacy reprezentowali ww. grupę wobec Brytyjczyków, a Ukraińcy sami będą utrzymywać kontakty z Amerykanami. Tak czy inaczej – stwierdzili delegaci ukraińscy – propozycja mjr. Choynackiego musiała najpierw zostać szczegółowo przestudiowana przez kompetentne osoby i stąd nie byli gotowi do udzielenia natychmiastowej odpowiedzi. Dodatkowo poprosili Choynackiego o doprecyzowanie, jakimi środkami technicznymi dysponował na tamtą chwilę. Odpowiadając, major wymienił następujące elementy:

- Możliwość zatrudnienia do pracy w Szwajcarii, Belgii, Holandii, Hiszpanii, we Francji i w Wielkiej Brytanii tylu ukraińskich specjalistów i kurierów, ilu zechcą, oraz zapewnienie im sowitych wynagrodzeń.
- Możliwość otrzymania wsparcia z wszystkich konsulatów brytyjskich w Europie i poza nią oraz z wszystkich europejskich konsulatów hiszpańskich i niektórych konsulatów szwajcarskich, belgijskich oraz holenderskich.
- Utworzenie centrum studiów w rejonie Montreux pod flagami Polski i Szwajcarii.
- Utworzenie polsko-ukraińsko-hiszpańskiego centrum na terenie Hiszpanii.
-

Informowanie Ukraińców o wszelkich kontaktach majora i jego agentów.

- Otrzymanie nieograniczonej liczby przepustek wojskowych obowiązujących na terenie Niemiec.

Próbując dalej zachęcać swoich rozmówców major dodał, że w okresie próbnym współpraca miałaby być ograniczona do terytorium Niemiec i Szwajcarii oraz, że generałowie Anders i Wiśniowski przeczuwają, że polsko-ukraińska współpraca techniczna winna wyjść poza te ramy.

Kończąc rozmowę delegaci ukraińscy poprosili, aby następnego dnia Choynacki raz jeszcze powtórzył swoją propozycję, tym razem w domu Władimira Stachiw. 15 stycznia Choynacki ponownie zrelacjonował założenia swojego planu współpracy. Stachiw obiecał ich skrupulatne przestudiowanie. 16 stycznia w godzinach porannych major Choynacki wraz z Weatherby i Przybylską opuścili Monachium.

Tegoż dnia agent wywiadu amerykańskiego sporządzający powyższy raport zwrócił samochód żonie von Godina, o czym skrupulatnie poinformował listownie wicekonsula Linka. 17 stycznia opuścił Monachium. Kończąc swój raport, agent jasno stwierdzał, że Ukraińcy przestudiują zapewne propozycję Polaków, ale ze względu na ich bliskie kontakty z Amerykanami ostateczna decyzja zostanie podjęta dopiero po uzgodnieniu z nimi wspólnego stanowiska.

Próby podejmowane przez mjr. Szczęsnego Choynackiego były swoistym odruchem walki o byt. Ukraińcy, posiadając bardzo bliskie związki z amerykańskimi służbami wywiadowczymi, nie potrzebowali Polaków jako pośrednika. Amerykanie zapewniali ukraińskim organizacjom należyte finansowanie i chętnie bezpośrednio od nich odbierali zdobyte informacje.

Powojenny los majora Choynackiego był tragiczny. Po nieudanych próbach podjęcia współpracy z Ukraińcami wyjechał do Londynu. Rozwijająca się choroba skóry w sposób zdecydowany utrudniała mu udział w normalnym życiu. Miał duże kłopoty ze znalezieniem pracy i stąd węgetował w nędzy. 7 grudnia 1960 r. najprawdopodobniej popełnił samobójstwo w Hyde Parku.





Piotr Kosmala

/ Ekscentryczny arystokrata z Nowej Zelandii ogłosił się ostatnim królem Polski – Władysławem V

Któż był ostatnim królem Polski? Szkolna wiedza podpowiada nam, że Stanisław II August, wybrany przez polską szlachtę w ostatniej wolnej elekcji w 1764 r. Po nim jednak koronę Królestwa Polskiego wkładano na głowy carów rosyjskich, w tym Mikołaja II, zamordowanego przez bolszewików w lipcu 1918 r. w Jekaterynburgu. Może więc on? A może ostatnim królem Polski był... Władysław V? Król zza morza i monarcha na wychodźstwie, pobłogosławiony przez bogów olimpijskich z Apollinem na czele?

Narodziny

Kronika królewska Władysława V mogłaby zaczynać się tak: 6 października Roku Pańskiego 1903 żona Roberta księcia Potockiego urodziła w mieście Auckland dorodnego chłopca, który z polecenia ojca otrzymał imiona Godfryda i Władysława...

W gruncie rzeczy jednak w tamtej chwili nikt nie myślał zapewne o władaniu Polską ani pewnie nawet o samej Polsce oddalonej o 17 tys. km. Przyszły pretendent urodził się w domu nowozelandzkiego architekta, którego prawa do tytułu księżęcego były raczej wątpliwe, ale który wśród swoich przodków miał m.in. Pawła Potockiego – słynnego ambasadora na dworze papieża Aleksandra VII, który by zaimponować Włochom, kazał podkuć złotem konie ze swych zaprzęgów, oraz Wacława Potockiego – skandalizującego barokowego twórcę, uważanego za najoryginalniejszego poetę epoki. A także wielu dowódców wojskowych, mężów stanu, dyplomatów i artystów, których ród Potockich herbu Pilawa dał Rzeczypospolitej.



FOT. PLANET NEWS / FORUM

XX w.

Szalona historia Władysława Potockiego

Ostatni król Polski

Nowozelandzka linia Potockich do nazwiska dodała „de Montalk”, co stanowiło ponoć próbę przełożenia na język francuski nazwy Białółówki, rodowej siedziby. Goeffrey (Godfryd) Potocki de Montalk urodzony w takich okolicznościach i z takich przodków – a także, jak sam później podkreślał, dokładnie w chwili, kiedy „kometa Borellego osiągnęła peryhelium w punkcie zajmowanym przez Wenus” – nie mógł mieć życia zwyczajnego.

Po 30 latach od narodzin upomniał się o polski tron. Tymczasem wychował się w zamożnym domu na przedmieściach Auckland. Wcześniej umarła mu matka, z którą był bardzo związany, nigdy nie zaakceptował swojej macochy, co było powodem wielu konfliktów z ojcem i niekończącego się buntu.

Narodziny poety

W wieku ośmiu lat zaczął pisać wiersze i już wtedy zdecydował, że w dorosłym życiu będzie poetą. Tymczasem zaś kontynuował edukację, szczególnie zainteresowany greką i łaciną, z wyróżnieniem kończył szkołę i rozpoczął studia prawnicze. Jednocześnie wkroczył w świat nowozelandzkiej bohemy poetyckiej i chociaż być może dziś nie brzmi to zbyt spektakularnie, to jednak lata 20. były na antypodach okresem niezwykle go fenomenu literackiego. Potocki, Allen Curnow, RAK Mason, Eileen Duggan czy wreszcie najbardziej z nich Rex Fairburn tworzyli środowisko nazywane „poetycką arystokracją”, które miało ambicje odnowy skostniałej jakoby literatury angielskiej.

Porwany artystycznym impulsem Potocki porzucił prawo i wstąpił do angikańskiego seminarium bynajmniej nie z kapłańskiego powołania, ale z afektu do rytuału i obrzędu. I chociaż także tu nie zagrzał miejsca zbyt długo, to nawet w późniejszych latach, gdy będzie oddawał się kultowi greckich bogów (!), podziw dla piękna tradycyjnej liturgii pozostanie.

Lata 20. były kluczowe z innych jeszcze powodów. W 1924 r. Potocki żeni się i zostaje ojcem, małżeństwo skazane jest jednak na porażkę, o czym zapewne decyduje niedojrzałość obojga małżonków, a po części także kłopoty finansowe poety. W 1927 r. ukazuje się jego pierw-

szy tomik „Wild Oats” [dosłownie: „Dziki owies”; znaczenie: „Wybryki młodości” – przyp. red.], uznawany za jedno z najważniejszych dzieł literackich XX-wiecznej Nowej Zelandii. Potocki zdobywa reputację zdolnego poety, dużo pisze, nie przekłada się to jednak na jego zarobki. Co ciekawe, gdy część pisarzy reagowała na podobną sytuację mniej lub bardziej otwartym komunizowaniem, Potocki przeszedł na pozycje monarchistyczne i tradycjonalistyczne. I wyruszył do Anglii.

Narodziny skandalisty

W „starym” kraju ekscentryczny poeta szybko znalazł się w centrum zainteresowania, tym bardziej że opieką otoczyła go sama Virginia Woolf. Nietuzinkowy, radykalny, odważny i – zawsze gotów do prowokacji Potocki sprawnie naruszał skostniałość brytyjskiej sztuki, co musiało się skończyć albo wielkim sukcesem literackim, albo wielkim skandalem. Raczej tym drugim.

Względądną stabilizację, także finansową, której doświadczał w Londynie, przerwał drobny – wydawałoby się – incydent. Potocki przygotował do wydania nowy tomik, który zawierał angielskie tłumaczenia erotyków Rabelais’go i Verlaina oraz kilka pikantnych wierszy własnych, w tym żartobliwy „Here Lies John Penis” („Tu spoczywa John Penis”) – drobna złośliwość względem zaprzyjaźnionego poety Rexa Fairburna. Nigdy niebrany pod uwagę do szerokiej dystrybucji tomik został przez Potockiego oddany do edycji w małej drukarni, której właściciel co prawda przyjął zamówienie, ale chwilę później poinformował o możliwej obrazie moralności policję. Potocki został aresztowany.

Proces poety z Nowej Zelandii poruszył całe środowisko literackie Wielkiej Brytanii. W obronie Potockiego wystąpili m.in. W.B. Yeats, H.G. Wells, Bertrand

Russell i Aldous Huxley, Virginia Woolf zapowiedziała kampanię protestacyjną. A Izba Gmin i sądy zasypały sterty listów. Rozgłos wokół tej niepoważnej na pierwszy rzut oka sprawy przyniósł jednak efekt zgoła odwrotny, Potocki de Montalk został skazany na karę sześciu miesięcy więzienia. Nie pomogło z pewnością samo zachowanie poety na sali sądowej – odmówił przysięgi na Biblię (zamiast tego przysięgał Apollinowi), sędziego traktował lekceważąco. Nie pomagał też sposób, w jaki się nosił – długie włosy, gołe nogi w sandałach i płaszcz stylizowany na królewską purpurę. Ze względu na koligacje rodzinne aspirujący do polskiego tronu tak właśnie wyobrażał sobie strój królewski. Nie zdobył jednak w ten sposób przychylności konserwatywnego brytyjskiego sędziego.

Narodziny Polaka

Nieoczekiwane uwięzienie (Potocki przez cały okres procesu i apelacji był święcie przekonany o triumfalnym uniewinnieniu – pół żartem, pół serio domagał się jako „kary” spędzenia kilku lat w pałacu Buckingham), choć przecież niezbyt długie, na trwale zmieniło nowozelandzkiego poetę. Po pierwsze, zapalał gwałtowną niechęcią do Wielkiej Brytanii – z perspektywy

antypodów postrzeganej wcześniej jako „ziemia obiecana” – i jej establishmentu. Po drugie, gwałtownie rozstał się z małżeństwem Woolfów i tzw. grupą Bloomsbury, których obwiniał o swą klęskę sądową i wykorzystanie jego osoby dla środowiskowych korzyści. Po trzecie, zwrócił się w stronę Polski, która ze względu na pochodzenie i marzenia o koronie odgrywała w jego życiu coraz większą rolę. Sam z siebie nauczył się języka polskiego, poznał też Polaków, którzy wprowadzili go w środowiska arystokratyczne i literackie. W 1933 r. po raz pierwszy odwiedził Polskę i bardzo mu się nad Wisłą podobało. Wizyta tylko wzmocniła jego królewskie ambicje, coraz więcej czytał i pisał na temat



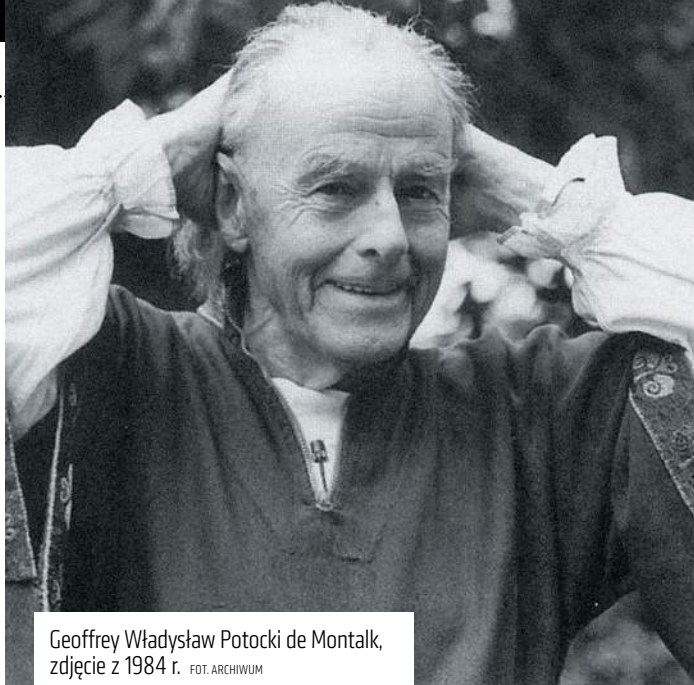
■ związków Potockich z Piastami, a także z innymi dynastiami panującymi w Europie.

Powrót na Wyspy zbiegł się w czasie z wybuchem wojny domowej w Hiszpanii. Anglosaskie środowisko literackie było podzielone także w tej sprawie – grupa Bloomsbury i cała lewica popierały republikanów, podczas gdy inni, choćby T.S. Eliot, Roy Campbell czy właśnie Goeffrey Potocki de Montalk, kibicowali gen. Franco. Do Potockiego przylgnęła wówczas łatka „faszysty”, na której zrzuconiu specjalnie mu nie zależało (podobnie jak na łatce „pornografa”). Na łamach założonego przez siebie za pieniądze Aldousa Huxleya pisma „The Right Review” niejako bronił faszyzmu jako „bardzo złej formy rządów, opartej na demagogii, ale też stanowiącej instynktowną reakcję samoobrony, jaką narody przyjmują wobec socjalistycznej i komunistycznej plagi”. W tym okresie Potocki zbliżył się do Oswalda Mosleya i Brytyjskiej Unii Faszystów, choć pozostawał monarchistą wierzącym, że „boskie prawa królewskie stanowią najzdrowszą i najlepszą formę rządów”.

Narodziny króla

Poglądy te w 1939 r. przekuł na czyn, koronując się w wymyślonym przez siebie „słonecznym rytuale”, z błogostawieństwem Apolla, „Władysławem V, Królem Polski, Węgier i Czech, Wielkim Księciem Litwy, Śląska i Rusi, Hospodarem Mołdawii etc., etc., etc. oraz Wielkim Kapłanem Słońca”. Królową została też jego druga żona, z którą nieco później został aresztowany na trzy miesiące za zakłócenie porządku. Wielka Brytania przystąpiła do wojny i takim poważnym zakłóceniem porządku mogło być lekceważenie zarządzenia o zaciemnieniu okien.

Poważniejszym zarzutem było złamanie niepisanego zakazu publikowania na Wyspach informacji o autorach zbrodni katyńskiej. Na prośbę Polaków mieszkających w Londynie – swoich niejako „poddanych” – Potocki napisał



Geoffrey Władysław Potocki de Montalk, zdjęcie z 1984 r. FOT. ARCHIWUM

w maju 1943 r. „Katyn Manifesto”, jedną z pierwszych anglojęzycznych publikacji poświęconych sowieckiej zbrodni przeciwko polskiemu oficerom. Opisywał w nim znane wówczas fakty nt. odnalezionych grobów i krytykował rząd brytyjski za ukrywanie prawdy na ołtarzu sojuszu z Sowietami. Na ołtarzu tym poświęcono też polski rząd na uchodźstwie. Oto fragment Manifestu:

Nie możemy zrozumieć, jak Sowieci mogą być postrzegani w sposób inny niż tylko jako najgorszy i niezmienny wróg Polski; Polska sowiecka to jakby Polski nie było wcale, zaś Polska z potężnym sowieckim sąsiadem to życie w nędzy i strachu wobec ostatecznej likwidacji państwa.

Nie tylko Anglicy, ale i Polacy w Anglii muszą stanąć wobec tych faktów. Chcemy wiedzieć, dlaczego bolszewicy mogą domagać się ziem polskich, podczas gdy Polacy nie mogą domagać się terenów skradzionych wcześniej Polsce przez Rosjan; i dlaczego bolszewicy mogą zerwać stosunki dyplomatyczne z polskim rządem, a Polacy nie mają prawa do retorsji.

Tysiące kopii „królewskiego” Manifesto zostały rozdystrybuowane po Londynie z pomocą polskich urzędników i organizacji społecznych. W odpowiedzi uruchomiono wielką machinę propagandową wymierzoną w polski rząd („reakcyjny i feudalny”) i w samego Potockiego („szalonego faszystowskiego hrabiego”). Na podstawie osławionego zarządzenia 18B został wysłany do obozu pracy.

Narodziny drukarza

Po zakończeniu wojny dzięki pomocy wysoko postawionych przyjaciół osiedlił

się w Prowansji, w małym domu otoczonym drzewami oliwnymi. Zawsze w towarzystwie pięknych kobiet podróżował po całej Europie, odwiedził też Nową Zelandię. Nie zrezygnował z pretensji do polskiego tronu, w „The Right Review” publikował kolejne „królewskie” manifesty na różne tematy – od polityki międzynarodowej do genealogii. Gazety i książki drukował sam, odkrył bowiem nową pasję zasypując świat i przyjaciół eleganckimi samizdatami.

Utrzymywał kontakty z angielską Polonią, choć rząd na

uchodźstwie traktował go ze zrozumiałym dystansem. Lubił się ze Stanisławem Mackiewiczem, wymieniał złośliwości z Zygmuntem Nowakowskim. Komunist Jan Kott wspomina spotkanie z Władysławem V w Londynie, podczas którego polecił, aby powiedział on „swoim przyjaciółom w kraju”, że „kłamia beczelnie w swoich artykułach”: „Nazywają wasi pismacy Arciszewskiego i Raczkiewicza faszystami. Tymczasem jedynym polskim faszystą jestem ja – Władysław V”.

Szerokim echem odbił się proces Potockiego wytoczony Polskiej Fundacji Kulturalnej, która wydała jego angielskie tłumaczenie „Dziadów” Adama Mickiewicza z niezgodnionymi zmianami. Tłumaczenie oceniane jako wybitne, dodajmy, podobnie jak przekłady „Figlików” Mikołaja Reja czy „Macierzyństwa” Zofii Nałkowskiej. W 1990 r. Potocki de Montalk po raz ostatni odwiedził Polskę na zaproszenie Biblioteki Narodowej, czytał swoje wiersze, badał archiwa.

Zmarł siedem lat później w prowansalskim Brignoles, w tamtejszym domu opieki. Jego historia faktycznie mogłaby się kończyć w sposób następujący: Rozporządziwszy tedy przyzwoicie i prawnie wszystkim, co jego, w poniedziałek, który był 14. dniem miesiąca kwietnia, rano o wschodzie Sol Invictus, w obecności zebranej służby i medyka, odszedł Władysław, Król Polski, Węgier i Czech, Wielki Książę Litwy, Śląska i Rusi, Hospodar Mołdawii etc., etc., etc...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pisząc artykuł, korzystałem m.in. z książki Stephanie de Montalk „Niespokojny świat. Życie hrabiego Goeffreya Potockiego de Montalk” (Kraków 2003).

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JOHN WARE I GERALD POSNER

„MENGELE. POLOWANIE NA ANIOŁA ŚMIERCI Z AUSCHWITZ”

**JOSEF MENGELE STAŁ SIĘ SYMBOLEM
HITLEROWSKIEGO „OSTATECZNEGO ROZWIĄZANIA”
W CAŁEJ JEGO POTWORNOCI.**

W kilka minut decydował o życiu i śmierci tysięcy osób. Bez mrugnięcia okiem wysyłał kilka tysięcy więźniów do komór gazowych. Z tych, których pozostawił przy życiu, wybierał "obiekty" swoich makabrycznych eksperymentów. Szczególną uwagę darzył bliźnięta, którym wstrzykiwał bakterie powodujące tyfus, wykonywał amputacje bez znieczulenia i umyślnie zakażał rany. Przez więźniów został nazwany Aniołem Śmierci.

Nigdy nie poniósł kary za swoje czyny.

Po wojnie Mengele ucieka z Europy. Wiedzie spokojne życie z nową żoną. Nie przyjmuje do wiadomości tego, jak wiele zła wyrządził. Unika nie tylko kary, lecz także wyrzutów sumienia.

80 zł

oszczędność 77 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl/cf27540517



Krzysztof Masłoń

/ Prymas Wyszyński stracił do Zawieyskiego serce, gdy dotarła doń prawda o roli owego „łącznika” między komunistyczną władzą a Episkopatem Polski. A także o jego trybie życia

Pisarz, przyjaciel ludzi poszukujących. Życiem i twórczością dał świadectwo prawdzie, miłości Boga i Polski” – czytamy na poświęconej Jerzemu Zawieyskiemu (1902–1969) tablicy w warszawskim kościele św. Marcina. Odsłonił ją w 10-lecie jego śmierci prymas Stefan Wyszyński, wygłaszając homilię o zasługach człowieka, którego nie odwiedził w lecznicy rządowej, gdzie tamten leżał przez dwa miesiące, nim rzucił się z trzeciego piętra ze szpitalnego okna. Człowieka, któremu odmówił miejsca w Alei Zasłużonych na Powązkach i za którego duszę z jego polecenia odbyła się msza w warszawskiej katedrze. Na pogrzebie Zawieyskiego w Łaskach też nie był. Jeśli wierzyć Mieczysławowi F. Rakowskiemu, prymas „nie zezwolił warszawskiemu klerowi na udział w pogrzebie swego współpracownika, chowali go księża krakowscy, specjalnie w tym celu sprowadzeni z Krakowa”.

Joanna Siedlecka w „Biografiach odtajnionych” cytuje również Wacława Auleytnera, sekretarza generalnego Klubu Inteligencji Katolickiej, który po śmierci Zawieyskiego donosił – jako TW „Anna” – swym mocodawcom: „To sprawa skandaliczna, szczyt wszystkiego. Kardynał nie wziął udziału w pogrzebie pod pozorem, że tego dnia będzie nieobecny w Warszawie. Tymczasem jakieś przeznaczenie boskie sprawiło, że wracał akurat pieszo od kościoła Kapucynów na Miodowej, w chwili gdy podjeżdżała kolumna autokarów wiozących uczestni-

FOT. MAC

1902–1969

/ Pisarz, członek
Rady Państwa, prezes KIK

Pocałunki Jerzego Zawieyskiego





ków pogrzebu Zawieyskiego i wiele osób go widziało”.

„Opozycyjna” ikona

Naprawdę skandaliczne było co innego. Skrajna nieodpowiedzialność Zawieyskiego, członka Rady Państwa i pośta trzech kadencji, prezesa Klubu Inteligencji Katolickiej i wiceprezesa Związku Literatów Polskich, stanowiącego dla SB bezcenne źródło informacji o formującej się opozycji, o Kościele, wreszcie o samym księdzu kardynale. Skandaliczne były jego liczne homoseksualne „romanse”, bo nawet nie jego homoseksualizm, gdyż jego stały związek był tajemnicą poliszyne. Sęk w tym, że Zawieyski zdradzał swego partnera na potęgę. I ktoś taki miał być łącznikiem między Wyszyńskim a Gomułką! W takiej roli został bowiem obsadzony i na tym polegała jego „współpraca” z prymasem.

Co takiego zdarzyło się w ciągu 10 lat, od śmierci niegdysiejszego obiektu uczuć Zofii Nałkowskiej (fatalnie lokowała swe uczucia) do wbudowania tablicy czyniącej z niego bohatera naszych czasów? Z pewnością zadecydowała tu postawa Jerzego Zawieyskiego w marcu 1968 r., interpelacja poselska, którą zgłosił w obronie bitych przez milicję studentów, godna i dramatyczna odpowiedź, jakiej udzielił w Sejmie atakującym go i obrażającym Kliszce i Ozdze-Michalskiemu, wylew krwi do mózgu, który dotknął go niebawem po tych bulwersujących wydarzeniach, wreszcie śmierć, o którą pomawiano tajne służby, sugerując, że chory nie wypadł ze szpitalnego

okna, lecz został przez nie wyrzucony.

I taki obraz Jerzego Zawieyskiego przetrwał po dziś dzień. „Zadekretoowano go – pisze Joanna Siedlecka – na kanoniczną i niekwestionowaną ikonę Marca, lidera środowisk postępowych katolików – KIK-u, »Znaku«, »Tygodnika Powszechnego«. Autorytet moralny i wzór dla młodzieży. Obok Jacka Kuronia, Władysława Bartoszewskiego, Marka Edelmana, Jana Nowaka-Jeziorańskiego jest tematem warsztatów edukacyjnych, organizowanych dla szkół przez warszawski Dom Spotkań z Historią.

W 2008 roku grupa znanych osób, polityków i ludzi kultury, między innymi Bogdan Borusewicz, Krzysztof Piesiewicz, Leszek Kołakowski, ksiądz Adam Boniecki, apelowała o pośmiertne uhonorowanie Zawieyskiego naszym najwyższym państwowym odznaczeniem – Orderem Orła Białego”. Jeśli zaś chodzi o grób w Laskach, to Zawieyski spoczywa w nim ze swym życiowym partnerem, którego – cytuję Siedlecką – „wszystkie portale LGBT okrzyknęły symbolem gejowskiej wierności i odwagi”.

Rąbek władzy

Na większości zdjęć z przyznanymi włosami służącymi za „pożyczkę” wyglądał Zawieyski jak chłopiec-roztroppek. Nawet przyjaciele, wysoko ceniący jego duchowe zalety, po cichu mówili, że jest to „anioł o wyglądzie stróża”. Dopiero patrząc na młodzieńcze fotografie, widać, że niepozbowany był intrygującej, niebanalnej urody, że mógł się podobać i zwracać uwagę także swoją fizycznością.

W istocie nazywał się Henryk Nowicki, a jeszcze wcześniej Feintuch, pochodził bowiem z rodziny żydowskiej. Matka, z domu Szarska, po śmierci męża zawarła powtórny związek małżeński i przeszła na katolicyzm. Przyszły pisarz i PRL-owski prominent nazwisko wziął od budowniczego Starego Teatru w Krakowie, Jana Zawieyskiego, zmienił tylko „j” w „y” i „Jana” w „Jerzego”, co po wojnie – w 1946 r. – usankcjonował formalnie. Szybko porzucił dom rodzinny – wraz z wiarą. Powrócił do niej dopiero

w wieku 40 lat, w środku okupacji hitlerowskiej.

Ten „powrót do domu”, czyli do Kościoła katolickiego, odcisnął piętno na okupacyjnej i powojennej twórczości Jerzego Zawieyskiego. Autora dziś niemal ze szczętem zapomnianego, nieczytanego, a przecież w swoim czasie jednego z najbardziej wziętych dramatopisarzy, autora cieszącego się ogromnym powodzeniem „Rozdroża miłości”.

Gdy w latach stalinowskich skazany został na milczenie, choć nie ukazywały się jego nowe książki, rósł mit katolickiego pisarza niepokornego, by z całą mocą ujawnić się w 1956 r., kiedy to Październik diametralnie zmienił sytuację życiową Zawieyskiego, zarówno jako autora, jak i – przede wszystkim – działacza politycznego, jednego z – przynajmniej nominalnie – najważniejszych ludzi w państwie. Państwie komunistycznym, w którym jednak postanowiono choć rąbkami władzy podzielić się z „niewiernymi”, czyli katolikami właśnie. I stąd wziął się Jerzy Zawieyski w Sejmie, a następnie w Radzie Państwa.

Jego „Dzienniki” dowodzą, jak bardzo diaryście zależało na pisarstwie. Angażując się w życie polityczne kraju, nie zapominał o swojej twórczości, dbając o edycje książek, wystawianie sztuk, kręcenie filmów na podstawie jego opowiadań („Prawdziwy koniec wielkiej wojny”, „Odwiedziny prezydenta”).

Kiedy 14 listopada 1956 r. przyjęty został przez Edwarda Ochab (nawiasem mówiąc, swego przedwojennego znajomego: „U mnie w domu Ochab urządził zebrania partii, o czym nie wiedziałem – zapisał w dzienniku dzień wcześniej. – Gdy zostałem zaaresztowany, u mnie była rewizja i dwa dni spędziłem w urzędzie śledczym na Daniłowiczowskiej”. Niewątpliwie, był wówczas Zawieyski bliski komunizmowi), przedstawił mu listę kandydatów do mandatów poselskich ze środowiska katolickiego. Widząc brak nazwiska Zawieyskiego, Ochab spytał: – A wy?

„– Ja – odparłem – jestem przede wszystkim pisarzem. To główne zadanie mojego życia”.

Le petit monde

Hasło „Jerzy Zawieyski” w „Abecadle Kisiela” Stefana Kisielskiego nie jest

■ przesadnie rozbudowane: „Nasz wielki przyjaciel, twórca »Znaku«, przed wojną człowiek częściowo lewicowy, związany z ludowcami, ateista, dramatopisarz. W czasie wojny miał nagle takie nawrócenie jak grom. Ksiądz Zieja go przyjął do Kościoła, no

i po wojnie stał się działaczem katolickim, wybitnym, z autorytetem, ponieważ miał przyjaciół z lewicy itd. W okresie stalinowskim przeżył ciężką biedę, jak go przestali grać i powyrzucali zewsząd. No, ale kiedy przyszedł Październik, partia go sobie obmyśliła na członka Rady Państwa i razem pracowaliśmy. Często miałem z nim zabawne starcia taktyczne. On bardzo nie lubił, jak głosowało się przeciw przy jakichś sprawach nieważnych, bo uważał, że my jesteśmy tylko do spraw katolickich, do tych ogólnych. Więc kiedyś była ustawa o rybołówstwie morskim. Stomma przegląda porządek dzienny, mówi: »No, ustawa o rybołówstwie, chyba nikt nie będzie przeciw«. Ja mówię: »Ja będę głosował przeciw«. Zawieyski na to: »Dlaczego?«. Odpowiadam: »Dlatego, że przeczytałem tę ustawę«. Wygłosił piękną mowę w 1968 roku, między innymi w mojej obronie w sejmie, w obronie studentów, i podał się do dymisji z Rady Państwa. Przeżył to ciężko, nie wiem dlaczego. Ja mu tłumaczyłem: »Masz wspaniałe zejście ze sceny, z ciosem«. Ale nie przejmował się i umarł tragicznie na zator mózgu. Wyskoczył oknem czy spadł z okna i zmarł w szpitalu – to niewyjaśnione».

Na więcej pozwolił sobie Kisiel w „Dziennikach”. Jeszcze za życia „Zawieja”, 23 kwietnia 1968 r. pisał, bardziej jadem niż atramentem: „[...] jest sparaliżowany, nie mówi, leży w klinice. Szkoda go, nie wiem, czy się przejął brakiem nominacji na posła? Tak nisko go nie cenię: jest troszkę próżny i specyficzny kobotyn, ale przecież nie do tego stopnia, a sytuację miał w gruncie rzeczy doskonałą: wycofanie się w glorię Rejtana z tego całego śmierdzącego interesu. [...] A w gruncie rzeczy nie było w nim starości – zawsze uważałem, że homoseksualizm konserwuje duchowo, daje jakiś niezmiennie młodzienny fason...”. A po śmierci bez większego sensu doda: „Myślę teraz, że właściwie nigdy go nie lubiłem...”.



Gmach Sejmu, 1956 r. FOT. NAC

O tym „desperackim, bezsilnym Rejtanie PRL-u” znacznie ciekawiej pisał Jarosław Iwaszkiewicz, który jeszcze w 1978 r., w Rzymie, będzie się zastanawiał: „Biedny Jerzy Zawieyski – ciągle o nim myślałem, patrząc na Rzym. On chyba zasługiwał na wejście do ziemi obiecanej. A może właśnie nie? Niezbadałne są drogi Opatrzności”.

A 18 listopada 1964 r. właśnie w Rzymie panowie odbyli ze sobą „dużą, bardzo interesującą rozmowę”, po której Iwaszkiewicz zapisał, co następuje: „Dwudziestego ósmego ma być na audyencji u papieża. Wczoraj miał dwugodzinną rozmowę z kardynałem z kurii. Moim zdaniem jest on trochę za prosty i za prostolinijny w tych rozmowach, bo tamci na pewno sądzą, że za tą prostotą kryje się coś, czego tam nie ma. Jego intencje są jasne, ale czy będą zrozumiane. Bardzo tym wszystkim przejęty i wzruszony, a jednocześnie robi tzw. minki, że taki ważny. Wszystko to bardzo rozumiem – i jakoś go tu na tle Rzymu i w świetle jego misji bardzo polubiłem. Zdaje się jest szczerze serdeczny dla mnie. Choć tam z ludzką szczerością rozmaicie bywa. Poszedł teraz do hotelu pisać swój dziennik. Będzie pewnie ciekawy.

Powiedział mi, że kiedy go tow. Wiesław błogosławił na wyjazd do Rzymu, to powiedział: »tylko nic bez kardynała«. A przyjechał tu nazajutrz po upadku Chruszczowa. Pierwsze słowa Wyszyńskiego były: »Jaka jest sytuacja Gomułki? Może mu można co pomóc«. Jednym słowem le petit monde de Don Camillo”.

Świeczka i ogarek

Niestety, na co dzień ani z księdza kardynała Wyszyńskiego nie był dobry – choć w potrzebie mający ciężką rękę – Don Camillo, ani z Władysława Gomułki zapalczywy, choć pocziwy, wójt Peppone.

Tyle że Zawieyski spoglądał na tych swoich idoli, a zwłaszcza na Gomułkę, przez jakieś specjalne okulary, bo czyż inaczej po pierwszym spotkaniu z I sekretarzem KC PZPR mógłby napisać: „Ma cichy, miły głos – i czarujący uśmiech”. Inna sprawa,

że ten wczesny Gomułka w niewielkim stopniu przypominał późniejszego „Gnoma”, czym zwiódł nie tylko dobrodusznego Zawieyskiego, lecz także cały naród gremialnie śpiewający mu „Sto lat”.

22 lipca 1957 r., po kolacji u księdza prymasa, Zawieyski jedzie do Urzędu Rady Ministrów na przyjęcie mające podwójny powód, bo – naturalnie – święto państwowe, ale i przyjazd do Polski chińskiego prezydenta Ho Chi Minha. Co zapisał w swoich „Dziennikach”, było nie było, członek Rady Państwa? Cytuję: „Gomułka odchodził wcześniej i na pożegnanie ucałowaliśmy się. Byłem bardzo wzruszony – kobiety całowały mnie w policzki, aby uszczknąć śladów pocałunków Gomułki” (sic!).

1 października 1958 r. rozmowa Zawieyskiego z Gomułką (w cztery oczy) ma już zupełnie inny charakter: „Gomułka przywitał mnie najpierw na ponuro, dopiero po chwili przybrał wyraz sympatyczniejszy. [...] Mówił stylem lapidarnym, sugestywnie, emocjonalnie, bardzo często podnosząc głos i uderzając pięścią w stół. Było to dla mnie najbardziej przykre, wręcz nie do zniesienia. Nie mogłem przecież także się unosić, także krzyczeć, bo choć na to mnie stać, chciałem utrzymać kontrast, chciałem, by sam zrozumiał, że krzyczeć nie ma powodu”. W trakcie rozmowy Zawieyski powiedział m.in., że „Ksiądz Prymas jest nie tylko wielkim kapłanem, ale wielkim Polakiem, jak pan”. „Czcze słowa, panie Zawieyski – wybuchnął Gomułka. – Prymas swoimi kazaniami lub wypowiedziami do studentów albo do księży szkaluje władzę ludową, pomiata nią i ma dla niej pogardę”. „Kościół musi także przeżyć swój Październik – zauważył Gomułka. – Jak to zrobić? Tego nie wiem. Ja wiem, jak się robi Październik w partii. Panowie powinni wiedzieć, jak się robi w Hierarchii.

– My tego Października robić nie będziemy. Właśnie ksiądz Prymas zrobił

już Październik w Kościele po swoim powrocie z więzienia.

– To nie było więzienie. Prymas nie wie, co to jest więzienie, choć za nim wzdycha. Ja siedziałem w swoim życiu dziesięć lat, więc wiem. Ja nie chcę wrócić do więzienia i nikomu go nie życzę.

– To ostateczna rzecz i należy unikać sadzania ludzi do więzienia.

– Będziemy sadzać tych, co podcinają państwo, co je znieważają i czynią mu szkodę. – Pokój tonął w ciemnościach dymu. Obaj paliliśmy papierosy za papierosem. Ja sam byłem u kresu wyczerpania”.

Nie minęły od tej rozmowy dwa tygodnie, a prymas Wyszyński, jadąc do Rzymu na konklawe, zaproponował miejsca w swojej salonce dwóm posłom „Znaku”: Jerzemu Zawieyskiemu i Stanisławowi Stommie. Zawieyskiego bardzo ucieszyła ta propozycja i wiele sobie po tej wspólnej podróży obiecywał, ale już następnego dnia sprowadzony został na ziemię, gdy spotkany na przyjęciu w Radzie Ministrów Gomułka oznajmił mu, że Stomma jechać może, i owszem. On jednak – jako członek Rady Państwa – nie: „tak uradziliśmy przed chwilą”. Oczywiście towarzysz Wiesław uradził to ze sobą samym.

Wreszcie 12 maja 1959 r. wzajemne relacje obu panów sięgnęły – jak to określił sam Zawieyski – dna. Posiedzenie Rady Państwa zostało tego dnia opóźnione o trzy kwadranse, bo tyle trwała rozmowa Zawieyskiego z Gomułką, a ściśle mówiąc, tyle trwały połajanki ze strony I sekretarza KC PZPR. Usłyszał m.in.: „Wy tak: i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek. Wy przed Wyszyńskim trzymacie grubą gromnicę, a diabłu, czyli nam, dajecie to, co skapnie. Nie myślcie, że jesteśmy w ciemie bici, że nic nie rozumiemy. Wasza gra jest szulerska i oszukańcza!”, „Byłem zdruzgotany – pisał Jerzy Zawieyski – nienawiścią, goryczą, ironią i obelgami. Do żywego zabołały mnie słowa o szulerstwie i oszukaństwie. Poczuję się zbity i upokorzony”. W trakcie posiedzenia zdenerwowany poseł wyszedł z sali, co zostało zauważone: „Włóczyli się za mną oficerowie, więc udało mi się szukać łazienki i tam zniknąłem. Przyznaję, że płakałem z wściekłości, żalu i upokorzenia”.

W czasie przerwy na kawę Gomułka przysiadł się do jego stolika, który dzielił

z posłami ZSL, i zaczął zagadywać: – Cóż to, pan Zawieyski, przepraszam, kolega Zawieyski, tak błady i tak źle wygląda?

– To dlatego, że nie ma kontaktu ze wsią – powiedział Banach”.

Ojciec ojczyzny

Maria Dąbrowska 12 marca 1963 r. spisała w swoich „Dziennikach” anegdotę, która znakomicie ukazuje postać Zawieyskiego w kontekście tego, co wówczas robił, i miejsca, które zajmował w polityce. Opowiedział on o swoim trzydniowym powrocie z Paryża, „z dwukrotnym defektem silników, z niemożnością wystartowania w Zurychu, z zawracaniem od Bratysławy do Wiednia, a wszystko w gronie 70 pasażerów Polaków i w czasie, gdy właśnie w Warszawie nastąpiła ta wielka katastrofa świeżo zakupionego w Anglii samolotu – o czym dowiedzieli się w Wiedniu. A wreszcie lądowanie w Warszawie, wyczekiwanie rodzin i gremialny płacz radości na lotnisku. On sam, jak powiada, rozplakał się, wysiadłszy na Okęciu. Brzmiało to jak scenariusz filmu, a dziwnym przypadkiem jechał z reżyserem filmowym Kawalerowiczem i jakimś jeszcze antreprenerem filmowym Hagerem, który zresztą, jak to jest świetną cechą żydowską, walenie przyczynił się do umożliwienia wystraszonemu pasażerom dalszej podróży, powołując się wszędzie na Zawieyskiego jako członka Rady Państwa, a jego prosząc, żeby wszędzie mówił, że musi lecieć z nim i z Kawalerowiczem. A owych siedemdziesięciu też patrzyło na Zawieyskiego jak na deskę ratunku i szło za nim, i tak przypadła mu rola ojca ojczyzny.

Zawieyski trochę mi przypomina Pepysa. To samo amatorstwo życia, radość ze swego losu, kariery, zadowolenie z siebie – ta sama łatwość łączenia służby publicznej w komunizmie z prywatną na boku inną koncepcją

życia, z prywatnym dla siebie krytycyzmem. Nie jestem pewna, czy też nie wymyślił szzyfrowanego dziennika”.

Gdy po trzech latach oczekiwań, i interwencji m.in. u ministra łączności Wilhelma Billiga, 2 lutego 1956 r. założono mu telefon (zadziałał sześć dni później; Zawieyski odnotował swój stan ducha: „Cieszę się jak Murzyn, który dostał szkieleko”), nie minęło wiele ponad pół roku, a – tym razem bez pisania podań – dodatkowo wyposażono go w pod-słuch.

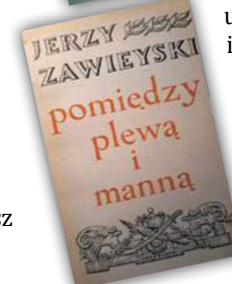
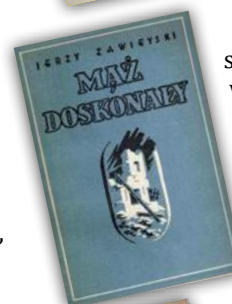
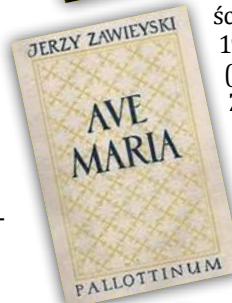
„Był dla SB prawdziwym skarbem, źródłem cennych wiadomości i głównego celu wszystkich służb – pisze Joanna Siedlecka, niepozostawiająca suchej nitki na, rzeczywiście, ośliszłej postaci tego »chłopka-roztropka«, szeroką garścią czerpiącego z uroków życia, jakie umożliwiała pozycja polityczna i wysokie pobory. – Żaden z pisarzy i polityków nie ma tak kompromitującego i żenującego dossier jak on. Wszyscy przeciw wiedzieli, gdzie żyją, i przez telefon starali się mówić ogólnikami, unikać nazwisk i faktów, które mogłyby zwłaszcza szkodzić innym.

A prezes KIK-u dosłownie nimi sypał. I to na przykład o tak ważnym dla SB Prymasie Wyszyńskim. U kogo zatrzymał się po wyjściu na wolność. Jak przyjęto go w Rzymie, gdzie zaraz wtędy pojechał. Kogo mianował swoim kapłanem.

Kogo przyjmował w swoich prywatnych apartamentach”.

Kiedy prawda o rzeczywistej roli, którą pełnił ów „łącznik” między komunistyczną władzą a Episkopatem Polski, jak również o jego trybie życia, dotarła do księdza prymasa, miał wszelkie podstawy, by stracić dla niego serce. A czy je odzyskał? Chrześcijanin winien wybaczać. Cóż dopiero Prymas Tysiąclecia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Moim największym autorytetem w kwestii Holocaustu jest prof. Christopher Browning. Jest on autorem monumentalnej syntezy „Geneza ostatecznego rozwiązania”, w której krok po kroku rekonstruuje skomplikowany proces, który doprowadził do Holocaustu. Profesor Browning zajmuje się jednak nie tylko historią w skali makro, lecz także w skali mikro. Najważniejszym efektem tych jego badań jest legendarna już książka „Zwykli ludzie. 101. Policijny Batalion Rezerwy i »ostateczne rozwiązanie« w Polsce”.

Została ona właśnie wznowiona przez wydawnictwo Rebis w nowej – poszerzonej i uaktualnionej – wersji. W nowym wydaniu znalazły się między innymi nieznane wcześniej, wstrząsające zdjęcia przedstawiające policjantów ze 101. Batalionu w „akcji”.

Tytułowy batalion był jednostką policyjną z Hamburga złożoną z podtaxialnych panów w średnim wieku, którzy zostali odrzuceni przez komisje poborowe Wehrmachtu. Uznano ich za zbyt słabych i za starych, aby mogli znieść trudy służby frontowej. Odsetek członków NSDAP był w jej szeregach znikomy, byli to wybrani przypadkowo przeciętni obywatele. W większości powszechnie szanowani ojcowie. Tytułowi „zwykli ludzie”, których codziennie mijamy obojętnie na ulicy.

Gdy w Generalnym Gubernatorstwie Niemcy przystąpili do akcji „Reinhardt” – czyli wielkiej operacji eksterminacyjnej, od której rozpoczęło się „fabryczne” mordowanie Żydów – władze policyjne postanowiły rzucić do akcji 101. Batalion. Nie wynikało to z tego, że w jego skład wchodził jacyś szczególnie zdeprawowani oprawcy lub fanatyczni wyznawcy Hitlera. Przyczyna była znacznie bardziej prozaiczna – problemy kadrowe. Władze bezpieczeństwa w okupowanej Polsce nikogo lepszego nie miały pod ręką.

Gdy batalion otrzymał rozkaz wykonania pierwszej egzekucji żydowskich kobiet i dzieci – było to 13 lipca 1942 r. w Józefowie w okolicach Biłgoraja – jego dowódca, mjr Wilhelm Trapp, płakał. Głos mu się łamał, był wyraźnie wstrząśnięty otrzymanymi rozkazami. Mimo to nie odmówił ich wykonania. Podobnie było z większością jego ludzi.

Major Trapp już na wstępie zapowiedział, że policjant, który nie czuje się



Oddział 101. Policijnego Batalionu Rezerwy FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Człowiek przemieniony w bestię

38 tysięcy zabójstw

na siłach, nie musi brać udziału w tym procederze. Przez cały czas trwania ludobójczej operacji wytyczne te pozostały w mocy. Mimo to udziału w eksterminacji odmówiło zaledwie 20 proc. rezerwistów ze 101. Batalionu. Dwóch na dziesięciu! Reszta zakasała rękawy i wzięła się do „roboty”.

Ojczulkowie z Hamburga dokonali masowego mordu...

Oczywiście pierwsza egzekucja zrobiła na nich kolosalne wrażenie. Część wymiotowała, inni szukali ukojenia w alkoholu, jeszcze inni załamali się nerwowo. Z każdym tygodniem i z każdą masakrą policjanci ze 101. Batalionu coraz bardziej obojętnieli. Przelewanie niewinnej krwi robiło na nich coraz mniejsze wrażenie. Aż stali się bezlitosnymi, zawodowymi zabójcami Żydów i Polaków. Wielu z nich osobiście nie miało nic przeciwko Żydom, oni po prostu wykonywali rozkazy. I w ten sposób zgładzili 38 tys. ludzi.

Christopher Browning dokonuje wisksekcji najbardziej mrocznych zakątków ludzkiej duszy. Odsłania straszliwy

mechanizm, który „zwykłego człowieka” zamienia w bestię. Gra tu mieszanina strachu przed przełożonymi, chęci dostosowania się do większości, fascynacji zabijaniem, obawy przed ostracyzmem grupy.

Książka Browninga ma więc podwójny wymiar. Opowiada o konkretnych ludziach. Znanych z imienia i nazwiska niemieckich policjantach, którzy dokonali konkretnych zbrodni. Ale to również uniwersalna opowieść o podłej naturze ludzkiej. Po zakończeniu lektury każdy wrażliwy czytelnik musi zadać sobie pytanie: A jak ja zachowałbym się na ich miejscu? Czy znalazłbym w sobie siłę i odwagę, by odmówić wykonania zbrodniczych rozkazów? ©© Piotr Zychowicz



CHRISTOPHER BROWNING
„ZWYKLI LUDZIE.
101. POLICYJNY BATALION
REZERWY I »OSTATECZNE
ROZWIĄZANIE« W POLSCE”

REBIS

Brytyjcy komandos w niemieckich mundurach

Podczas ofensywy w Ardenach Niemcy przebrali się w amerykańskie mundury, wsiadali do zdobycznych amerykańskich jeepów, a nawet przemalowywali własne pojazdy pancerne, by z daleka wyglądały na sprzęt US Army. Wszystko po to, żeby wprowadzić chaos za liniami wroga, na którego miała za chwilę spaść ostatnia niemiecka ofensywa w II wojnie światowej. Śmiały plan Niemców nic im jednak nie dał – Wehrmacht był już zbyt słaby, by przełamać pozycje alianckie. Za to los Niemców pojmanych w amerykańskich mundurach był trudny do pozazdroszczenia – czekała ich egzekucja, ponieważ byli traktowani jak szpiegdy.

Nie była to oczywiście pierwsza taka „oszukańcza” operacja dokonana w tamtej wojnie. Niemcy w Ardenach mogli w zasadzie utrzymywać, że była to zemsta za to, co alianci przygotowali dla nich w Afryce Północnej dwa lata wcześniej.

Jesienią 1942 r. brytyjcy i nowozelandzcy komandosi przeprowadzili niesłychanie zuchwały rajd na lotnisko w Barce na terenie Libii zajętej przez siły Osi. Operacja ta przeszła do historii sił specjalnych. Żeby dotrzeć do celu i wyeliminować go z gry, alianccy komandosi pokonali ponad 2 tys. km skrajnie nieprzyjaznego terenu pustynnego, co samo w sobie było nie lada wyczynem. Atak na Barkę – operacja

„Caravan” – był jedną z czterech brawurowych operacji, które sojusznicy przeprowadzili jednej nocy.

Najważniejszą z nich był jednak – nieudany – atak na Tobruk. Aby dotrzeć do tej niemieckiej twierdzy, Brytyjczycy postawili na jednostkę SIG, czyli Specjalną Jednostkę Przesłuchań, złożoną z żołnierzy SOE (Kierownictwa Operacji Specjalnych) oraz SAS (Specjalnej Służby Powietrznej – komandosów). „Wszyscy żołnierze plutonu SIG mówili płynnie po niemiecku i zostali doń wyselekcjonowani tylko w jednym celu: występowania w roli niemieckiego oddziału, aby umożliwić członkom innych elitarnych oddziałów przedostanie się na tyły nieprzyjaciela. Żołnierze SIG mieli być mistrzami podstępu, fałszywej tożsamości i blefu” – pisze Damien Lewis w swojej książce.

Świetna lektura dla wszystkich pasjonatów spektakularnych operacji sił specjalnych. ©© **Piotr Włoczyk**



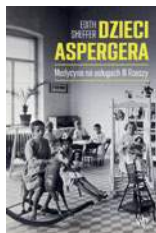
DAMIEN LEWIS
„SAS. KOMANDOSI JEGO
KRÓLEWSKIEJ MOŚCI”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Horror w klinice Aspergera

Zespół Aspergera to diagnozowane u dzieci zaburzenie, mieszczące się w spektrum autyzmu. Jako pierwszy dokładnie opisał je wiedeński psychiatra dziecięcy Hans Asperger w 1944 r. Przyjmowało się, że lekarz ten działał wbrew niemieckiej polityce eutanazyjnej, chroniąc na różne sposoby dzieci z zaburzeniami umysłowymi. Analiza nazistowskich archiwów medycznych z okresu wojny pokazuje zupełnie inne oblicze słynnego psychiatry. „Akta ujawniają, że Asperger

na wielu poziomach uczestniczył w Wiedniu w procedurze mordowania niepełnosprawnych dzieci” – pisze Edith Sheffer. ©© **Piotr Włoczyk**



EDITH SHEFFER
„DZIECI ASPERGERA.
MEDYCINA NA USŁUGACH
III RZESZY”

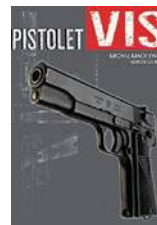
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE



TOMASZ KOŹŁOWSKI
„KONIEC IMPERIUM MSW”
IPN

IMPERIUM KISZCZAKA

Dlaczego SB nie została rozmontowana tak jak choćby jej odpowiedniki w NRD i Czechosłowacji? Dlaczego przesłuchania esbeków przez komisje weryfikacyjne miały niewiele wspólnego ze słynną sceną z „Psów”? Ile SB pozostało w nowo utworzonym UOP? Na wszystkie te pytania – i wiele innych – fachowo odpowiada autor w książce wydanej 30 lat po „transformacji” w SB. ©© **(p.w.)**



**MICHAŁ MACKIEWICZ,
MARCIN OCHMAN**
„PISTOLET VIS”
VESPER

VIS ZNACZY SIŁA

To trzecie już, poprawione i rozszerzone wydanie monografii najslawniejszego polskiego pistoletu, której współautorem jest znakomity znawca broni – i nasz autor! – Michał Mackiewicz. Na najwyższą ocenę zasługuje również Vis wz. 35, wzorowany na Colcie M1911. Poznali się na nim także Niemcy, którzy podczas okupacji wytworzyli dla Wehrmachtu kilkakrotnie więcej visów, niż zdążyliśmy to zrobić w Radomiu przed wojną. ©© **(m.r.)**



RYSZARD WOLAŃSKI
„TANGO MILONGA”
REBIS

PRZEBJOJE II RP

Ech, żeby choć na chwilę przenieść się do tamtej Warszawy! Beztrudnej, szalonej, bawiącej się do białego rana. Nieświadomej nadchodzącej katastrofy. Ryszard Wolański w książce „Tango milonga” zabiera nas w wędrowkę po knajpach, dancjach i balach stolicy. Razem z nim możemy słuchać (do książki dodana jest płyta CD) piosenek Andrzeja Własta, autora największych przebojów II RP. ©© **(p.z.)**



Aleksander Wielki podczas bitwy pod Issos. Fragment mozaiki z Pompejów

FOT. WIKIPEDIA

Świat macedońskich diadochów

Książka wypełnia ogromną lukę w historiografii świata antycznego. Otóż powszechnie przyjęto, że od śmierci Aleksandra Wielkiego – co zdarzyło się w czerwcu 323 r. p.n.e. w Babilonie – liczy się tzw. epokę hellenistyczną. Pod względem cywilizacyjnym na ogromnych, zdobytych



przez niego terytoriach Bliskiego Wschodu i Środkowego Wschodu zapanowała na bez mała tysiąc lat kultura grecka, której nie zniszczyli, lecz którą raczej przejęli Rzymianie. Kres przynieśli dopiero Arabowie i Turcy. Natomiast pod względem politycznym wytyczone przez Aleksandra imperium

ROBIN WATERFIELD
„DZIELENIE ŁUPÓW.
WOJNA O IMPERIUM
ALEKSANDRA
WIELKIEGO”

REBIS

podzielili jego następcy – z greki: diadochowie, będący jego najbliższymi towarzyszami i zarazem dowódcami wojsk.

Wiemy też, że trwały między nimi walki o spadek po wielkim królu, aż wreszcie w 281 r. p.n.e. Egipt (wraz z Palestyną i Cyrenajką) przypadł Ptolemeuszom, Macedonia (i greckie okolice) – Antygonidom, a Azja – Seleukidom. Ta ostatnia część obejmowała – bagatela! – niemal całą dzisiejszą Turcję, Syrię, Irak i Iran do afgańskich i turkmeńskich rubieży. Między tymi trzema państwami nadal wybuchały wojny, prowadzone z rozmachem, ale zasadniczo owego podziału nie zmieniały. Natomiast okres pierwszych 40 lat po śmierci Aleksandra historycy – z uwagi na trudności źródłowe – raczej omijali. Waterfield wypełnia tę białą plamę.

Dramatyczne były już spory o schedę kilkudziesięciosobowej starszyzny, która brała się za łby przy pustym tronie, na którym leżał diadem zmarłego króla, a jazda złożona z macedońskich arystokratów oblegała Babilon zajęty przez chłopską piechotę. Intrygujące są krwawe zmagania, zmieniające się sojusze, które później nastąpiły. Znamienne jest też porównanie komediopisarzy greckich z końca IV w. p.n.e., którzy obyczajowe zwykle utwory lokują w scenerii wiejskiej, z o wiek wcześniejszym Arystofanesem, który swe polityczne satyry umiejscawiał na ateńskiej agorze. ©©

Maciej Rosalak

Lekarz – to brzmi dumnie...

Owe wspomnienia amerykańskiego lekarza z przełomu XIX i XX w. stanowią wartościowy wkład do wiedzy o historii medycyny, a zwłaszcza o kolejnym – oczywiście nie ostatnim – przełomie w dziedzinie chirurgii. Mogą też stać się ciekawą i pouczającą lekturą nie tylko dla jego dzisiejszych – o 100 lat późniejszych – kolegów.

W ciągu 50 lat praktyki zawodowej chirurg ten spotkał się z setkami niezwykle dramatycznych przypadków. Cały czas uczył się, doskonalić wiedzę lekarską i technikę chirurgiczną, doceniając opiekę okołochirurgiczną nad pacjentem, ale też znajomość ludzkiej psychiki

i potrzeb człowieka znajdującego się w stresie wywołanym niepokojącym otoczeniem szpitalnym oraz strachem przed operacją. Popelniał błędy, ale wytyczał również nowe drogi w chirurgii. Doskonalił się jako lekarz i jako człowiek.

U schyłku własnego życia napisał znaczące słowa: „Gdybym mógł wybierać operacje, którym poświęciłbym cały mój czas, obierałbym najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne... Gdybym zaś mógł wybierać moich pacjentów, operowałbym nade wszystko matki drobnych dzieci albo też wyznawczynie Nauki Chrześcijańskiej. Gdybym natomiast wybierał miał moich pacjentów pod kątem

ich możliwości płacenia mi honorariów, obierałbym nauczycieli i wykładowców naszych zakładów wychowawczych, którzy nie byłiby w stanie zapłacić za najcięższą operację nawet...”.

To było dawno temu, w Ameryce...

©© (m.r.)



ROBERT T. MORRIS
„NA OSTRZU SKALPELA”

REPLIKA

Zbrodnia augustowska '45

Upadek III Rzeszy nie oznaczał rzeczywistego zakończenia działań wojennych w Europie. Chociaż umilkły frontowe działa, w Estonii, na Litwie, Łotwie, Ukrainie i Białorusi, w Jugosławii (Słowenia, Chorwacja, Serbia, Kosowo, Bośnia), Rumunii, Albanii, a także w Polsce antykomunistyczne narodowe partyzantki toczyły zacięte walki z bolszewickimi okupantami i ich komunistycznymi poplecznikami. Jednym z miejsc, gdzie polskie podziemie niepodległościowe działało szczególnie aktywnie, była Białostoczczyzna. Zaniepokojony tym Stalin najprawdopodobniej wydał rozkaz oczyszczenia obszarów pogranicza polsko-litewskiego z „kontrewolucyjnych band”.

Wykonując go w dniach 12–18 lipca 1945 r., jednostki 3. Frontu Białoruskiego, a konkretnie 50. Armii dowodzonej przez gen. lejtn. Fiodora Ozierowa, przeprowadziły w powiatach augustowskim i suwalskim wielką operację antypartyzancką. Wzięło w niej udział 11 dywizji skupionych w czterech korpusach (nie licząc wspomagającego je 2. Korpusu Pancernego). 45 tys. żołnierzy sowieckich wspieranych było przez pododdziały 1. Dywizji LWP oraz funkcjonariuszy UB. Ci ostatni odegrali w całej tej operacji złowieszczą rolę, bo częściowo to oni sporządzali dla Sowietów spisy członków AK, na podstawie których czerwonoarmiści dokonywali potem aresztowań.

Szef PUBP w Suwałkach por. Aleksander Kuczyński meldował swoim przełożonym: „10 lipca br. powiat augustowski został obsadzony wielką ilością wojsk sowieckich mających za zadanie likwidację band na terenie powiatu. W dniach 11–12 lipca sporządziłem spisy zarejestrowanych czynnych członków AK w tłumaczeniu na język rosyjski oraz przetłumaczenie niektórych dokumentów większego znaczenia, który to materiał przekazałem do sztabu wojsk sowieckich, oraz dałem orientację odnośnie do band”.

Efekty kilkudniowych działań wojsk bolszewickich były porażające. W czasie obławy, zwanej

potocznie augustowską, zatrzymano 7049 osób, z czego 5115 po przesłuchaniach wypuszczono, a resztę poddano dalszemu śledztwu. Los tych, których uznano za członków lub współpracowników oddziałów partyzanckich, okazał się tragiczny. Świadczą o tym słowa zawarte we fragmencie nadanego 21 lipca 1945 r. szyfrogramu naczelnika Zarządu Głównego Smierszu gen. Wiktora Abakumowa do Ławrientija Berii. Czytamy w nim: „Wszystkich ujawnionych bandytów w liczbie 592 osób zlikwidować. W tym celu wydzielony zostanie zespół operacyjny i batalion wojsk zarządu Smiersz”. Z dokumentu wynika także, że dalsza 828-osobowa grupa zatrzymanych będzie poddawana weryfikacji, a ujawnieni w jej składzie członkowie podziemia również zostaną zamordowani.

Niestety, nie wiadomo, ilu spośród z tych zatrzymanych zwolniono, a ilu rozstrzelano. Do dziś nie znamy miejsc dokonywanych egzekucji i pochówku ofiar masakry. Podczas obławy augustowskiej zniszczeniu uległ w całości jeden z działających na tym terenie oddziałów AKO (Armia Krajowa Obywateli) dowodzony przez sierż. Władysława Stefanowskiego „Groma”. Operację likwidacji grupy przeprowadził 1019. Pułk Strzelecki Armii Czerwonej. Walkę z partyzantami jednostka ta stoczyła nad jeziorem Brożane 15 lipca 1945 r. Podczas wymiany ognia zginęło trzech AK-owców, a 49 oddało się do niewoli. Nieco wcześniej bolszewicy ujęli ośmiu partyzantów z oddziału, co powodowało, że liczba wziętych do niewoli wzrosła do 57. Jednak fakt oddania się do niewoli tak dużej liczby partyzantów wskazuje, że partyzantom brak było woli walki. Pomimo poddania się wszyscy jeńcy wraz ze swym dowódcą zostali rozstrzelani. Może kiedyś się dowiemy, gdzie zostały ukryto ich szczątki. ©© Arkadiusz Karbowski



POD REDAKCJĄ: ŁUKASZA ADAMSKIEGO, GRZEGORZA HRYCIUKA, GRZEGORZA MOTYKI
„MIOTŁA STALINA. POLSKA PÓŁNOCNO-WSCHODNIA I JEJ POGRANICZE W CZASIE OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ W 1945 ROKU”

CENTRUM POLSKO-ROSYJSKIEGO DIALOGU I POROZUMIENIA

Wehrmacht na haju!

Gdyby kampanię wrześniową miała oceniać jakaś wojenna komisja antydopingowa, to Niemcy byłiby dożywno zdyskwalifikowani. Autorzy omawianej książki piszą, że w 1939 r. armii niemieckiej dostarczono „29 milionów tabletek Pervitinu. Polska armia stanęła zatem do walki z przeciwnikiem o wyraźnej przewadze militarnej, a do tego podkręconym działaniem amfetaminy!”.

W kolejnych kampaniach – od francuskiej w 1940 r. poczynając, a na obronie III Rzeszy w 1945 r. kończąc – Niemcy walczyli na coraz większych dawkach narkotyku pod postacią „panzerschokolade” (pancernej czekolady), fasowanej jak jedzenie i picie. Już w bitwie pod Moskwą zimą 1941/1942 okazało się jednak, że zdolni wcześniej do nadludzkich wysiłków żołnierze po utracie narkotyku szybko tracą siły. Zresztą Brytyjczycy skonsumowali 72 mln tabletek amfetaminowej benzedryny, a Amerykanie 250–500 mln. Rosjanie po prostu upijali czerwonoarmistów.

Wcześniej też walczone „na haju”. Podczas wojny o niepodległość USA i wojny secesyjnej używano opium; 10 mln pigułek rozdano np. żołnierzom Unii. W Europie królowała morfina, a na początku XX w. również kokaína, która z nienaturalnie dzielnych żołnierzy wojny krymskiej, wojen pruskich z Austrią i z Francją oraz I wojny światowej stworzyła zastępy narkomanów. Wojny XX w., a zwłaszcza amerykańska w Wietnamie i sowiecka w Afganistanie, upowszechniły stare i nowe narkotyki: heroinę, marihuanę, haszysz, LSD... W Afryce spryskuje się nawet dzieci porywane i tresowane do zabijania... ©©

Maciej Rosalak



TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„DRAGI I WOJNA”

FRONDA



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Napinanie struny

Różne rzeczy widziałem, ale książki, powstałe z zapisu rozmowy z tzw. świadkiem historii, w której świadek historii opowiada o rzeczach, których swego czasu, uczestnicząc w wydarzeniach, nie widział, ale po latach dowiedział się o nich z książki – to jeszcze nie widziałem. Tak właśnie jest w wywiadzie z rzece ze Stanisławem Aronsonem pt. „Wojna nadejdzie jutro”.

Aronson, uciekinier z getta, żołnierz Kedywu i powstaniec warszawski, od roku 1946 mieszkaniec Izraela i uczestnik kolejnych tamtejszych wojen, naprawdę ma wiele do opowiedzenia. Autorom książki – a jak się zdaje, i jemu samemu – znacznie bardziej zależy, by wypowiedzieć się na tematy bieżące. Historia jest tu potrzebna tylko do zbudowania cokołu, z którego – cytując tzw. bąbel z pierwszej strony okładki – „żołnierz legendarnego kedywu AK ostrzega”.

Okładka czwarta dodaje do pieca: „Książka, która otworzy nam oczy”. „Jeden z ostatnich żyjących autorytetów w bezkompromisowej rozmowie pyta i oskarża: Dlaczego Polskie Państwo Podziemne nie stanęło w obronie swych żydowskich obywateli? Po co tworzy się mit »żołnierzy wyklętych« ze szkodą dla wspaniałej tradycji AK? Dlaczego manipuluje się historią i umacnia podziały?”. I dalej, w koło Macieju, a raczej „Ryśku”, bo taki pseudonim nosił legendarny

Aronson w Kedywie: „Wszystko zaczyna się od kłamstwa. Polska i Europa zostały zniszczone przez kłamstwa (mądrości podobne, co w dywagacjach wiceprezydenta Gdańska, że II wojna zaczęła się od „złego słowa Polaka przeciwko Niemcowi i Niemca przeciwko innemu narodowi”). Teraz ten fałsz serwowany jest na nowo. Na potrzeby polityki niszczy się pamięć i napina strunę, która może pęknąć w sposób niekontrolowany” (a widział kto kiedy strunę pękającą

/ Aronson deklaruje, że „to już nie jest jego Polska”, bo odbywa się tu Marsz Niepodległości, który on uważa za manifestację neonazistów

w sposób kontrolowany?!). I niżej, apiać, iż Aronson „wierzy, że jeśli nie damy się zwieść historii opartej na kłamstwie, wciąż mamy szansę na Polskę ludzi – tu wytłuszczenie – wolnych, myślących i dobrych dla innych”.

Przypominam – to „rekomendacja na okładce”. A o jakie to „kłamstwo” chodzi, które ma „znowu” zniszczyć

nasz kraj i Europę? Trudno z rozmowy ze świadkiem historii wycząć. Aronson piekli się na patriotyzm, na to, że Polacy mówią o sobie jako o narodzie bohater-skim, a walczyło nie więcej niż 10 proc. (hm, proszę mi pokazać inny taki w tych czasach), deklaruje, że „to już nie jest jego Polska”, bo odbywa się tu Marsz Niepodległości, który on uważa za manifestację neonazistów. Wyraźnie zżera go trauma okupacyjnej akcji, po której ranny, zakrwawiony biegał od drzwi do drzwi, szukając pomocy, i nikt w całej kamienicy mu nie otworzył.

A wracając do początku felietonu – bohater wprawdzie uratowany został przez polskiego chłopca i sam osobiście antysemityzmu nie doświadczył, ale, jak sam wyznaje, przeczytał o tym u Grossa, więc chętnie opowie. A prowadzący rozmowę oczywiście robią, co mogą, by wyciągnąć z „ostatniego żyjącego autorytetu” jak najwięcej mocnych słów, których da się użyć do „pedagogiki wstydu” i wal-ki z PiS, co i raz przekraczając granice śmieszności.

Przypomniała mi ta książka wyko-rzystywanie w końcówce pierwszych rządów PiS przez media kompletnie już wtedy „zdemenciałego” Marka Edelmanna, podpuszczanego do wygadywania naj-gorszych bzdur, byle tylko legendarnym „ostatnim dowódcą powstania w getcie” przywalić Kaczyńskim.

Generalnie – głupie, niesmaczne i obrzydliwe. ©©

Przelatując kanały w telewizji, natrafiłem niedawno na brytyjsko-amerykański film „Ostatni pocałunek cesarza”. Przykuł on moją uwagę, gdyż odnosił się do dość rzadko poruszanego tematu – schyłku życia cesarza Niemiec Wilhelma II. Po wybuchu rewolucji w 1918 r. uciekł on do Holandii, gdzie żył spokojnie w pałacyku Doorn przez okres międzywojnia i zmarł 4 czerwca 1941 r.

Co się działo między inwazją Niemców na Holandię w maju 1940 r. a śmiercią Hohenzollerna? Na to pytanie spróbował odpowiedzieć pisarz Alan Judd, a za nim autor ekranizacji książki David Leveaux.

Rychło jednak film odrywa się od realiów. Kapitan Brandt od razu zakochuje się w pokojówce Mieke de Jong, która nie dość, że szybko przyznaje mu się, iż jest Żydówką, to jeszcze jest agentką brytyjskiego wywiadu, co nie przeszkadza jej zakochać się w niemieckim oficerze. Ten opowiada jej, jak we wrześniu 1939 r. w Polsce widział masakrę cywili.

Rychło do Doorn przybywa sam Heinrich Himmler, by zaproponować władcy powrót na tron. Wilhelm nie wie, że to mistyfikacja mająca pomóc gestapo wykryć ukrytych monarchistów. Himmler jest na tyle szczery, by opowiedzieć władcy o swoich planach eksterminacji Żydów. Zaszokowany tym

z pałacu wraz z chorym cesarzem, kładąc po drodze trupem ekipę gestapo. Agentka wyjawia Wilhelmowi, że Churchill proponuje mu przerzut do Anglii i tron Niemiec po wojnie. Wilhelm odmawia wyjazdu za kanał, ale błogosławi na drogę agentce, gdy ta ucieka w las. Po powrocie do Londynu Mieke odkrywa, że nosi pod sercem dziecko niemieckiego oficera. Ten nadal służy w dowództwie Wehrmachtu i tylko przesłana via Czerwony Krzyż książka z jej angielskim adresem powiadamia go, że ucieczka się udała.

Co uderzyło mnie w filmie? Po pierwsze, mimo że film jest koprodukcją USA i Wielkiej Brytanii, „kupuje” klasyczną niemiecką kliszę: dobry Wehrmacht i złe gestapo. W filmie dobry Brandt zabija złego gestapowca Dietricha. Po drugie, jedyną bojowniczką jak ze stali jest Żydówka – holenderski pastor „pęka” w śledztwie.

Wreszcie po trzecie, cesarz okazuje się w końcu na tyle wyrazistym przeciwnikiem nazizmu, by zaakceptować misję brytyjskiej agentki i likwidację gestapowców.

Rozumiem, że kasowy film musi mieć wyrazistych dobrych i złych bohaterów, ale tu szlachetni są głównie Niemcy z osobną pozycją Żydówki, która mści się za śmierć swoich bliskich.

A problemem tamtej epoki było zaccadzenie niemal wszystkich Niemców nazizmem. Nawet nieliczni oficerowie Wehrmachtu zrażeni do Hitlera nie przedstawiali być antysemitami. Rodzina Hohenzollernów w imię iluzji powrotu do władzy prześcigała się w gestach wobec Hitlera. A gestapo kontrolowało cesarską rodzinę i grało nią, jak chciało.

Młodzi Niemcy, oglądając takie filmy, dochodzą do wniosku, że „dobrych Niemców” przejętych losem Żydów czy Polaków było niemal tyłu, co złych. Dlaczego w latach 1933–1945 w Niemczech nie wygrali ci „dobrzy”? Tego takie filmy już nie potrafią wyjaśnić.

Gdzieś znika to, co stanowiło o sile Hitlera – masa zwykłych Niemców ślepo wypełniających rozkazy i polecenia tych złych. Wilhelm i jego rodzina nie wystawali ponad ten fenomen. Mogli gardzić parweniuszami z NSDAP, ale nie byli w stanie uczynić niczego, co wychodziło poza ich nakazy.

A bajki o starym cesarzu wpierającym po cichu Żydówkę z brytyjskiego wywiadu tylko utrudniają rozumienie grozy tamtych czasów. ©©

/ Felieton



Piotr Semka

U cesarza w Holandii

„Ostatni pocałunek cesarza” ma silne strony – jest pięknie sfilmowany, dobrze oddaje kulturę i urodę dawnego cesarskiego świata, ale grzeszy naiwną fabułą.

Oto młody oficer Wehrmachtu, por. Stefan Brandt, otrzymuje w maju 1940 r. rozkaz obsadzenia holenderskiej posiadłości Wilhelma II i zadbania o bezpieczeństwo cesarza. Starego władcę reżyser pokazuje początkowo jako zgorzkniałego starca niemogącego darować Niemcom, że go porzucili. Potem autor filmu ociepla jego wizerunek – cesarz ma poczucie humoru, nie znosi pruderii i ma poczucie godności. Żona Wilhelma, Hermine Reuss, prowadzi ciche negocjacje z kręgami wokół Hitlera, lansując powrót męża na tron. Te założenia jeszcze jakoś trzymają się kupy.

/ W filmie dobry oficer Wehrmachtu zabija złego gestapowca. Jedyną bojowniczką jak ze stali jest Żydówka, a holenderski pastor „pęka” podczas śledztwa

barbarzyństwem Wilhelm dostaje ataku serca. W międzyczasie radiotelegrafista agentki, holenderski pastor, wpada w ręce gestapo i wydaje jej nazwisko. W Brandcie następuje przemiana – wywozi Brytyjkę

1939–1945 / AK na kresach północno-wschodnich



W mieście Ostrej Bramy



Tomasz Stańczyk

/ Historia Armii Krajowej na Wileńszczyźnie ma swoje blaski i cienie. Jedne i drugie składają się na prawdziwy obraz konspiracji

28 października 1939 r. wojska litewskie wkroczyły do Wilna. Już drugi raz Litwini otrzymywali to miasto z rąk Moskwy, poprzednio stało się to w 1920 r. Litwinów było w nim zaś jak na lekarstwo, jakieś 2–3 proc. Zaczęli więc Wilno intensywnie litwinizować. Jesienią 1939 r. nad Wilią

powstało aż ok. 40 organizacji konspiracyjnych. Jedną z nich nazwała się Komisarjatem Rządu. Utrzymywała bowiem – bezpodstawnie – że działa w porozumieniu z władzami na emigracji i dlatego żądała podporządkowania jej innych grup konspiracyjnych. Konspirowano spontanicznie, ale też niefrasobliwie, zapewne po części z powodu lekceważenia Litwinów. Nie przestrzegano też podstawowych

zasad pracy podziemnej. Nic dziwnego, że Sauguma, litewska policja polityczna, rozbiła wiele tych amatorskich grup konspiracyjnych.

Dzielny ksiądz

Ksiądz Kazimierz Kucharski, wybitna postać ZWZ-AK w Wilnie, wspominał:

„Cały ten chaotyczny ruch niepodległościowy w Wilnie, gdzie sporo energii zużywano na wzajemne śledzenie siebie, na wyrywanie sobie członków czy terenów – miał jedną dodatnią stronę: skrzepił społeczeństwo polskie Wilna pod względem duchowym, nastawił je ideowo na tyle, że uczucie lęku przestało być dominujące, a natomiast zjawiać się poczęła nawet wśród starszych duża gotowość do ofiar



Dowództwo 5. Wileńskiej Brygady AK. Pierwszy z lewej: Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”

FOT. MIKOŁAJ SPRUDIN/FUNDACJA OŚRODKA KARTA



dla sprawy (K. Kucharski „Konspiracyjny ruch niepodległościowy w Wilnie”).

Ksiądz Kucharski ogromnie przyczynił się do zespolenia polskiego podziemia w Wilnie. To właśnie w jego celi, w klasztorze Jezuitów w Wilnie, odbyło się pod koniec grudnia 1939 r. spotkanie wyślanym z Warszawy delegatów gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, dowódcy Służby Zwycięstwu Polsce – oficerów

Nikodema Sulika i Aleksandra Krzyżanowskiego oraz przedstawicieli wileńskich stronnictw politycznych. Ukonstytuowało się wówczas dowództwo Komendy Okręgu SZP, wkrótce potem Związku Walki Zbrojnej. Na jego czele stanął Sulik.

Litwini do końca okupacji Wilna, przerwanej przez wkroczenie Armii Czerwonej w czerwcu 1940 r., nie rozbili struktur ZWZ. Nie prowadziły one, w myśl instrukcji otrzymywanych z Komendy Głównej ZWZ, aktywnej działalności w rodzaju sabotażu i dywersji przeciw Litwinom. W wileński ZWZ uderzyli dopiero Sowieci, aresztując wiosną 1941 r. Nikodema Sulika, komendanta wileńskiego okręgu AK, a także ks. Kucharskiego i wiele innych osób.

Ksiądz Kazimierz Kucharski był inicjatorem powstania komórki legalizacyjnej, dostarczającej oryginalnych i sfałszowanych blankietów dokumentów najpierw polskiemu oficerom, później konspiratorom, a także Żydom. Falszowano pieczętki i podpisy na zdobytych dokumentach in blanco, potem wytwarzano fałszywe blankiety. Pierwszym kierownikiem Legalizacji był Stanisław Kiałka, jezuicki kleryk. Do chwili likwidacji latem 1945 r. przez sowieckie organy bezpieczeństwa Legalizacja, pracująca przez większość czasu pod kierownictwem Michała Warakomskiego, wydała wiele tysięcy dokumentów. Dzięki dokumentom wystawionym podczas kolejnej, trzeciej już, okupacji sowieckiej Wilna do Polski w nowych granicach mogli wyjechać żołnierze AK, których Sowieci bardzo chcieli zatrzymać u siebie – w więzieniach, łagrach i na zesłaniu.

Ksiądz Kucharski wziął też w swoje ręce sprawę wykonania sztandaru dla polskich pilotów na Zachodzie. Pomysł rzucił w 1940 r. we Francji pochodzący z Wileńszczyzny pilot Jan Hryniewicz. Sztandar haftowały wileńskie zakonnice – siostry miłosierdzia i benedyktyнки.

Na jednej ze stron sztandaru widniał wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Dar dla pilotów został poświęcony przez ks. Kucharskiego potajemnie, oczywiście w Ostrej Bramie. Dzięki pomocy poselstwa japońskiego w Kownie sztandar



Sergiusz Piasecki. Zdjęcie z litewskiego dokumentu, z fałszywym nazwiskiem

FOT. BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE

dotarł do japońskiej placówki dyplomatycznej w Berlinie, a stamtąd mjr Michał Rybikowski, oficer wywiadu, któremu towarzyszył japoński dyplomata, przewiózł go do Sztokholmu. Ze Szwecji była już bezpieczna droga. Wiosną 1941 r. sztandar trafił do Wielkiej Brytanii, a latem został wręczony przez gen. Władysława Sikorskiego polskiemu Dywizjonowi 300. Potem

był przekazywany kolejnym dywizjonom. W latach 90. minionego wieku weterani z Wielkiej Brytanii przekazali sztandar do sali tradycji „Szkoły Orłąt” w Dęblinie (dziś: Muzeum Sił Powietrznych).

Egzekutorzy

Wileńska Armia Krajowa miała komórkę likwidacyjną, wykonującą wyroki na zdrajcach: komunistach, agentach gestapo, prowokatorach, kolaborantach. Początki były trudne. Jerzy Urbankiewicz, jeden z członków Egzekutywy, a także jej dowódca w latach 1943–1944, wspominał:

„Myśmy wzięli się za likwidowanie żywych celów zaraz po odłożeniu pod ręcznika prawa cywilnego czy jakiegokolwiek innego. Nie przeszliśmy wyszkolenia dla terrorystów i komandosów. Byliśmy amatorami, samoukami. Jeżeli później osiągnęliśmy w tym pewną sprawność, to tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że eksperymentując, nie natknęliśmy się na lepiej od nas wyszkolonych i lepiej uzbrojonych, bo konfrontacja z pewnością wypadłaby dla nas tragicznie.

Początkowo uzbrojenie Egzekutywy było wręcz żałosne. Mieli dwa wykopane »archaiczne« pistolety. Do jednego z nich był tylko jeden nabój, do drugiego dwa...” (Jerzy Urbankiewicz, „Szabla zardzewiała”).

Nic dziwnego, że nie udał się pierwszy zamach na Danutę Wyleżyńską, Niemiecką konfidentkę. Sergiusz Kosiński, członek Egzekutywy, relacjonował z rozgoryczeniem i gniewem:

„Trrrach... u mnie nic. Cichy stuk – niewypał! »Białe« narobił dużo hałasu, ale pięść byłaby tu bardziej skutecznym

narzędziem. Krótko mówiąc, oszukano nas trochę – wysłano z gwarancją, że broń wypróbowana”. Wyleżyńska przez jakiś czas miała szczęście. Podczas drugiej próby likwidacji jedna kula trafiła w guzik u jej ubrania, druga osunęła się po czaszce. Za trzecim razem Wyleżyńska została ranna. Dopiero za czwartym razem wyrok wykonano. Skutecznie strzelał Kościółkowski.

Wileńskie podziemie wydało wyrok śmierci na Czesława Ancerewicza, redaktora gadzinowego, kolaboranckiego „Gońca Codziennego”. W pierwszym numerze gazeta nazwała Hitlera wodzem i mistrzem w walce przeciw żydowskiej plutokracji i żydowsko-sowieckiej Rosji. Z pobudek antykomunistycznych w piśmie tym pisywał Józef Mackiewicz i taki też charakter miały jego, nieliczne zresztą, artykuły. Ancerewicz został zastrzelony w marcu 1943 r. przez członków Egzekutywy. Wyrok śmierci otrzymał też Józef Mackiewicz. Jednak kara śmierci dla tego publicysty wzbudziła silne kontrowersje w wileńskim podziemiu.

Sergiusz Piasecki, który przez pewien czas, w 1943 r., kierował Egzekutywą, wspominał, że sędziowie dali wiarę oskarżeniom ludzi, mających animozję do Mackiewicza za jego stanowcze antysowieckie poglądy. A wśród tych, którzy stali na niego donosy, byli ludzie powiązani z komunistami... (Sergiusz Piasecki, „Autodenuncjacja, Teksty autobiograficzne, wywiady, wspomnienia, publicystyka”).

Ostre spory o Mackiewicza spowodowały, że wyrok nie został wykonany – Piasecki wspominał, że do tego nie dopuścił – a zapewne został nawet odwołany. Co więcej, za zgodą wileńskiego podziemia Mackiewicz pojechał w grupie Polaków zaproszonych przez władze niemieckie do Katynia i przywiózł stamtąd wstrząsającą relację, opublikowaną w „Gońcu Codziennym”.

Kontrowersyjny Piasecki

Sergiusz Kościółkowski, rwący się do działania, miał bardzo krytyczną opinię o kolegach z Egzekutywy. Pisał o nich: „Byli to ludzie weseli i towarzyscy. Gadali, popijali, ba, upijali się. Było ich kilku »Jurek«, »Kurzawa«, »T-5«. I ich narze-



Ostra Brama w Wilnie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

zione. Narzeczone musiały ich przecież uważać za bohaterów”. Oni jednak się nie kwapili, według Kościółkowskiego, do wykonywania wyroków („Spowiedź Sergiusza”, oprac. Andrzej Kościółkowski).

Porządek miał zrobić Sergiusz Piasecki, człowiek z barwną przeszłością. Jako agent II Oddziału wielokrotnie przenikał w latach 20. na teren Związku Sowieckiego, przy okazji zajmując się lukratywnym przemytem. Kiedy został zwolniony z tej pracy, szedł na ścieżkę przestępczą. Za rozbój został skazany na śmierć i zapewne opinia wystawiona przez II Oddział spowodowała, że karę śmierci zamieniono na kilkanaście lat więzienia. W celi napisał na motywach swoich przeżyć „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” i za wstawiennictwem znanych literatów, w tym Melchiora Wańkowicza, został przedterminowo zwolniony.

Piasecki krytycznie oceniał ludzi, którymi miał kierować. Wspominał: „Uchylali się od kontaktów, składali fałszywe raporty, stawiali fantastyczne wymagania: auta, motocykli, karabinów maszynowych, dużych pieniędzy”. Twierdził, że dopiero dzięki nim Egzekutywa zaczęła skutecznie pracować i to właśnie on zorganizował zamach na Ancerewicza. Pisał, że z narażeniem życia wydobył tajne dokumenty z biurka Zygmunta Andruszkiewicza, aresztowanego przez gestapo szefa wileńskiego Biura Informacji i Propagandy AK. Opisywał swą działalność nie tylko we wspomnieniach, lecz także w powieściach.

Jednak jego wersja spotkała się ze zdecydowaną kontrą niektórych członków Egzekutywy. Jerzy Urbankiewicz stawiał poważne zarzuty Piaseckiemu: „Chociaż »Adam« podsuwał mu rozpracowanych szpiclów, on uparł się, że

załatwimy intendenta z gestapo, którego wprowadzie na liście wyroków nie było, ale miał opinię człowieka, który swej życiowej szansy nie zmarnował – zgromadził taką liczbę złotych zębów, złotych zegarków i pięciorublowe, że uchodził za prawdziwego krezusa. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę z prawdziwych zamiarów byłego przemytnika, nie ukrywaliśmy, że ten rodzaj działalności nas nie interesuje [...] Po czterech tygodniach studiów nad złotozębnym Litwinem został pozbawiony kierowniczej funkcji w egzekutywie (Jerzy Urbankiewicz, „Szabla zardzewiała”).

Urbankiewicz twierdził, że Piasecki nie zaplanował i nie wykonał ani jednej akcji. Z kolei Piasecki utrzymywał, że jeden z członków Egzekutywy przekazał mu zamiast śmiertelnej trucizny, którą miał zgładzić litewskiego kolaboranta, nieszkodliwą substancję.

Jedną z akcji likwidacyjnych spowodowała brutalny odwet Niemców. Za zabicie we wrześniu 1943 r. ich agenta Padabasa, członka kolaborującej policji litewskiej Saugumy, rozstrzelano w lesie ponarskim 10 przedstawicieli wileńskiej elity, w tym sławnego onkologa Kazimierza Pelczara, profesora Uniwersytetu Stefana Batorego. Na Ponarach rozstrzeliwała litewska jednostka policyjna Specjalnego Oddziału SD i Policji Bezpieczeństwa. W tym miejscu zbiorowych egzekucji zginęło ok. 70–80 tys. Żydów i ok. 2 tys. Polaków. Z rąk litewskich kolaborantów zginęli m.in. członkowie Związku Wolnych Polaków, na czele z ich przywódcą Janem Mackiewiczem, przedwojennym studentem Uniwersytetu Stefana Batorego.

Wojskowy Sąd Specjalny w Wilnie wydał wyroki śmierci także na komunistów kolaborujących z Sowietami w latach 1940–1941. Wykonano tylko jeden wyrok. W listopadzie 1944 r. został zastrzelony w Wilnie przez żołnierzy oddziału likwidacyjnego AK Teodor Bujnicki, poeta, jeden z redaktorów komunistycznej „Prawdy Wileńskiej”. Po wkroczeniu Niemców ukrywał się przed nimi daleko od Wilna. Wrócił do miasta, gdy byli w nim znów Sowieci. I, być może, wyrok nie zostałby wykonany, gdyby Bujnicki nie zaangażował się w działalność wileńskiego oddziału komunistycznego Związku Patriotów Polskich.

Jeden z konspiratorów, Bronisław Krzyżanowski, wspominał, że miał wątpliwości co do wyroku na Bujnickie-

go i wykonania go. We wspomnieniach („Wileński Matecznik 1939–1945”) pisał, że z piórem nie powinno walczyć się kulą, ale dodawał, że Bujnicki pisał paskudne propagandowe wiersze.

Wykonania wyroku uniknął Stefan Jędrzychowski, deputowany do Sejmu Litwy, wybieranego w 1940 r. pod kontrolą NKWD. Sejm ten zwrócił się do Moskwy o włączenie Litwy do Związku Sowieckiego. Po wojnie Jędrzychowski był członkiem Biura Politycznego KC PZPR i wicepremierem. Egzekucja ominęła także Jerzego Putramenta, w komunistycznej Polsce trzęsącego przez wiele lat Związkiem Literatów Polskich, a także Henryka Chmielewskiego, który został wicedyrektorem MBP.

Żyd z Kedywu

W 1942 r. wilnianin Bolesław Krzyżanowski, członek jednej z grup konspiracyjnych, spotkał się w Warszawie ze swoim kolegą Maciejem Kalenkiewiczem, cichociemnym. Kalenkiewicz zaproponował mu wstąpienie do „Wachlarza”, oddziału dywersyjnego AK, który miał paraliżować łączność kolejową na zapleczu frontu niemieckiego w Rosji. Krzyżanowski „Bałtruk” został szefem wileńskiej bazy IV odcinka „Wachlarza”. Po jego zlikwidowaniu w końcu 1942 r. żołnierze „Wachlarza” przeszli do wileńskiego Kedywu. Pociągi niemieckie wylatywały w powietrze i staczały się z nasypów na Wileńszczyźnie.

Janina Cywińska wspomniała: „Po każdym udanym wysadzeniu pociągu wpadał do nas »Bałtruk« z żoną zwaną przez niego »Perłą« – chwytailiśmy się za ręce i odtkańcowaliśmy »taniec dzikich« w zdziwieniu i zgorszeniu naszych dzieci” (Janina Cywińska, „W okupowanym Wilnie”).

Zadaniem Krzyżanowskiego było m.in. zorganizowanie materiałów wybuchowych, potrzebnych do wysadzania torów kolejowych. Skorzystał ze znajomości z kolegą – Eliaszem Baranem, Żydem pracującym w składach wojskowych armii niemieckiej. Dzięki jego informacjom w lutym 1943 r. Krzyżanowski zorganizował wyprawę do magazynu w Burbiskach. Kedyw nie dysponował już bowiem zapasami materiałów wybuchowych, zużył je w akcjach kolejowych i miał tylko

zapalniki. Pod osłoną nocy kilkusobowy oddział przeciął druty ogrodzenia.

Krzyżanowski relacjonował to, co zobaczył w bunkrze: „Przyćmione światło wydobywa z mroku stosy skrzyń po lewej stronie ciemnego wnętrza. Tak, wszystko się zgadza. Pod samym oknem 3 ażurowe skrzynie z solidnych desek, w których widać po 6 min mniejszych. Są zielone, walcowate, wielkości sporego garnka. Dalej 8 skrzyń po 2 duże miny w każdej. Te mają rozmiar niewielkiego kotła. Dalej 3 skrzynie duże ustawione jedna na drugiej. Tylko zdjąć wieko i odwalić najzwyklejszą robotę: pakować ładunki 200 gramowe. Oto są. Pod warstwą wiórków drewnianych leżą rzędami spokojne, łagodne, banalne jak kawałki mydła, nieświadome swej siły, niewiedzące, że stanowią dla mnie pasję życia, treść wielomiesięcznych namysłów, kalkulacji, zawodów, nadziei. Chciwie chwytają je szybkie ręce, chciwie połyka je ciasne wnętrza worka” (Bronisław Krzyżanowski „Wileński matecznik 1939–1944”).

Krzyżanowski miał w ręku duże zapasy materiałów wybuchowych, jednak nie zdecydował się prosić dowództwa wileńskiego AK o pozwolenie na zorganizowanie dywersji kolejowej. Szala zwycięstwa przechylała się bowiem na korzyść Związku Sowieckiego. Krzyżanowski wspominał:

„Każdy z nas, Polaków, bał się jak siedmiu plag egipskich powrotu reżymu sowieckiego [...]. Niech sobie trotyl leży zamelinowany w skrzyniach u Petroneli [...] i czeka wyraźniejszej koniunktury politycznej”. Dywersja kolejowa pomagałaby Armii Czerwonej w szybszym zbliżeniu się do przedwojennych granic II Rzeczypospolitej, których Moskwa nie zamierzała uznawać.

Po jednej z akcji zaopatrzeniowych w październiku 1943 r. dość przypadkowo został aresztowany Eliasza Baran, zaprzysiężony członek AK o pseudonimie Edyp. Ten dzielny Żyd nie wydał nikogo, mylił tropy, mówiąc w śledztwie, że współdziałał z partyzantką sowiecką. Wieziony w samochodzie na miejsce rozstrzelania na Ponarach, podobno uwolnił się z więzów i zaatakował strażników,

którzy go zabili. Jego żonę przechowywała rodzina „Bałtruka” w Ponaryszkach, syn Eliasza Barana wychowywał się z młodymi Krzyżanowskimi. Siostrą Eliasza także zajęło się polskie podziemie, zapewniając jej schronienie.

Dwa fronty

Pierwszy oddział partyzancki w okręgu wileńskim AK powstał w 1943 r. Dowodził nim Antoni Burzyński „Kmicic”. Oddział ten został latem tamtego roku podstępnie zwabiony i zlikwidowany przez partyzantkę sowiecką. „Kmicic”, kadra oddziału i wielu żołnierzy zostali rozstrzelani. Było to wypowiedzenie wojny Polakom przez Sowieców, których celem była likwidacja oddziałów AK na Kresach Wschodnich. Na Wileńszczyźnie, a także Nowogródzczyźnie, toczyła się więc prawdziwa polsko-sowiecka wojna. Brała w niej udział także dowodzona przez słynnego Zygmunta Szendzielarza 5. Brygada Wileńska AK.

Sowiecka partyzantka atakowała poza tym polskie wsie, grabiła, dopuszczała się morderstw na mieszkańcach. W Nalibokach, w maju 1943 r., komunistyczni partyzanci zamordowali 128 Polaków, w styczniu 1944 r. ich ofiarą padło 38

Polaków w Koniuchach. Armia Krajowa broniła polskich wsi pacyfikowanych przez komunistów. Walczyła jednocześnie z drugim wrogiem: Niemcami oraz kolaboracyjną policją litewską i z Litewskim Korpusem Lokalnym gen. Plechaviciusa, który poniósł dotkliwą porażkę pod Murowaną Osmianką w maju 1944 r.

Mszcząc się za zabicie przez oddział AK kilku policjantów, Litwini dokonali

w czerwcu mordy prawie 40 polskich mieszkańców w Gliciszkach. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” wykonał akcję odwetową w litewskiej wsi Dubinki. Zginęło tam także ok. 30 jej mieszkańców. Zbrodnia jest zbrodnią. Nie byłoby jednak Dubinek, gdyby nie Gliciszki. Zbrodnie w Gliciszkach i Dubinkach wciąż jeszcze kładą się cieniem na stosunkach polsko-litewskich.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



1560–1621 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Jan Karol Chodkiewicz



Józef Brandt „Bitwa pod Chocimiem”, 1621 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Policzmy ich, jak ich pobijem...



Maciej Rosalak

/ Do historii przeszedł jako wielki wódz wojsk Rzeczypospolitej – być może największy...

Policzmy ich, jak ich pobijem... – tak rzekł do swych nielicznych podkomendnych na wieść o „wręcz niezliczonych regimentach szwedzkich” pod Kircholmem. I niewiarygodnie szybko, olśniewającym sposobem, urządził najeżdż-

com pogrom w najśłynniejszej ze swych bitew. „Tak pełnych zwycięstw mało zna historia; ani jednego zaś odniesionego przeciw takiej przewadze” – napisze znakomity historyk wojskowości Marian Kukiel o bitwie z 1605 r.

Ponad ćwierć wieku wcześniej (1579) 18-letni student Akademii

Wileńskiej, utalentowany orator Jan Karol Chodkiewicz, miał zaszczyt witać w progach uczelni jej fundatora – Stefana Batorego. Jadący na wojnę z Moskwą polski król przepowiedział mu wtedy, że będzie „wielkim kawalerem i mężem rycerskim”.

Praprawnuk Iwana

Geneza rodu Chodkiewiczów sięga XIV w. i jest owiana legendami. Spotykamy w nich niejakiego Borejkę, zasłużonego dla Giedyminowiczów zwycięskimi pojedynkami z Tatarami (solo przed

frontem wojsk) oraz ratowaniem życia kniaziów litewskich. Historyk Adam Boniecki odrzucił opowieści hagiografów i uznał za protoplastę rodu Chodkę Juriewicza wymienionego w „Pomianniku supraskim”.

Przodkiem naszego bohatera był natomiast z pewnością w drugiej połowie XV w. Iwan Chodkiewicz, który od 1480 r. był wojewodą kijowskim. W 1482 r. Kijów zdobyli Tatarzy, a wojewoda po dwóch latach zmarł w niewoli. Syn Aleksander – m.in. marszałek hospodarski i wojewoda nowogródzki – potrafił skomasować ogromne majątki, dzięki czemu Chodkiewiczowie należeli przez kilka kolejnych pokoleń do najbardziej znaczących rodów na Litwie.

Jednym z trzech synów Aleksandra był Hieronim (1500–1561), kasztelan wileński i starosta generalny żmudzki, dziad Jana Karola. Poliglota, posłował do papieża Pawła IV i cesarza Ferdynanda I, który w uznaniu jego talentów oratorskich przyznał Chodkiewiczom tytuł hrabiów Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Zapewne wnuk właśnie po nim odziedziczył zdolności krasomówcze.

Ojciec Jana Karola – marszałek wielki litewski i kasztelan wileński, a także hetman inflancki – Jan Hieronimowicz Chodkiewicz (1537–1579) dowodził wojskami Rzeczypospolitej w Inflantach w latach 70. XVI w. Wraz z obydwojoma synami zmienił wyznanie z kalwińskiego na katolicyzm i stał się pierwszym w pełni spolonizowanym dziedzicem litewsko-ruskiego rodu Chodkiewiczów. Dodajmy, że prawosławni wcześniej Chodkiewiczowie kalwinistami byli dopiero od Hieronima. Tak więc w ciągu trzech pokoleń rodzina zmieniła wyznanie trzykrotnie. Taki był ów wiek XVI.

Praprawnuk Iwana, prawnuk Aleksandra, wnuk Hieronima i syn Jana – był Jan Karol Chodkiewicz młodzieńcem wszechstronnie uzdolnionym i energicznym, przejawiającym wodzowskie skłonności od najmłodszych lat, niekiedy nawet nazbyt agresywnym. Studiował w Wilnie i Ingolstadt, zwiedził wraz z bratem Augsburg, Weronę, Padwę, Wenecję i Maltę. W wieku 33 lat ożenił się z Zofią – wdową po księciu słuckim Siewieru Olekowiczu – z którą miał troje dzieci. Obydwaj synowie wcześniej umarli, a córkę Annę wydano za Jana Sapiehy. Rok po śmierci Zofii ożenił się (1620) z młodszą o 40 lat Anną Ostrońską, ale



Jan Karol Chodkiewicz herbu własnego – rycina hetmana z buławą
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

nie doczekał się z nią potomstwa.

Kiedy przejął i pomnożył wielkie dziedzictwo rodzinne, okazał się zapobiegliwym gospodarzem, wznosił zamki, fortyfikował miejscowości, fundował liczne kościoły i klasztory. Do historii przeszedł jednak jako wielki wódz wojsk Rzeczypospolitej – być może największy...

Hetman admirałem

Doświadczenie wojskowe nabył m.in. przy boku Stanisława Żółkiewskiego, gdy tłumił bunt Nalewajki (1596). Pod Janem Zamoyskim zwyciężał podczas wyprawy na Wołoszczyznę (1600). Już jako hetman polny litewski wyprawił się na wojnę ze Szwedami o Inflanty. Pod Kokenhausen (1601) dowodził jeszcze hetman wielki litewski Krzysztof Radziwiłł „Piorun”, ale rozstrzygającą o zwycięstwie szarżę husarii poprowadził Chodkiewicz (o tych kampaniach pisaliśmy w poprzednich numerach „HDR”, poświęconych Żółkiemskiemu, Zamoyskiemu i „Piorunowi”). Kokenhausen stało się jakby uwerturą do najbardziej błyskotliwych i już samodzielnych triumfów Chodkiewicza.

Oto latem 1604 r. przybyła do Estonii siedmiotysięczna armia szwedzka dowodzona przez Arvida Stålarma i obległa twierdzę Biały Kamień. Polscy obrońcy odparli pierwszy szturm, a drugi uprzedziła odsiecz Chodkiewicza z 2 tys. żołnierzy. Hetman dostrzegł, że wróg przedzierał oddziały piechoty jazdą, a słabsze prawe skrzydło, obsadzone przez Finów, chronione było bagnami i strumieniami. Na lewym silniejszym

skrzydle umieszczeni zostali zacieźni Niemcy, a w centrum stali Szwedzi.

Chodkiewicz rzucił, wbrew przypuszczeniom nieprzyjaciół, swą straszną husarię na ich silne lewe skrzydło, a kiedy je rozgromił i zwinął, natarł z boku na centrum i prawe skrzydło, które wcześniej wiązały bojem jego piechota i lekka jazda. W efekcie armia szwedzka trafiła w bagno... przeznaczone dla naszej husarii. Szwedzi stracili 3 tys. ludzi, sześć dział i 21 chorągwi, a Polacy i Litwini – 50 zabitych i 100 rannych.

O zwycięstwach pod Kircholmem, jak również pod Salis, pisałem szerzej w „HDR” nr 74, w artykule poświęconym wojnie o Inflanty; tu przypomnę najważniejsze fakty. Szwedzi oblegali we wrześniu 1605 r. Rygę. Chodkiewicz – już wtedy hetman wielki litewski – ruszył tam z 2,4 tys. jazdy, ponad 1 tys. piechoty i kilkoma działami. 25 km od Rygi zastąpił mu drogę Karol IX Sudermański mający 2,5 tys. kawalerzystów i 8,5 tys. piechurów oraz 11 dział. Hetman ustawił wojska litewsko-polsko-kurlandzkie z lekką jazdą przed rotami piechoty, a wreszcie husarię Teodora Lackiego oraz 300 rajtarów kurlandzkich księcia Fryderyka Kettlera trzymając w odwodzie. Lewe skrzydło z husarią Tomasza Dąbrowy opierało się na ustawionym nad brzegiem Dźwiny obozie, w centrum znajdowali się husarze Wincentego Wojny, a na prawej stronie – Jana Piotra Sapiehy. Karol IX ustawił swoje wojska w czterech rzutach, trzymając jazdę za piechotą, co srodcze się na nim zemściło.

Oto gdy sprowokowana pozorowaną ucieczką naszych harcówników piechota szwedzka ruszyła na obóz Chodkiewicza, spotkała się z tak potężnym uderzeniem Dąbrowy, że pierzchła, wpadając na ustawionych z tyłu rajtarów. Ci – szkoleni nie do szarży, ale do strzelania z pistoletów, kręcąc się w tzw. karakolu – nie mieli szans w walce na białą broń z najlepszymi jeźdźcami ówczesnej Europy. Ustawienie wojsk szwedzkich nie pozwalało na skuteczny manewr; zwłaszcza że do szarży ruszyli kolejno Wojna i Sapieha, a wreszcie Lacki i Kurlandzcy. Piechota szła miarowo ich śladem, zajmując pozycje wroga.

Około 10 tys. Szwedów rzuciło się do sromotnej ucieczki. Sudermańczyk chciał zmęczyć, wykrwawić i wreszcie dobić nasze trzykrotnie mniej liczne wojska w kilku rundach, a został znokautowany już w pierwszej. Podczas pogoni

■ usieczono 6 tys. uciekających ku morzu wrogów i zdobyto obóz szwedzki pod Rygą, z całą artylerią oraz z zapasami amunicji i żywności. Straciliśmy ok. 100 zabitych.

Na początku wiosny 1609 r. Jan Karol Chodkiewicz po zdobyciu Parnawy, leżącej na południu Estonii, zamierzał odepchnąć Szwedów od Rygi. Drogę zagradzały miasto i port Salis – dziś Salacgriva na północy Łotwy – gdzie stała eskadra ośmiu szwedzkich okrętów oraz 11 jednostek pomocniczych pod dowództwem Joachima Mansfelda. Wydawało się, że Polacy i Litwini będą bezradni...

I tu objawił się geniusz Chodkiewicza, jego umiejętność improwizacji oraz podejmowania błyskawicznej decyzji. Obsadził piechotą i działami dwa okręty zdobyte w Parnawie, a także pięć mniejszych statków handlowych, które kupił od Holendrów i Anglików. Cztery łodzie kazał wypełnić prochem, smołą, słomą oraz drewnem i stały się one brandermi. Żeglarzy uzyskał wśród wierznych Polsce Inflantczyków. Eskadra ta przebyła Zatokę Ryską i uderzyła na Salis nocą z 23 na 24 marca 1609 r. Szwedów obudził dopiero potężny ogień, którym nasze brandery zapłonęły przy burtach ich okrętów. Dwa spłonęły ze szczytem, a reszta floty

czymychnęła. Salis było nasze. I znów Szwedzi musieli zwinąć oblężenie Rygi. Hetman, a raczej admirał Chodkiewicz, okazał się pierwszym, który wykorzystał brandery na Bałtyku.

Niechęć szlachty do uchwalania podatków na wojnę była przyczyną niewykorzystywania najświetniejszych zwycięstw w polu i marnowania szans wygrania kampanii. Tak było z wojną o Inflanty ze Szwedami i tak było podczas wojny z Moskwą w latach 1609–1618. Stąd nieudane próby odsieczy polskiej załogi w Moskwie w latach 1611 i 1612 czynione przez Chodkiewicza. Stąd niepowodzenie wyprawy królewicza Władysława na Moskwę w latach 1617–1618 (faktycznie dowodzonej przez hetmana). W latach 1613–1615 hetman umiejętnie prowadził jednak działania osłonowe Smoleńska i to warowne miasto pozostało przy Rzeczypospolitej.

Hektor chocimski

Po korzystnym dla nas – mimo wszystko – rozejmie z Moskwą w Dywulinie nadciągnęło niebezpieczeństwo ze strony imperium Osmanów. Czy Chodkiewicz – w przeciwieństwie do zniechęconego już Żółkiewskiego – opowiadałby jesienią 1620 r. sytuację pod

ruszył wraz z królewiczem Władysławem oraz wielkim magnatem ziem małopolskich i ruskich – Stanisławem Lubomirskim. Latem 1621 r. wyprawa nad Dunaj stała się nierealna, ale – aby zadowolić Zaporozców pod wodzą Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego – Chodkiewicz nakazał przekroczenie granicznego Dniestru i rozbić z początkiem września obozu obronnego w oparciu o zamek w Chocimiu. Zajął lewe skrzydło, mając obok Kozaków, w centrum dowodził królewicz, a Lubomirski na prawym skrzydle.

Mieli pod rozkazami 30 tys. żołnierzy polskich i litewskich oraz 20 tys. Kozaków. Artyleria liczyła ok. 50 dział. Dwie trzecie sił polsko-litewskich stanowiła konnica: husarze, arkebuzery, pancerni i lisowczycy. Sułtan Osman II wiódł zapewne do 150 tys. żołnierzy (w tym 30 tys. janczarów) oraz 100 tys. czeladzi. Miał 115 dział, w tym 15 oblężniczych.

2 września nakazał szturm z marszu na pozycje kozackie. Kozacy odparli janczarów, ale zaczęli cofać się przed szarżującymi spahisami. Wtedy z boku ostrzelała ich polska piechota, a rozbiła – husaria. Hetman chciał wykorzystać powodzenie i następnego dnia wydać wrogom walną bitwę, ale inni wodzowie obawiali się stawiać wszystko na jedną kartę, bo w razie klęski kraj stanąłby przed Turkami otworem. Kolejne dni – z nieustającymi szturmami wojsk osmańskich, zagonami tatarskimi odcinającymi zaopatrzenie zza Dniestru, wyczerpywaniem się sił obrońców – zdawały się potwierdzać słuszność ofensywnej koncepcji Chodkiewicza. Nigdy się nie dowiemy, czy rzeczywiście straciliśmy wtedy szansę na pogrom Turków...

Obrońcy – z najbardziej at-

Cecora? Cóż, trudno sobie wyobrazić, że nie byłby zdolny do wymuszenia posłuchu i tolerował anarchię. Gdy zabrakło zwycięzcy spod Kłuszyna, król już tylko do triumfatora spod Kircholmu mógł się zwrócić o dowodzenie obroną Rzeczypospolitej przed turecką nawałą. Tym razem Sejm nie skąpił na podatki, które wystarczyły na utworzenie 65-tysięcznej armii. Miała ona stoczyć zwycięską bitwę nad Dunajem, daleko – zgodnie z żądaniem Kozaków – od granic Rzeczypospolitej. Hetman

Kozacy Sahajdacznego: strzelec siczowy z rusznicą i szablą tatarską (z lewej) oraz pułkownik z szablą i piernaczem. Obok: janczar w filcowym kołpaku z rękawem, uzbrojony w muszkiet lontowy, szablę i topór

RYŚ. MAREK SZYSZKO



kowanymi Kozakami i lisowczykami – mężnie odpierali ataki. Tak było już 3 i 4 września, gdy kontratakująca piechota polska i kozacka wdzierają się na tureckie stanowiska. 7 września szarżę husarii poprowadził sam, chorujący już, hetman, goniąc spahisów aż do ich obozu. 15 września wielkie natarcie poprowadził właśnie przybyły pod Chocim Mehmed Karakasza Pasza, który obiecał sułtanowi, że rozbije „niewiernych” jednym uderzeniem. Skończyło się na rozerwaniu kulą armatnią samego Karakasza.

18 września umierający już hetman zwołał koło generalne dowódców (włącznie z Sahajdacznym), których wezwał do walki do upadłego. Posłuchali. Mimo chorób, głodu i zimna zawzięte kontrataki obrońców podkopywały morale wrogów. Zwłaszcza że i oni cierpieli wszelkie niedostatki. Coraz więcej z nich dezertowało.

24 września zmarł Jan Karol Chodkiewicz. Oblegającym przyniosło to nadzieję, ale obrońców nie załamało. Krwawo odpierali kolejne ataki – aż do 28 września, kiedy obie strony okazały się skłonne do negocjacji pokojowych. Zakończyły się one 9 października utrzymaniem status quo ante.

Było to korzystne dla Rzeczypospolitej, bo obrońcom Chocimia pozostała już tylko ostatnia beczka prochu... Zginęło 8 tys. Polaków i 6,5 tys. Kozaków oraz 40 tys. Turków, Tatarów, Wołochów i Mołdawian. Sułtan nie przekroczył Dniestru i było to ostatnie zwycięstwo wielkiego hetmana.

Natomiast porywczy, 18-letni Osman II, który janczarów oskarżył o klęskę, został przez nich uduszony pół roku później podczas buntu w Stambule.

Chodkiewicz wypowiedział pod Chocimem słowa godne rycerza wielonarodowej Rzeczypospolitej:

„O wy wszystkie narody prawami, wolnością, językiem, pokrewieństwem, wiarą pod skrzydłami jednego orła złączone na dane hasło

wypadnijcie na te bezecniki, zmiatajcie ich obrzmiałe nawojami głowy zręcznym szabel pokosem. Oto Dniestr w tyle nieprzebyte, oto rozlane wszędy Turków i Tatarów orszaki. Upadła wszelka nadzieja do ucieczki, tu bić się i zwyciężyć albo zginąć nam potrzeba każe”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dwa cięcia na białoczerwonej



Maciej Rosalak

Z czasów stanu wojennego pamiętam m.in. wystawę pod hasłem „A Ciało stało się Słowem”, urządzoną przez archidiecezję warszawską. Był tam pewien obraz - projekt szczególnego ideogramu. Bardzo prosty. Na ziemi (chodniku? poboczu drogi?) leżał biało-czerwony sztandar, jakby pozostawiony po rozpędzeniu przez ZOMO kolejnej demonstracji. Dwie ciemne kreski przecinały biel i czerwień, jak rany zadane na obliczu najbardziej znanego w Polsce wizerunku Matki Bożej. Połączenie przez artystę patriotycznej i religijnej symboliki było poruszające oraz piękne. Ostatnio przypominałem je sobie, patrząc na całkowicie przeciwstawne produkty plastyczne, powstające z nader czytelną intencją bluźnierstwa i profanacji najświętszych symboli. Nigdy, nawet w najgorszych dniach stanu wojennego, nie przypuszczałem, że ktokolwiek ośmieliłby się zademonstrować coś takiego publicznie w wolnej ojczyźnie.

A teraz o wydarzeniu, od którego w dniu wyborów parlamentarnych miną akurat 102 lata. Otóż – przypomnę – podczas ostatniego objawienia fatimskiego, 13 października 1917 r., Matka Boża powiedziała dziewięcioletniej Łucji, która prosiła ją o uzdrowienie kilku chorych i nawrócenie niektórych grzeszników: „Jednych uzdrowię, innych nie. Trzeba, aby się poprawili i prosili o przebaczenie swoich grzechów”. I ze smutnym wyrazem twarzy dodała: „Niech nie obrażają więcej Boga naszego Pana, który i tak jest bardzo obrażany...”. Było to ok. południa. Chwilę potem przestał padać ulewny deszcz, rozstały się chmury i wyjrzało słońce. I nagle dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych w okolicy portugalskiej wioski ujrzały zjawisko, nazwane później Cudem Słońca. Zaczęło ono wirować, pulsować niezwykle blaskiem, przemieszczać się po nieboskłonach, a nawet opadać na Ziemię, jakby spełniała się wizja z Apokalipsy św. Jana... Przemoknięte ubrania zebranych od razu wyschły. Ludzie, w tym ci, którzy przyjechali do Fatimy, aby zdemonstrować kłamstwa trojga pastuszków oraz wydrwić katolicki zabobon, padali na kolana i wyznawali swe grzechy...

Oczywiście próbowano i próbuje się nadal znajdować naukowe wyjaśnienie zjawiska w dziedzinie optyki, meteorologii czy hipnozy. Nikt jednak nie umiał ani nie umie wytłumaczyć, jak kilkuletnie dzieci niewykształconych wieśniaków potrafiłyby przewidzieć tak niecodzienne wydarzenie – i tak dokładnie! – trzy miesiące wcześniej. Albowiem właśnie od trzech miesięcy o nim mówiły, zgodnie z zapowiedzią świetlistej Pani, która ukazywała się im od 13 maja 1917 r. co miesiąc znad listowia dębu skalnego. Cóż, Kazimiera Iłkowskówna pisała: „Nie wiadomo nic o Matce Boskiej, / chyba od niej samej: / na łące polskiej czy włoskiej, / w skale, na drzewie wybranym, / u zapomnianego źródła, / na ścieżce przez wszystkich deptanej...”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Karabin dla carskich strzelców



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

Cenny zabytek broni strzeleckiej ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

W 1929 r. warszawska placówka MWP zakupiła imponującą kolekcję zabytkowej broni, wśród niej wiele unikatów.

Niektóre zidentyfikowano stosunkowo niedawno, choćby kapiszonowy karabin wyprodukowany dla elitarnej formacji z okresu wojny krymskiej. Konflikt ten (1853–1856) zmusił Rosję do sięgnięcia po najgłębsze rezerwy. Car Mikołaj I powołał pod broń liczne i słabo wyekwipowane jednostki pospolitego ruszenia, powziął także decyzję o formowaniu Pułku Strzelców Rodziny Cesarskiej złożonego z ochotników wywodzących się z prywatnych włości Romanowów.

21 lipca 1855 r. w Carskim Siole car Aleksander II, następca zmarłego w marcu Mikołaja I, dokonał pierwszego uroczystego przeglądu pułku swojego szefostwa. Szefami batalionów zostali carscy bracia. Jednostkę, zwaną niekiedy Połkiem Carskiej Siemi, włączono w skład Armii Krymskiej i we wrześniu wysłano na teatr działań wojennych. W grudniu pułk dotarł do Odessy, po czym rozłożył się na kwaterach w wiosce Siewierinowce. Ochotnicy zgłaszający się do pułku uzbrojeni byli w prywatną broń myśliwską. Dopiero w styczniu 1855 r. zamówiono w tulskiej wytwórni partię 1,2 tys. gwintowanych karabinów przygotowanych specjalnie dla pułku i opartych na regulaminowym modelu dragońskim.

Karabin ze zbiorów muzeum ma długość 135 cm, masę niespełna 4 kg i kaliber ok. 18 mm (rosyjskie 7,1 linii). Wykonany jest niezwykle starannie, a osada jest z drewna orzechowego, co stanowi wyjątek z uwagi na to, że w Rosji stosowano najczęściej brzozę. Skalowany celownik, tzw. heskiego typu, posiada nastawy od 200 do 1,4 tys. kroków; osprzęt jest stalowy i mosiężny. Na blasze zamkowej umieszczono skrót wytwórni T.O.3. (Tulskij Orużejnyj Zawod) i rok produkcji 1855. Na wierzchu lufy wybito orła Romanowów i numer fabryczny – 703.

Karabin ten wpisuje się w burzliwy okres w historii broni strzeleckiej, w którym nowoczesne państwa przeobrażały się z karabinów gład-

kolufowych w gwintowane. W połowie lat 50. proces ten nie był jeszcze zakończony i dopiero doświadczenia wojny krymskiej spowodowały jego gwałtowne przyspieszenie. Opisana wyżej broń jest tego doskonałym przykładem. Choć gwintowana, to posiada jeszcze relatywnie duży kaliber i przede wszystkim strzela belgijską amunicją ekspansywną systemu Petersa-Timmerhansa o nie najlepszych parametrach balistycznych (pociski te ponoć często pękały po opuszczeniu przewodu lufy). Karabin stanowi także przykład kompilacji rozwiązań francuskich i angielskich. Według francuskiej metody Rosjanie przerabiali karabiny skałkowe na kapiszonowe, a potem produkowali nowe, które podobnie jak ich odpowiedniki miały tylnosprężynowe zamki kapiszonowe oraz kurki z charakterystycznym prostym ogonem. Identyczny zamek ma też karabin carskich strzelców. Także kaliber zbliżony jest do francuskiego. Jednak sposób mocowania łoża i lufy jest już angielski, prawdopodobnie zaczerpnięty z Enfielda wz. 1853; także sposób mocowania bagnetu jest taki sam jak w Enfieldzie – pierścień blokady opiera się o podstawę muszki, a nie oddzielny trzpień u spodu lufy.

Karabin zapewne nigdy nie został wykorzystany bojowo, a żołnierze carskiej rodziny nie powąchalili prochu w kampanii krymskiej. Mimo to w grudniu 1855 r. kwaterujących w Siewierinowce strzelców dopadła epidemia tyfusu. W ciągu czterech miesięcy pułk utracił pod Odessą trzecią część stanu osobowego. 24 kwietnia jednostka ruszyła z powrotem do Moskwy. 19 września car Aleksander II dokonał ostatniego przeglądu. Odtąd tradycje pułku kontynuował lejbgwardyjski Batalion Strzelców Cesarskiej Rodziny, który przeszedł chrzest bojowy w czasie powstania styczniowego w Kurlandii i na Żmudzi. Jego uzbrojenie stanowiły wówczas zapewne nowe karabiny wz. 1856/58 kal. 15,2 mm (6 linii) zunifikowane w całej piechocie. ©©



Bezcenne trofeum z 1939 r. Bagnet Wehrmachtu

1 września 1939 r. we wczesnych godzinach rannych ruszyła na Warszawę wyprawa bombowa 80 maszyn Luftwaffe. Piloci naszej Brygady Pościgowej (ponad 50 samolotów P.11c i P.7) nie dali się zaskoczyć. Porucznik Aleksander Gabszewicz z IV dywizjonu, wraz ze swoim skrzydłowym, kpr. Andrzejem Niewiarą, dopadli jednego z heinkeli He-111 na północ od stolicy. „Pilot skręca w lewo i idzie w dół. Leci tak wolno, że już bez trudu go doganiam – relacjonował Gabszewicz. – Strzelec niemiecki wciąż się broni. Naraz milknie. Doganiam heinkla i widzę, że lufa karabinu maszynowego na ognie sterczy nieruchomo w górę. Widzę strzelca – głowa oparta o prawą burtę. Niewiara jest przy mnie, on też atakuje i od czasu do czasu posyła serie pocisków”. Polakom skończyła się amunicja, ale okaleczony He-111 nie zdołał już uciec. Maszyna rozbiła się

koło Ciechanowa. Zestrzelenie zaliczono obu pilotom po połowie.

2 września Gabszewicz pojechał taksówką na miejsce upadku bombowca i zabrał z wrakowiska wyciętą blachę z krzyżem oraz pokładowy karabin maszynowy. Trofeum zawiózł do Warszawy do mieszkania rodziców przy ul. Chmielnej 29. W czasie okupacji



rodzina pilota, w obawie przed zemstą Niemców, pocięła blachę i zakopła w piwnicy przy Chmielnej. Dom spłonął w trakcie powstania, ale bezcenna pamiątka ocalała. Wydobyta ze skrytki, przekazana została Muzeum Wojska Polskiego w 1960 r. ©©

Spośród wielu bagnetów siecznych przeznaczonych do niemieckich karabinów i karabinków systemu Mausera wyróżniał się nożowy wzr. 84/98 n.A. (neuer Art – nowy wzór), który doskonale sprawdził się na polach bitew I wojny światowej i w zupełności odpowiadał nowoczesnej taktyce walki, zwłaszcza pod względem uniwersalności oraz wygody użytkowania. Stał się on standardowym bagnetem Wehrmachtu i w niemal niezmienionej formie przetrwał do końca kolejnego światowego konfliktu. Stosowano go przede wszystkim do karabinu Mauser K98k. Egzemplarze z okresu III Rzeszy wyróżniają się oksydowaniem części metalowych (pod koniec wojny na szerszą skalę wprowadzono parkeryzację) oraz wprowadzonymi w 1937 r. bakelitowymi okładkami chwytu ze skośnymi korbami zamiast drewnianych. Doszedł jeszcze jeden szczegół – numery seryjne wybijane na przednim progu głównej; stosowano 10-tysięczne bloki (od 1 do 9999) oznaczone dodatkowo literą serii. Na progu wewnętrznym znajdowała się nazwa producenta, która od 1940 r. była kodowana. Wymiary bagnetu: długość 38,5 cm, długość głównej 25,3 cm. ©©



Szabla zachodnioeuropejska

Szablę uważamy powszechnie za broń charakterystyczną dla armii wschodniej Europy, a więc polsko-litewskiej, moskiewskiej czy węgierskiej (siedmiogrodzkiej). To pogląd zasadniczo słuszny, chociaż zaznaczyć wypada, że na Zachodzie w okresie nowożytnym, pomimo bezwzględnej dominacji miecza, potem rapiera i pałasza, szabla była nie tylko dobrze znana, lecz także używana. Wykształciły się tutaj formy typowe dla regionu. Jej genezy doszukiwano się w średniowiecznym



tasaku, a więc broni o mieczowej rękojeści oraz dość krótkiej i masywnej głównej o miernej krzywiźnie, sposobnej do cięcia. Używała go plebejska piechota, ale nie gardzili tasakiem także rycerze.

Zachodnioeuropejską szablę cechowała przede wszystkim rozbudowana oprawa rękojeści, z czasem także w typie rapierowym, zapewniająca użytkownikowi zdecydowanie lepszą osłonę

dłoni aniżeli w przypadku szabel wschodnich, zaopatrzonych w proste jęlcie krzyżowe. Główne bywały niezbyt długie, o różnej szerokości i zazwyczaj małej krzywiźnie. Szabla zyskała dużą popularność w wiekach XVI i XVII w Szwajcarii, a także w krajach niemieckich, używano jej także we Włoszech. W XVIII w. z szabel tego typu wykształcił się tasak/półszabla piechoty. W tym samym czasie zachodnioeuropejskie szable kawaleryjskie czerpały z tradycji węgierskiej. ©©



John Logie Baird, pionier techniki telewizyjnej. Obok: amerykański telewizor RCA 630 TS z 1946 r. FOT. RTS.ORG.UK

Telewizja / W 1928 r. pierwszy raz przesłano obraz za Atlantyk

Zaczarowany ekran domowy



Tymoteusz Pawłowski

/ Od połowy XX w. telewizja stała się podstawową rozrywką rodzinną, a także tubą propagandową. W wieku XXI jej rola stopniowo maleje. Technicznie nie przypomina już wynalazku sprzed kilkudziesięciu lat. Czy chwila, w której telewizja odejdzie do lamusa, jest bliska?

Opowieść o dziejach telewizji należy rozpocząć w XIX w. To wówczas pojawiły się możliwości techniczne – przede wszystkim związane z prądem i jego

wykorzystaniem jako źródła energii i nośnika informacji. W XIX w. narodziła się również idea domowego centrum rozrywki dostarczanej z zewnątrz. Wykorzystywano do tego linie telefoniczne, którymi przesyłano nie tylko informa-

cje, lecz także programy rozrywkowe. Przedsięwzięcia takie – noszące różne nazwy w różnych krajach: teatrofon, elektrofon czy telewent – funkcjonowały aż do połowy XX w.

W 1895 r. Guglielmo Marconi uruchomił pierwszą radiostację i już po kilkunastu latach radiem nadawano podobny repertuar co teatrofonami: wiadomości, prognozy pogody, kursy walut, opery, koncerty... O ile z nadawaniem nie było kłopotu, o tyle problem pojawiał się w odbiorze: ówczesny sprzęt był fatalnej jakości. Poprawa nastąpiła w czasie I wojny światowej, gdy rządy walczących państw zainwestowały olbrzymie pieniądze w rozwój łączności radiowej. Technologie militarne szybko trafiły na rynek cywilny i tuż po zakończeniu wielkiej wojny na świecie wprost zaroilo się od



rozgłośni radiowych. W Polsce programy radiowe nadawano już w 1924 r., a Polskie Radio rozpoczęło emisję 18 kwietnia 1926 r. o godz. 17.

Większość ówczesnych odbiorników radiowych stanowiły radia detektorowe, zasilane przez docierające do nich fale radiowe. Nie potrzebowały prądu – co było dość istotne, bo większość Europy nie była jeszcze zelektryfikowana – ale trzeba było używać słuchawek. Słuchanie audycji było więc aktywnością indywidualną, mało rodzinną. Istniały oczywiście większe radioodbiorniki – zwane superheterodynami – były one jednak kilkunastokrotnie droższe od odbiorników detektorowych.

Władze Rzeczypospolitej bardzo szybko zdały sobie sprawę ze znaczenia radiofonii dla państwa i społeczeństwa. Polska była pierwszym krajem, w którym przeprowadzono masową radiofoniizację. Produkowano „Defony”, które były nie tylko tanie – 39 ówczesnych złotych, mających kilkunastokrotnie większą wartość od współczesnych – lecz także łatwo dostępne w sprzedaży ratalnej. Ich posiadacze płacili też jedną trzecią abonamentu radiowego: złotych kę na miesiąc, a nie 3 zł.

Czerń i biel

W czasach rozkwitu radia pracowano bardzo intensywnie nad telewizją. Kamera telewizyjna to coś w rodzaju fotokomórki: w zależności od oświetlenia wysyła ona – lub nie – impuls prądu. Aby obraz był dokładny, tych fotokomórek musi być jak najwięcej: w popularnym dziś standardzie Full HD jest ich ponad 2 mln. W początkach rozwoju telewizji radzono sobie inaczej: mechanicznie kierując „wzrok” pojedynczej fotokomórki w wybrane miejsce. W 1884 r. niemiecki inż. Paul Nipkow wykorzystał do tego szybko obracający się perforowany dysk, pozwalający fotokomórce zrobić kilka

tysięcy małych zdjęć. Impulsy elektryczne przysyłano do odbiornika, który – również wykorzystując tarczę Nipkowa – rysował światłem obraz na ekranie. Bezwładność oka sprawiała, że pojawiało się wrażenie ruchu.

Taka „mechaniczna” telewizja zadebiutowała w 1928 r., gdy szkocki inż. John Logie Baird przesłał obraz telewizyjny przez Atlantyk: miał on rozdzielczość kilkuset pikseli i pozwalał na rozpoznawanie twarzy. Przyszłość należała jednak do telewizji elektronicznej, bo mechaniczna – chociaż działała i przynosiła dochody – była skomplikowana i droga.

W 1930 r. amerykański inż. Vladimir Zworykin wynalazł ikonoskop. Na matrycy osadził wiele fotokomórek: ziaren srebra pokrytego cezem. Każde ziarno zbierało swój własny obraz i zamieniało go na impuls prądu. W odbiorniku impulsy elektryczne pobudzały do życia lampę kineskopową, która wystrzeliwiała elektrony w stronę monitora. Tutaj elektrony uderzały w ziarna luminoforu, które świeciły się lub nie, i znów bezwładność oka sprawiała, że pojawiało się wrażenie ruchu.

Gdy w 1936 r. Niemcy transmitowali zawody berlińskich igrzysk olimpijskich, wykorzystali do tego licencyjny ikonoskop. Podobnie czyniono w innych państwach, m.in. w Polsce. Już w początkach lat 30. prowadziliśmy próby z telewizją elektromechaniczną, a w 1938 r. nadaliśmy pierwszy program telewizji elektronicznej. Prace nad polską telewizją przerwała II wojna światowa, która jednak – podobnie jak pierwsza – przyczyniła się do rozwoju telewizji.

W kolorze

Po II wojnie światowej rozpowszechniła się telewizja kolorowa. Nie różniła się ona wiele od dotychczasowej telewizji czarno-białej, po prostu wymagała zamontowania w kamerze trzech kompletów fotokomórek, reagujących wyłączenie na światło odpowiedniego koloru: czerwone, zielone, niebieskie. Podobnie odbiornik telewizyjny wymagał luminoforu w trzech barwach.

W grudniu 1953 r. telewizje amerykańskie przyjęły „kolorowy” standard nadawania NTSC (National Television System Committee). W 1965 r. liczba kolorowych programów w telewizji amerykańskiej przekroczyła liczbę programów czarno-białych, jednak w Europie telewizja kolorowa dopiero się rodziła. Zadebiutowała tutaj w 1967 r., niemal jednocześnie we Francji, w Niemczech, Holandii i Wielkiej Brytanii.

W tym czasie pojawiły się również pierwsze urządzenia pozwalające na rejestrację obrazu na taśmie magnetycznej: od 1963 r. możliwe było pokazywanie powtórek, przede wszystkim sportowych „replayów”. W kolejnych latach urządzenia takie stawały się coraz mniejsze i tańsze. Nazwano je magnetowidami i coraz częściej kupowali je prywatni użytkownicy. W 1976 r. firma JVC zaprezentowała standard zapisu i odtwarzania, określony jako VHS (Video Home System). Jakość nagrywanych materiałów była gorsza niż obrazu telewizyjnego, o czym warto pamiętać, oglądając dziś wspomnienia z przeszłości.

W Polsce telewizja kolorowa pojawiła się zaś w 1971 r. W 2013 r. obowiązującym standardem w Polsce stała się telewizja cyfrowa DVB-T, technicznie mająca niewiele wspólnego z wynalazkami XX w., sygnał obrazu nie jest przesyłany w postaci sygnału elektromagnetycznego, ale w postaci kodu cyfrowego. Zmieniły się również kamery i odbiorniki, przede wszystkim zniknęły olbrzymie oraz ciężkie kineskopy.

Telewizja przez dziesięciolecia była głównym domowym centrum rozrywki. Przed telewizorami – szczególnie w jesienne i zimowe popołudnia – zasiadały całe rodziny. Nic dziwnego, że stała się ona narzędziem propagandowym – zarówno na usługach państwa, jak i prywatnych przedsiębiorstw. I jest nim do dziś – reklamy to przecież propaganda w służbie komercji.

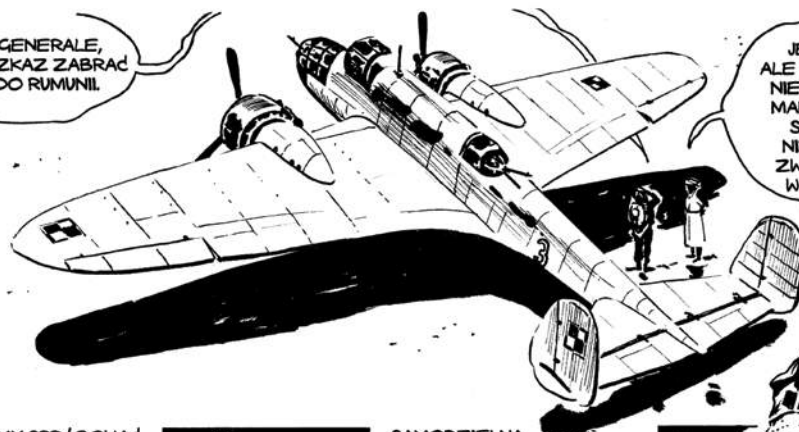
Telewizja w tradycyjnym kształcie powoli odchodzi do lamusa. Zapowiedzią upadku były magnetowidy domowe, które sprawiły, że ulubiony program można było nagrać, aby obejrzeć w dowolnym czasie, pomijając niepotrzebne reklamowo-propagandowe treści. Kolejny cios zadał telewizji Internet, ale nie wydaje się, żeby był to cios śmiertelny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

17 WRZEŚNIA 1939 ROKU POLSKA ZOSTAŁA ZAATAKOWANA PRZEZ WOJSKA SOWIECKIE. TEGO SAMEGO DNIA W PIŃSKU, GDZIE STACJONOWAŁ GENERAL FRANCISZEK KLEEBERG, WYLĄDOWAŁY TRZY SAMOLOTY PZL.37 ŁOŚ.

PANIE GENERALE, MAM ROZKAZ ZABRAĆ PANA DO RUMUNII.



WOJNA JEST PRZEGRANA. ALE HONOR ŻOŁNIERZA NIE JEST PRZEGRANY. MAM ŻOŁNIERZY POD SWOJĄ KOMENDĄ. NIE OPUSZCZĘ ICH. ZWŁASZCZA TERAZ, W NOWEJ SYTUACJI.

SFORMOWANA PRZEZ KLEEBERGA SAMODZIELNA GRUPA OPERACYJNA „POLESIE” SKIEROWAŁA SIĘ NA ZACHÓD. GENERAL PLANOWAŁ POMÓC BRONIĄCĄ SIĘ WCIĄŻ STOLICĄ. JEDNAK 28 WRZEŚNIA DOTARŁA DO NIEGO INFORMACJA O KAPITULACJI WARSZAWY. POTRZEBNY BYŁ WIĘC NOWY PLAN DZIAŁAŃ.

POWINNIŚMY SPRÓBOWAĆ PRZEBIĆ SIĘ NA WĘGRY I TAM ZŁOŻYĆ BRON...



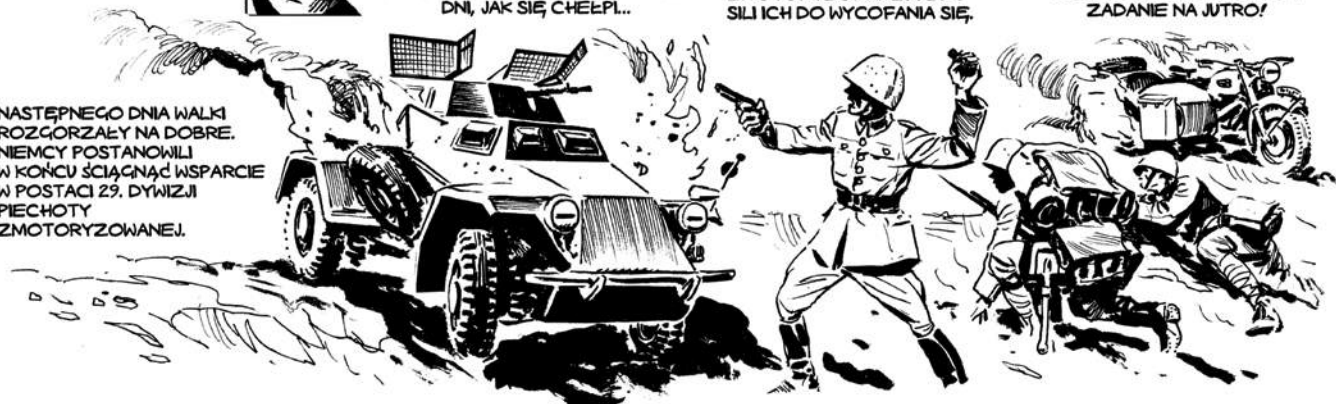
JĄ UWAZAM, ŻE MUSIMY KONTYNUOWAĆ WALKĘ. TRZEBA PRZEDŁUŻAĆ TĘ WOJNĘ. DEMONSTROWAĆ ŚWIATU, ŻE HITLER NIE PODBIŁE POLSKĄ W OSIEMNAŚCIE DNI, JAK SIĘ CHEŁPI...

SAMODZIELNA GRUPA OPERACYJNA „POLESIE” DOTARŁA 31 WRZEŚNIA POD KOCK. LICZYŁA OKOŁO 17 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY, ALE DYSPONOWAŁA JEDYNNIE 23 DZIAŁAMI, 15 DZIAŁKAMI PRZECIWPANCERNYMI I JEDNYM MOŹDIERZEM. PROBLEMEM BYŁY RÓWNIEŻ NIEWIELKIE ZAPASY AMUNICJI. 2 PAŹDZIERNIKA POLACY STARLI SIĘ TAM Z NIEMIECKIMI ŻOŁNIERZAMI Z 13. DYWIZJI PIECHOTY ZMOTORYZOWANEJ I ZMUSILI ICH DO WYCOFANIA SIĘ.



NIEMCY ZAATAKOWALI NAS, ZADALIŚMY WROGOWI STRATY, ALE INICJATYWA JEST W RĘKACH NIEPRZYJACIELA. TO NIEDOBRE... MUSIMY NIEMCOM TĘ INICJATYWĘ ODEBRAĆ. TO JEST NASZE ZADANIE NA JUTRO!

NASTĘPNEGO DNIA WALKI ROZGORZAŁY NA DOBRE. NIEMCY POSTANOWILI W KOŃCU ŚCIGAĆ WSPARCIE W POSTACI 29. DYWIZJI PIECHOTY ZMOTORYZOWANEJ.



NIE UDA NAM SIĘ CICHCEM PRZEKRAŚĆ DO DEBLINA, ODPYCHAJĄC TYLKO TRZY-NASTĄ DYWIZJĘ. O PRZEJŚCIE MUSIMY STOCZYĆ BITWĘ. WŁAŚCIWIE DWA BITWY: JUTRO Z TRZYNASTĄ, POJUTRZE Z DWUDZIESTĄ DZIEWIĄTĄ. TO NIE JEST ŁATWE ZADANIE... W DODATKU NIEPRZYJACIEL, KTÓRY DOTYCHCZAS GÓROWAŁ NAD NAMI TYLKO TECHNICZNIE, TERAZ MA PRZEWAGĘ TECHNICZNĄ, LICZEBNĄ I LEPIJ SIĘ USTAWIŁ. SIEDZIMY WŁAŚCIWIE W KOTLE Z NIEDOMKNIĘTĄ POKRYWĄ.

WIECZOREM 4 PAŹDZIERNIKA.



UDAŁO SIĘ ZREALIZOWAĆ PLAN NAKREŚLONY NA 5 PAŹDZIERNIKA. POLSCY ŻOŁNIERZE ZMUSILI 13. DYWIZJĘ PIECHOTY ZMOTORYZOWANEJ DO WYCOFANIA SIĘ. JEDNAK W CZASIE WALK TEGO DNIA ZUŻYLI PRAWIE CAŁE ZAPASY AMUNICJI. WIECZOREM KLEEBERG BYŁ ZMUSZONY PODJĄĆ DECYZJĘ O KAPITULACJI.

TEN ROZKAZ WYDAJĘ BEZ OPINII DOWÓDCÓW. NIE MOGĘ I NIE CHCĘ Z NIKIM DZIELIĆ CIĘŻARU KAPITULACJI ZA TEN ROZKAZ CAŁĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ BIORĘ NA SIEBIE. ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRZED NACZELNYM DOWÓDZTWEM I... HISTORIA.



Zdjęcie: K. Jasiński 2009



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Nadchodzą

pisma Ignacego Matuszewskiego

W ciągu najbliższych tygodni wspólnym nakładem IPN, LTW i WBH ukażą się pisma wybrane płk. Ignacego Matuszewskiego! Dwutomowe opracowanie tekstów obejmuje lata 1912–1946 i łącznie stanowi prawie dwa tysiące stron, opracowanych przeze mnie i opatrzonych obszernym studium! Jest to wprawdzie wybór, ale stanowi on zdecydowaną większość tekstów opublikowanych przez autora w tym okresie.

Większość z nich stanowią pisma emigracyjne (1939–1946), kiedy to Matuszewski w szczególny sposób rozwinął swój talent pisarski. Są to teksty drukowane w paryskim „Słowie” i londyńskich „Wiadomościach Polskich”, ale przede wszystkim w większości niedostępnych w Polsce nowojorskim „Nowym Świecie” i detroickim „Dzienniku Polskim”. Jeśli więc chodzi o okres amerykański w pisarstwie Matuszewskiego (1941–1946), to publikowane przez nas teksty są w przeważającej części nieznane lub nawet niedostępne dla krajowego czytelnika poza tymi, które opublikowano w „Wyborze pism”.

Pomysł wydania drukiem tekstów Ignacego Matuszewskiego pojawił się niemal od razu po jego śmierci w 1946 r. Chcąc ocalić męża od zapomnienia, pełna obaw Halina Konopacka-Matuszewska pisała w 1948 r.: „Męczy mnie świadomość, że pomyje dnia codziennego coraz to bardziej zalewają jego pamięć. Chciałabym wyrwać temu podłemu światu trochę pieniędzy, żeby pomóc żyć jego myśli, nie dać zginąć jego pracy”.

Powołano więc specjalny fundusz, dzięki któremu sfinansowano wydany w 1952 r. „Wybór pism”. Sprawą zajął się dopiero w 1951 r. nieformalny komitet

redakcyjny, w którego skład na różnych etapach wchodziło: Irena Grabowska, Wacław Jędrzejewicz, Jan Lechoń, Konrad Libicki, Damian Wandycz i Kazimierz Wierzyński. Ze wsparciem Haliny Szczecińskiej (primo voto Matuszewskiej) przygotowano niewielką książkę w nakładzie 1,5 tys. egzemplarzy, w której znalazło się niecałe 50 tekstów Matuszewskiego z lat 1941–1946 – z blisko 500 artykułów opublikowanych w tym czasie.

Uradowany wydaniem książki Lechoń pisał w „Dzienniku”: „Wybór pism Matuszewskiego usunął konieczne, ale bardzo natrętne powtarzanie się nieodłączne od wyrobnictwa dziennikarskiego, na które był skazany, a zresztą i od koniecznej łopatologii, bo trzeba było ludziom pewne rzeczy wbijać do głowy. Bardzo, jeszcze

/ [...] powinien być odczytywany przez wszystkich Polaków jako ślad polskiej, nie tylko piśmudczykowskiej, myśli

za życia Rajchmana, gwałtowałem, aby ten tom wydać – jako nagrobek dla Matuszewskiego, dokument polityczny pierwszej wagi i ślad roboty pionierskiej, dramatycznej, nieraz tragicznej, w której najważniejsi: Węgrzynek, Matuszewski, Rajchman, położyli życie. I jest to pomnik i dokument. Ton, nie zawsze szczęśliwie patetyczny, zawsze jest szlachetny, nigdy nie obniżający się do personalnych jakże arcy polskich małości, można ten ton lubić lub nie – ale Matuszewski był

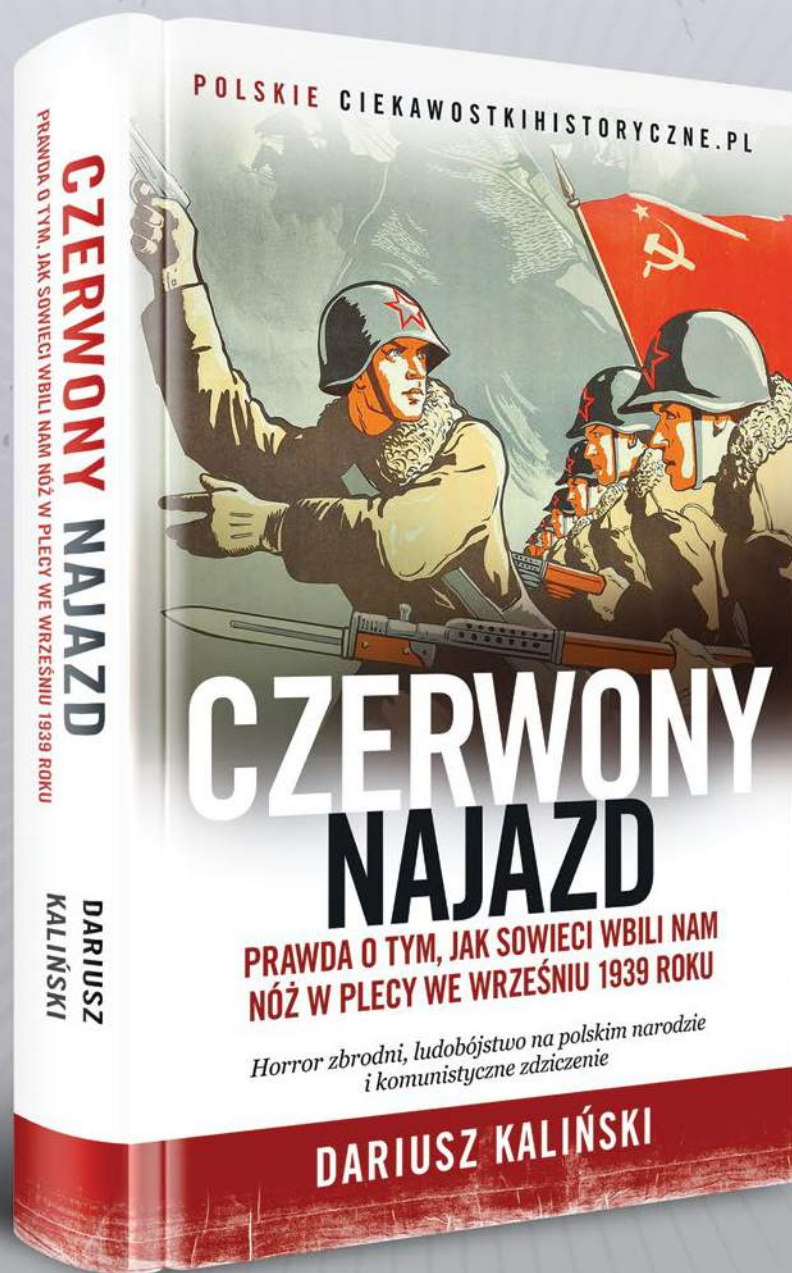
prawdziwym rasowym pisarzem. I oczywiście wiedział, pamiętał, przewidywał nie tylko więcej i lepiej niż nieszczesny rząd polski – ale i wielcy i najwięksi zachodniego świata. W tym sensie tom jego powinien być odczytywany przez wszystkich Polaków – jako ślad polskiej, nie tylko piśmudczykowskiej, myśli”.

Moja inicjatywa wydania pism wybranych Matuszewskiego, która zajęła mi blisko trzy lata pracy, jest w istocie kontynuacją wspomnianych powyżej wysiłków. Małżonka i krąg przyjacielski Matuszewskiego ze względów finansowych, technicznych i edytorskich nie byli w stanie wykonać tej pracy, której szczyt przypadł dopiero mnie. Chciałbym ocalić Matuszewskiego od zapomnienia, „pomóc żyć jego myśli” i „nie dać zginąć jego pracy”, a także bardziej podkreślić „miejsce tego wielkiego Polaka” w narodowej historii.

Prezentowane w wyborze teksty pozwalają wnikać w wielkie bogactwo kompetencji, zainteresowań i kapitału intelektualnego Matuszewskiego. Śmiem jednak twierdzić, że są one jedynie zewnętrznym i na pewno niepełnym obrazem tej postaci. Jego teksty były przecież rodzajem fotograficznej stop-klatki, obowiązkiem chwili domagającej się od niego publicznej reakcji lub wynikiem zajmowanego stanowiska czy pozycji politycznej. W zdecydowanej przewadze były po prostu funkcją szczytu jego politycznej kariery, bo w Ameryce (w latach 1941–1946) w pełni objawiła się jego wielkość, ale i potencjał, które w nim drzemały od lat, a których nie wykrzesano z niego w dwudziestolecie międzywojennym. Był, używając metafory Wacława A. Zbyszewskiego, niczym „nabój niewystrzelony” lub „pocisk, który nie wybuchł”. ©

CZERWONY NAJAZD

PRAWDA O TYM, JAK SOWIECI WBILI NAM NÓŻ W PLECY WE WRZEŚNIU 1939 ROKU



“ Oni mówią, że Polska przestała istnieć, że rząd uciekł do Rumunii, a Czerwona Armia pod dowództwem Woroszyłowa wkroczyła zwycięsko na nasze ziemie. To koniec. ”

W SPRZEDAŻY OD 18 WRZEŚNIA